



# ŚWIAT GROZY

## ANTOLOGIA

*Wybór:*

*Ewa Kieruzalska-Gewartowska*



OFICYNA WYDAWNICZA „SAWA” WARSZAWA 1990

*Dla tych, co wierzą w duchy!*

Ambrose Bierce

## **Strażnik umarłych**

### I

W pokoju na górze nie zamieszkanego lokalu w dzielnicy San Francisco, zwanej North Beach, leżały ludzkie zwłoki przykryte prześcieradłem. Dochodziła godzina dziewiąta wie-czór; pokój był słabo oświetlony jedną, jedyną świecą. Wbrew zwyczajowi, który nakazuje zapewnić zmarłemu dużo powietrza, obydwie okna były mimo ciepłej pogody zamknięte, a żaluzje spuszczone. Na umeblowanie pokoju składały się tylko trzy sprzęty — fotel, niewielki pulpit z ustawioną na nim świecą i długi kuchenny stół, na którym spoczywało ciało. Zarów-no te sprzęty, jak i ciało zmarłego sprawiały wrażenie, jakby dopiero co je wniesiono, gdyż przygodny obserwator tej sceny, o ile by się taki znalazł, zauważyłby zapewne, że nie było na nich śladu kurzu, który okrywał grubą warstwą cały pokój, zasnuty po kątach pajęczyną.

Pod prześcieradłem zaznaczały się kontury ciała, a nawet można było się domyślić ry-sów twarzy, przy czym rysy te miały ów nienaturalnie ostry wyraz, który zdaje się cechować oblicza nieboszczyków, a w

istocie przynależny jest osobom wyniszczonym przez chorobę. Z ciszy panującej w pokoju można było wnosić, że nie jest on położony we frontowej części domu, która wychodziła na ulicę. Ten tutaj wychodził po prostu na wysoką, wypukłą skałę, gdyż dom tylną ścianą przyparty był do zbocza.

Gdy zegar na pobliskim kościele wybijał dziewiątą z opieszałością, która zdawała się wskazywać na taką obojętność wobec upływu czasu, iż mimo woli nasuwało się pytanie, dla-czego w ogóle zadaje sobie trud oznajmiania godzin — jednoskrzydłowe drzwi pokoju otwariły się i wkroczył przez nie jakiś człowiek. Kiedy podszedł do ciała, drzwi zamknęły się, za-pewne samorzutnie; rozległ się zgrzyt jakby przekręcane go z trudem klucza i szcęk zasuwki zaskakującej na swoje miejsce. Następnie słychać było szelest oddalających się kroków i, sądząc z pozorów, mężczyzna został uwięziony. Zbliżył się do stołu i przez chwilę spoglądał na ciało, po czym z lekkim wzruszeniem ramion podszedł do okna i podniósł żaluzje.

Na zewnątrz panowały kompletne ciemności. Szyby pokrywał kurz, a gdy go starł, przekonał się, że okno było zabezpieczone solidnymi żelaznymi prętami, krzyżującymi się w odległości kilku cali od szyby i wpuszczonymi w ściany. Obejrzał drugie okno: to samo. Nie zainteresowało go to specjalnie, nawet nie próbował go odemknąć. Jeśli był więźniem,

to w każdym razie więźniem uległym. Po obejrzeniu pokoju usiadł wygodnie w fotelu, wyjął z kieszeni książkę, przysunął sobie pulpit ze świecą i pogrążył się w lekturze.

Mężczyzna był młodym, najwyżej trzydziestoletnim, gładko wygolonym szatynem o śniadej cerze. Twarz miał pociągłą, nos wydatny, szerokie czoło, „zdecydowany” podbródek i wystającą szczękę, co — jak utrzymują posiadacze takowych — znamionuje stanowczość. Szare oczy, poruszające się tylko wtedy, gdy był ku temu powód, miały nieugięty wyraz.

W chwili obecnej utkwione były głównie w książce, lecz od czasu do czasu młody człowiek odrywał się od lektury i przenosił wzrok na zwłoki leżące na stole, nie powodowany bynajmniej jakąś ponurą fascynacją, której w tego typu okolicznościach mógłby ulec nawet ktoś odważny, ani też świadomym buntem wobec wręcz odmiennych wrażeń, jakie mogłyby przytłoczyć osobę bojaźliwą. Spoglądał na zwłoki tak, jak gdyby czytając natknął się na coś, co przypomniało mu o jego otoczeniu. Wyraźnie ów strażnik umarłych spełniał swój obowiązek z pełnym godności rozsądkiem i spokojem.

Po mniej więcej półgodzinnej lekturze doczytał chyba do końca rozdziału i spokojnie odłożył książkę. Powstał i unosząc pulpit nad podłogą przestawił go w róg pokoju, koło okna, zabrał z niego świecę i

powrócił do pustego kominka, przy którym dotychczas siedział.

W chwilę później podszedł do ciała leżącego na stole, uniósł prześcieradło i ściągnął je z głowy zmarłego, odsłaniając ciemne, bujne włosy i cienką materię zakrywającą twarz, pod którą rysy zaznaczały się z większą jeszcze wyrazistością niż dotąd. Osłoniwszy wolną ręką oczy przed blaskiem świecy, stał wpatrując się w swego nieruchomego towarzysza z pełnym powagi i szacunku namaszczeniem. Zadowolony z oględzin, naciągnął z powrotem przeście-radło na twarz zmarłego, powrócił do fotela, wziął kilka zapalek ze świecznika, włożył je do bocznej kieszeni surduta i usiadł. Następnie uniósł świecę z podstawki, przyjrzał się jej kryty-cznie, prawdopodobnie rozważając, na jak długo jeszcze jej starczy. Miała co najwyżej dwa cale, po upływie godziny zapanują tu ciemności. Umieścił świecę na powrót w świeczniku i zdmuchnął płomień.

## II

W gabinecie lekarskim przy Kearny Street siedziało za stołem trzech mężczyzn, ćmiąc cygara i popijając poncz. Pora był późna, w rzeczy samej zbliżała się północ, ale ponczu nie brakowało.

Najpoważniejszy z tej trójki, doktor Helberson, był tu gospodarzem. Liczył sobie lat około trzydziestu, pozostali jeszcze mniej. Wszyscy trzej byli lekarzami.

— Zabobonny lęk, z jakim żywi odnoszą się do zmarłych — mówił doktor Helberson — jest wrodzony i nieuleczalny. Człowiek nie powinien się go wstydzić, tak jak nie powinien się wstydzić, że odziedziczył na przykład brak zdolności do matematyki albo pociąg do kłamstwa.

Pozostali roześmiali się.

— Czyż człowiek nie powinien wstydzić się kłamstwa? — zapytał najmłodszy z trójki, który był jeszcze studentem medycyny, bez dyplomu.

— Nie powiedziałem niczego podobnego, drogi Harperze. Pociąg do kłamstwa to jedno, a same kłamstwo to drugie.

— Ale czy sądzisz — włączył się trzeci biesiadnik — iż to zabobonne uczucie, ów lęk wobec umarłych, który, jak wiemy, nie ma podstaw, jest powszechny? Ja nie odnajduję go w sobie.

— Ależ on jest z pewnością „wbudowany w twój system” — odparł Helberson. — Potrzebuje tylko sprzyjających warunków, aby dać o sobie znać w jakiś nader przykry sposób, a wtedy oczy ci się otworzą. Lekarze i żołnierze słabiej, naturalnie, go odczuwają niż inni.

— Lekarze i żołnierze! Dlaczego nie dodać jeszcze katów? Ulokujemy się na dobre w kategorii



morderców.

— Nie, kochany Mancherze, sędziowie nie dozwolą, by publiczni wykonawcy wyroków aż tak spoufalili się ze śmiercią, żeby na nią zobojeźnić.

Młody Harper, który podniósł się po nowe cygaro leżące na kredensie, rozsiadł się ponownie.

— Co rozumiesz przez warunki, w których każdy śmiertelnik, mężczyzna czy kobieta, odczuje nieuchronnie wspólną rodzajowi ludzkiemu słabość w tym względzie? — zapytał dość zawile.

— Uważam, że gdyby zamknięto człowieka na całą noc z trupem: samego, w ciemnym pokoju, w pustym domu, bez możliwości schowania się pod koldrę, i gdyby to przeżył pozostając przy zdrowych zmysłach, miałby prawo pysznić się, iż nie zrodziła go kobieta ani też nie jest, jako ów Macduff \*, owocem cesarskiego cięcia.

— Wiedziałem, że nigdy nie zaprzestasz mnożenia warunków — rzucił Harper. — Ja jednak znam człowieka, który nie będąc ani lekarzem, ani żołnierzem, gotów spełnić je wszystkie, podjąc każdą stawkę, jaką zechcesz wymienić.

— Któż to taki?

— Nazywa się Jarette, jest tu obcy, pochodzi z Nowego Jorku, tak jak ja. Nie mam pieniędzy, żeby na niego postawić, ale on sam postawi na siebie cały plik.

— Skąd wiesz?

— Gdyż on bez zakładów nie może żyć. A co do strachu, uważa go bodaj za rodzaj błahego zaburzenia czy może raczej za szczególną odmianę herezji religijnej.

— Jak on wygląda? — Helberson najwyraźniej był zaintrygowany.

— Podobny do Manchera, mógłby być jego bliźniaczym bratem.

— A więc przyjmuję zakład — oświadczył Helberson krótko.

— Jestem niezwykle zobowiązany za komplement, słowo daję — wymamrotał Mancher, którego zaczęła ogarniać senność. — Czy nie mógłbym również podjąć zakładu?

— Nie ze mną — odparł Helberson. — Twoich pieniędzy nie chcę.

— Zgoda — rzekł Mancher. — Ja będę trupem. Pozostali roześmiali się.

Rezultat tej zwariowanej rozmowy mieliśmy przed oczyma.

### III

Zgasiwszy przysługujący mu mizerny ogarek świecy, pan Jarette pomyślał o zachowaniu go na jakąś nieprzewidzianą okoliczność. Równie dobrze

mógł myśleć, że później ciemność może być jeszcze gorsza niż teraz, więc gdyby sytuacja stała się nie do zniesienia, lepiej mieć przy sobie coś dla odprężenia czy wręcz wyzwolenia. W każdym razie rozsądnie byłoby mieć jakąś rezerwę światła choćby po to, by spojrzeć na zegarek.

Kiedy zdmuchnąwszy świecę postawił ją koło siebie na podłodze i usadowił się wygodnie w fotelu, odchylony do tyłu, z zamkniętymi oczyma, pewien był, że uśnie. Ale spotkało go rozczarowanie: nigdy w życiu nie czuł się mniej senny. Po krótkim więc czasie poniechał wysiłków. Ale cóż robić? Nie mógł krążyć po omacku w kompletnej ciemności, narażając się na posiniaczenie lub potrącenie stołu, co brutalnie zakłóciłoby spokój zmarłego. Wszyscy uznajemy prawo zmarłych do spoczywania w spokoju, bez stykania się z gwałtem i przemocą. Jarette'owi niemalże udało się przekonać samego siebie, że te właśnie względy powstrzymują go przed ryzykiem zderzenia się ze stołem i przykuwają do fotela.

W trakcie rozważania tej kwestii zwidziało mu się, że od strony stołu dochodzi go jakiś słaby dźwięk — nie byłby w stanie wyjaśnić, jakiego rodzaju. Nie odwrócił głowy. Bo i po cóż? W ciemności? Jednak nadśluchiwał. Wyteżenie słuchu przyprawiło go o zawrót głowy, uchwycił się więc poręczy fotela, szukając jakiegoś oparcia. W uszach mu dzwoniło, czoło miał rozpalone, ubranie uciskało klatkę

piersiową. Zastanowił się, dlaczego tak jest i czy są to symptomy strachu. Jego pierś z długim i potężnym tchnieniem zapadła się jakby, a przy potężnym wciąganiu powietrza, którym napełnił wyczerpane płuca, zawrót głowy minął.

\* Postać z dramatu Szekspira „Makbet”.

Jarette uświadomił sobie, że nadśluchiwał z takim natężeniem, iż o mało się nie udusił z powodu wstrzymywania oddechu. Było to irytujące odkrycie. Powstał, odsunął nogą fotel i ruszył na środek pokoju. Nikt jednak nie zajdzie daleko w ciemności. Zaczął wymacywać drogę: natrafiwszy na ścianę szedł wzdłuż niej do rogu, skrzył, posuwał się koło dwóch okien i w drugim kącie natknął się nieoczekiwanie na pulpit, wywracając go. Rozległ się łoskot, który go zaszokował. Zdenerwował się.

— Jakże, do diabła, mogłem zapomnieć, gdzie on stał? — wymamrotał i idąc po omacku wzdłuż trzeciej ściany, dotarł do kominka.

— Muszę poustawiać rzeczy na swoich miejscach — powiedział, obmacując podłogę w poszukiwaniu świecy.

Znalazłszy ją, zapalił knot i natychmiast zwrócił wzrok w stronę stołu, na którym, naturalnie, nie zaszła żadna zmiana. Pulpit leżał porzucony na podłodze: zapomniał „ustawić go na miejscu”. Rozejrzał się po pokoju. Chybotanie świecy,

poruszającej się wraz z ręką, pogłębiało cienie. Poszedł ku drzwiom i sprawdził je, naciskając i ciągnąc za klamkę z całej siły. Nie ustępowały, z czego zdawał się czerpać niejaką satysfakcję; w rzeczy samej zamknął drzwi na jeszcze jeden zamek, którego wcześniej nie zauważył. Powracając na fotel, spojrzął na zegarek — było wpół do dziesiątej. Drgnął zaskoczony i przyłożył zegarek do ucha. Zegarek chodził. Świeca była teraz wyraźnie krótsza. Ponownie zgasił ją, stawiając na podłodze koło siebie, tak jak przedtem.

Pan Jarette nie doznawał miłych uczuć, był wyraźnie niezadowolony ze swojego otoczenia i z siebie samego.

— Czegóż miałbym się bać? — rozważał. — Byłoby to śmiechu warte i godne pogardy. Nie będę przecież takim głupcem.

Jednak odwagi nie przybywa ani od powtarzania „będę odważny”, ani od stwierdzenia jej niezbędności w danej sytuacji. Im bardziej Jarette potępiał siebie, tym więcej dawał powodów do potępienia; im więcej wymyślał argumentów na rzecz tezy o nieszkodliwości nieboszczyków, tym bardziej rósł zamęt w jego duszy.

— Co! — zakrzyknął na głos w udręce ducha. — Co! Czyż ja, który nie jestem ani odrobinę przesądny; ja, który nie wierzę w nieśmiertelność; ja, który wiem (i to teraz jaśniej niż kiedykolwiek), że

życie pozagrobowe jest jedynie tworem ludzkich pragnień — mam teraz stracić za jednym razem zakład, honor i szacunek dla samego siebie, a może i rozum, dlatego tylko, że jacyś moi dzicy przodkowie, mieszkający w jaskiniach i norach, ubzdurali sobie, że umarli chodzą po nocach? Że...

Wyraźnie, bez wątpliwości, pan Jarette usłyszał za plecami lekki, cichy odgłos kroków: celowych, rytmicznych, rozlegających się coraz bliżej i bliżej.

#### IV

Tuż przed brzaskiem, następnego ranka doktor Helberson wraz ze swym przyjacielem Harperem jechali wolno ulicami North Beach kabrioletem doktora.

— Czy wciąż jeszcze żywisz młodzieńczą wiarę w odwagę i wytrzymałość swego przyjaciela? — zapytał starszy z nich. — Sądzisz, że przegrałem ten zakład?

— Wiem, że przegrałeś — odparł tamten niezbyt pewnie.

— Na mą duszę, pragnąłbym tego.

Zostało to powiedziane poważnie, niemal uroczyście. Przez chwil kilka trwało milczenie.

— Powiem ci — podjął doktor, który w

przesuwającym się, przyćmionym półświatle, zagląającym do kabrioletu kiedy mijali kolejne latarnie, wydawał się bardzo poważny — że nie czuję się najlepiej, myśląc o tej sprawie. Nigdy nie przystałbym na to, gdyby twój przyjaciel nie zirytował mnie wzgardliwością, z jaką potraktował moje powątpiewania w jego siłę woli jak wiadomo cechę czysto fizyczną — nie mówiąc już o bezczelnej arogancji propozycji, żeby trup był trupem lekarza. Jeżeli coś się stanie, jesteśmy zrujnowani, i obawiam się, że na to zasługujemy.

— Cóż miałoby się stać? Nawet jeżeli sprawa przybierze poważny obrót, czego się by-najmniej nie obawiam, Mancher będzie musiał tylko „zmartwychwstać” i wszystko wytłuma-czyć. Co innego gdyby rzecz dotyczyła osobnika z prosektorium albo któregoś z twoich zmarłych pacjentów.

Doktor Mancher dotrzymał zatem obietnicy: był „trupem”.

Doktor Helberson trwał w milczeniu dłuższą chwilę, a tymczasem powóz włókł się w ślimaczym tempie tą samą ulicą, którą przemierzył już dwa czy trzy razy. W końcu doktor odezwał się:

— Miejmy nadzieję, że Mancher, o ile przyszło mu powstać z martwych, uczynił to ostrożnie. Błąd w tej materii mógłby tylko pogorszyć, a nie polepszyć sprawę.

— Tak — przyznał Harper — Jarette zabiłby go. Ale doktorze — spojrzął na zegarek, kiedy powóz przejeżdżał koło latarni gazowej — jest już prawie czwarta. Nareszcie!

W chwilę później ci dwaj pozostawili wóz i szybkim krokiem zmierzali w stronę dawno nie zamieszkanego, należącego do doktora domu, w którym to uwięzili pana Jarette — zgodnie z warunkami zwariowanego zakładu. Kiedy się zbliżali, wypadł stamtąd jakiś człowiek.

— Czy nie wiecie, panowie — zapytał, zwalniając nagle — gdzie tu jest lekarz?

— O co chodzi? — zapytał Helberson z rezerwą.

— Niech się panowie sami przekonają — odparł mężczyzna, ruszając znowu biegiem.

Przyspieszyli kroku. U wejścia do domu napotkali kilka osób w podnieceniu i pośpiechu wchodzących do środka. W niektórych pobliskich domach i naprzeciwko były pootwierane okna, a z nich wysuwały się głowy. Każda z tych głów zadawała pytania, nie zwracając uwagi na pytania sąsiadów. Niektóre okna, z zasuniętymi żaluzjami, były oświetlone; mieszkający tam ludzie zbierali się, żeby zejść na dół. Dokładnie naprzeciw drzwi domu, do którego zmierzali, uliczna latarnia rzucała na scenę wydarzeń żółte, niepewne światło; zdawało się mówić, że mogłoby odsłonić o wiele więcej, gdyby tylko chciało.



Harper zatrzymał się u drzwi i położył dłoń na ramieniu towarzysza.

— Doktorze, to wszystko ma związek z nami — powiedział z niepokojem, który dziwnie kontrastował z jego niefrasobliwie brzmiącymi słowami. — Zakład obrócił się przeciwko nam wszystkim. Może nie wchodzimy tam? Lepiej się przycziąć.

— Jestem lekarzem — odparł doktor Helberson spokojnie. — Mogę być potrzebny.

Weszli po schodach i zamierzali dostać się do środka. Drzwi były otwarte. Latarnia z naprzeciwka oświetlała korytarz, prowadzący w głąb: był pełen ludzi. Niektórzy stali na schodach i gdy nie pozwalano im wejść wyżej, czekali na okazję. Wszyscy rozprawiali, nikt nie słuchał. Wtem powyżej powstało zamieszanie: jakiś mężczyzna wypadł przez drzwi i wyrwał się tym, którzy usiłowali go zatrzymać. Runął w dół przez tłum wylęknionych gapiów, roztrącając ich na boki, przypierając do ściany po jednej stronie albo zmuszając do uczepienia się poręczy po drugiej, chwytając ich za gardła, wymierzając wściekłe ciosy. Odzież miał w nieładzie, był bez kapelusza. Jego oczy, dzikie i niespokojne, miały w sobie coś, co budziło większe przerażenie niż niewątpliwie nadludzka siła. W jego twarzy, gładko wygolonej, nie było kropli krwi. Włosy miał białe.

Kiedy tłumek na dole schodów, gdzie było więcej miejsca, rozsypał się, by mu zejść z drogi, Harper rzucił się naprzód.

— Jarette! Jarette! — zakrzyknął.

Doktor Helberson chwycił Harpera za kołnierz i pociągnął do tyłu. Mężczyzna spojrział w ich twarze, jakby nie widząc; skoczył w drzwi, po schodach na ulicę i znikł. Tęgi policjant, któremu znacznie gorzej szło przeciskanie się przez schody, ruszył za nim w pogoń, a wszy-stkie głowy w oknach — należące teraz wyłącznie do kobiet i dzieci — wspierały go okrzy-kami.

Klatka schodowa częściowo opustoszała, prawie wszyscy wylegli na ulicę, żeby śledzić ucieczkę i pościg, więc doktor Helberson wspiał się na podest, mając za sobą Harpera.

Stojący w drzwiach do korytarza na górze komisarz zabronił im wstępu.

— Jesteśmy lekarzami — powiedział doktor i weszli.

Pokój był pełen ludzi, mających niewyraźnie, stłoczonych wokół stołu. Nowo przy-byli przepchnęli się do przodu i zaglądali przez ramię stojącym przed nimi. Na stole, z noga-mi przykrytymi prześcieradłem, spoczywało ciało mężczyzny, jaskrawo oświetlone snopem światła z okrągłej latarki, którą trzymał policjant stojący w nogach. Zgromadzeni — z wyją-tkiem tych, którzy stali blisko

głowy trupa, łącznie ze stróżem porządku znajdowali się w ciemności. Twarz zmarłego wyglądała strasznie: żółkła, odpychająca! Oczy były półotwarte, wywrócone, szczęka opadła, ślady piany skaziły usta, brodę, policzki. Jakiś wysoki osobnik, zapewne lekarz, nachylał się nad ciałem i wsuwał rękę pod gors koszuli. Cofnął rękę i włożył dwa palce w otwarte usta trupa.

— Ten człowiek zmarł mniej więcej sześć godzin temu — orzekł. — To jest sprawa dla koronera.

Wyjął z kieszeni wizytówkę, podał ją policjantowi i skierował się ku drzwiom.

— Proszę opuścić pokój! Wszyscy! — rzucił ostro komisarz i zwłoki znikły, jakby je kto porwał, kiedy kołyszac latarką omiótł snopem światła twarze zgromadzonych. Skutek był niesłychany! Ludzie oślepieni, zdezorientowani, ogarnięci grozą, zdrętwiali, ruszyli hurmem ku drzwiom: przepychając się, tłoczac i popychając, pierzchali niczym wysłańcy Nocy przed strzałami Apollina. Na tę skłębioną, tratującą się masę policjant puszczał strumień światła bez litości i bez wytchnienia. Helberson i Harper, porwani prądem, zostali wyniesieni z pokoju i spłynęli po schodach na ulicę.

— Wielki Boże! Czyż nie mówiłem ci, że Jarette go zabije? — powiedział Harper, gdy wyzwolili się z tłumu.

— Zapewne mówiłeś — odparł tamten, bez widocznego poruszenia.

Szli w milczeniu, mijając kolejne ulice. Na tle szarzejącego nieba rysowały się kontury domów.

Znajomy wóz mleczarski turkotał już po ulicach; niedługo wkroczy na scenę roznosiciel pieczywa; gazeciarz ruszył już w swój obchód.

— Odnoszę wrażenie, młodzieńcze — odezwał się Helberson — że obydwaj nawdychaliśmy się dziś aż nazbyt dużo porannego powietrza. Nie służy to zdrowiu, potrzebna jest nam zmiana. Co byś powiedział o podróży do Europy?

— Kiedy?

— Nie będę grymasił. Sądzę, że czwarta po południu nie będzie zbyt późną porą.

— Spotkamy się na statku — odparł Harper.

## V

W siedem lat później obaj ci panowie siedzieli na ławce na Madison Square w Nowym Jorku, pogrążeni w zażyłej pogawędce. Jakiś człowiek, który obserwował ich od pewnego czasu, sam nie zauważony, zbliżył się i grzecznie uchylając kapelusza znad pukli białych niczym szron włosów zagadnął:

— Panowie zechcą wybaczyć, ale kiedy zabiło się człowieka zmartwychwstając, najlepší jest zamienić się z nim na ubrania i przy pierwszej sposobności wyrwać się na wolność.

Helberson i Harper wymienili znaczące spojrzenia. Byli wyraźnie ubawieni. Helberson łagodnie spojrzał obcemu w oczy i odparł:

— Zawsze postępowałem według tej metody. Całkowicie zgadzam się z panem w kwestii korzy...

Urwał nagle i powstał, zbiełały na twarzy. Wpatrywał się w nieznanego z otwartymi ustami, trzęsąc się w sposób widoczny.

— Och! — zakrzyknął nieznanomy. — Jest pan niezdrow, doktorze. Jeśli nie potrafi się pan wyleczyć sam, jestem pewien, że doktor Harper panu pomoże.

— Kim, do diabła, pan jest? — zapytał Harper obcesowo.

Nieznanomy podszedł bliżej i nachylając się ku nim, powiedział szeptem:

— Czasami nazywam siebie Jarette, ale skłonny jestem zwierzyć się panom, przez wzgląd na starą znajomość, że jestem doktorem Williamem Mancherem.

Ta rewelacja poderwała Harpera na nogi.

— Mancher! — zakrzyknął.

— Na Boga! To prawda! — dorzucił Helberson.

— Ależ tak — odparł nieznanomy, uśmiechając się lekko. — Nie ulega kwestii, że to święta prawda.

Zawahał się. Robił wrażenie, jakby sobie coś przypominał. Po chwili zaczął nucić popularną piosenkę. Najwidoczniej zapomniał o ich obecności.

— Słuchaj, Mancher — odezwał się starszy z mężczyzn — opowiedz nam, co się wydarzyło tamtej nocy. Wiesz, z Jarette'em.

— A tak, z Jarette'em — podjął tamten. — Dziwne, że zapomniałem wam o tym opowiedzieć, a tak często opowiadam. A więc słyszałem, jak mówi do siebie, i zorientowałem się, że bardzo jest wylękniony. Nie mogłem się oprzeć pokusie, żeby powrócić do życia i zabawić się trochę jego kosztem — doprawdy nie mogłem. Nie było w tym nic złego, chociaż oczywiście nie sądziłem, że podejdzie do tego tak poważnie. Naprawdę nie przypuszczałem. A potem, no cóż, to było ciężkie zadanie zamienić się z nim na miejsca, a potem, bodaj was! Nie chcieliście mnie wypuścić!

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane ze wściekłą furią. Obaj panowie cofnęli się zaskoczeni.

— My? Ale dlaczego? — wyjąkał Helberson, kompletnie tracąc panowanie nad sobą. — My nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

— Czyż nie powiedziałem, że panowie nazywają się Hellborn \* i Sharper \*\*? — zapytał mężczyzna ze śmiechem.

— Istotnie, ja nazywam się Helberson, a to jest doktor Harper — odparł starszy, uspokojony tym

śmiechem. — Lecz nie jesteśmy już lekarzami. Jesteśmy, niech to diabli, stary, szulerami!

I była to prawda.

— Wspaniały zawód, doprawdy wspaniały. A swoją drogą mam nadzieję, że Harper wypłacił pieniądze Jurette'a, jak przystało na uczciwego poręczyciela zakładu. To wspaniały i szacowny zawód — powtórzył w zamyśleniu, odchodząc nieśpiesznie — ale ja nie zmienię swojego. Jestem lekarzem naczelnym w przytułku dla obłąkanych w Bloomingdale. Moim obowiązkiem jest leczyć inspektora.

Przełożyła *Monika Dutkowska*

Edith Wharton

## **Panna Mary Pask**

### I

Dopiero następnej wiosny zdobyłem się na

odwagę, by opowiedzieć pani Bridgeworth o tym, co mi się przydarzyło owej nocy w Morgat.

Zresztą Grace Bridgeworth przez cały ten czas była w Ameryce, natomiast ja po owym wydarzeniu przedłużyłem o kilka miesięcy swój pobyt za granicą — Bóg mi świadkiem nie z powodu mego widzimi się, ale wskutek rozstroju nerwowego. Zdaje się, że był to rezultat zbyt rychłego powrotu do pracy po lekkim ataku malarii, której nabawiłem się w Egipcie. Ale na-wet gdybym mieszkał drzwi w drzwi z Grace Bridgeworth, nie byłbym w stanie rozmawiać z nią o tym zdarzeniu — ani z nią, ani z kimkolwiek — w każdym razie nie wcześniej niż po odbyciu kuracji w jednym z owych cudownych szwajcarskich sanatoriów, gdzie stawiają człowieka na nogi. Nie mogłem się również zdobyć na to, by do niej napisać — w trosce o swe zdrowie. Zdarzenia owej nocy musiały być pokryte warstwami czasu i niepamięci. Dopiero wówczas mogłem o nich myśleć i mówić.

Początek był banalny: nagle obudził się we mnie głos sumienia, jak przystało na obywatela Nowej Anglii, i to odbiło się tragicznie na moim nadszarpniętym zdrowiu. Malowałem w plenerze, w Bretonii, podczas pięknej, choć kapryśnej jesiennej pogody: Jeden dzień cały w błękicie i srebrze, drugi — w porywach wiatru i oparach mgły. Opodal Pointe du Raz znajdował się mały zajazd, wzniesiony z surowej cegły, bielonej wapnem, latem oblegany



przez tu-rystów, za to jesienią — zupełne pustkowie, podmywane falami. Zatrzymałem się tam, stara-jąc się przenieść na płótno rozfalowane morze, kiedy jakiś gość powiedział:

— Powinien się pan wybrać nieco powyżej Cape, w stronę Morgat.

Poszedłem za tą radą i trafił mi się srebrzysto-błękitny dzień. W drodze powrotnej nazwa „Morgat” wywołała nagle w mej pamięci nieoczekiwane skojarzenie: Morgat — Grace Bridgeworth — siostra Grace: Mary Pask. „Wiesz, moja droga Mary ma teraz małą posiadłość niedaleko Morgat. Błagam cię, jeśli kiedykolwiek pojedziesz do Bretonii, odwiedź ją. Prowadzi takie samotnicze życie. Bardzo mnie to martwi”.

Grace Bridgeworth znałem od lat, natomiast z Mary Pask — jej starszą niezamężną siostrą — zawarłem jedynie przelotną znajomość. Wiem, że Grace i Mary wielce były do siebie przywiązane. Gdy Grace po ślubie z moim starym przyjacielem Horacym Bridgeworthem zamieszkała w Nowym Jorku, głównym jej zmartwieniem był fakt, że Mary, z którą dotąd się nie rozstawały, uparcie przedłużyła swój pobyt w Europie, dokąd obie siostry udały się w podróż po śmierci matki. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego Mary Pask wzbrania się przed powrotem do Ameryki. Grace mawiała, że siostra ma artystyczną duszę. Znając starszą pannę Pask i jej dość

elementarne zainteresowanie sztuką, zastanawiałem się, czy powodem nie jest raczej niechęć do Horacego. Istniała jeszcze trzecia możliwość — bardziej prawdopodobna, jeśli się znało Horacego — że mogła go lubić zanadto. Ale ta wersja wydaje się znów nie do przyjęcia (przynajmniej tak przypuszczam) w przypadku panny Pask: z krągłą, rumianą twa-rzyczką, niewinnymi wypukłymi oczyma, z jej staropanieńskim mieszkaniem, ozdobionym solidnymi dziełami sztuki, i z jej nieśmiałą filantropią. Ona by miała aspirować do uczuć Horacego? Też coś!

No cóż, może było to i dość zagadkowe, ale nie sądziłem, że warto sobie nad tą zagadką łamać głowę. Mary Pask, podobnie jak setki innych opuszczonych starych panien, owych pogodnych pustelnic, zadowolala się najrozmaitszymi drobnymi namiastkami życia. Grace też nie wzbudziłaby mojego zainteresowania, gdyby nie fakt, że poślubiła mego serdecznego dru-ha i była tak życzliwa dla jego przyjaciół. To przystojna i dość nudna kobieta, oddana dzie-ciom i mężowi, bez cienia wyobraźni. Między jej przywiązaniem do siostry a uwielbieniem dla niej ze strony Mary jest przepaść, jaka istnieje nieuchronnie między oddaniem osób niezaspokojonych uczuciowo a tych, które znalazły już swój obiekt uczuć. Jednak bliska zażyłość łączyła obie siostry przed ślubem Grace, a należała ona do

tych czułych, wrażliwych istot, co to mają zwyczaj mówić o swym przywiązaniu do „drogich im osób”, bez których doskonale się obyją.

— Widzisz, już wieki upłynęły, od kiedy ja i Mary byliśmy razem. Nie widziałam jej od czasu urodzenia małej Molly... Ach, żeby tak przyjechała do Ameryki! Pomyśl tylko, Molly ma już sześć lat, a dotąd nie poznała swojej drogiej ciotki... — Po czym dodała: — Obiecuj mi, że jeśli pojedziesz do Bretonii, wpadniesz odwiedzić moją Mary.

Byłem poruszony do głębi, obietnice były zbyt liczne.

I tak oto w ten srebrzysto-błękitny dzień nagle poczułem, że muszę spełnić swój obo-wiązek. No cóż, dobrze. Wrzucę do torby parę drobiazgów, dokończę malowania, a pod wie-czór pójdę odwiedzić Mary Pask, noc zaś spędzę w zajeździe w Morgat. Wynająłem rozkle-kotany jednokonny wehikuł, który miał czekać na mnie przed zajazdem, gdy wrócę z pleneru. Tuż przed zachodem słońca wyruszyłem na poszukiwanie posiadłości Mary Pask...

Zupełnie nieoczekiwanie, jakby czyjeś dłonie zakryły mi oczy, opadł na nas gęsty woal mgły. Jeszcze przed chwilą jechaliśmy po szerokim wzgórzu zwróceniem tyłem do zachodzącego słońca, co barwiło szkarłatem drogę przed nami, a teraz nagle spowiły nas nieprzeniknione ciemności. Nikt nie potrafił powiedzieć mi dokładnie, gdzie mieszka

panna Pask. Sądziłem, że dowiem się tego w osadzie rybackiej, do której zmierzaliśmy. I miałem rację. Jakiś stary człowiek, stojący na progu swej chaty, powiedział:

— To tam, za następnym wzgórzem, a potem w lewo, dróżką prowadzącą do morza. Dama... Amerykanka, co zawsze ubiera się na biało. O, tak, wiem... blisko *Baie des Trépassés*.

— Ale jak tam trafić? Nie znam tego miejsca — gderał niechętnie woźnica.

— To poznasz, jak zajedziemy — zauważyłem.

— A koń okuleje! Lepiej nie ryzykować. Miałbym za swoje od właściciela zajazdu.

W końcu stosowny argument skłonił go do zejścia z wozu i prowadzenia za uzdę poty-kającego się konia. Kontynuowaliśmy dalej naszą podróż. Zdawało się, że pełzniemy w wiłgotnym mroku, nieprzeniknionym dla wątłego światełka naszej jedynej latarni. Co jakiś czas całun mgły unosił się albo rozchyłał na boki, a wtedy w nikłym blasku latarni wyłaniał się z mroku jakiś całkiem swojski widok: a to biała brama, a to pysk gapiącej się na nas krowy, a to kopiec przydrożnych kamieni. Sprawiały one złowieszcze i niesamowite wrażenie wskutek wyizolowania z tła; to kapryśnie na nas napierały, to znów równie nagle się cofały. Po każdej takiej projekcji ciemności gęstniały potrójnie.

Od pewnego czasu doznawałem wrażenia, że

zbocze wzgórze stopniowo opada, teraz zaś zdawało mi się, że brniemy gdzieś na dnie przepaści. Wskoczyłem pospiesznie z wozu i przyłączyłem się do młodego woźnicy, idącego przy końskim łbie.

— Już dalej nie mogę. Nie idę! — powiedział płaczliwym głosem.

— Spójrz, widać światło przed nami.

Zasłona mgły rozchyliła się właśnie i ujrzeliśmy dwa słabo oświetlone prostokąty w zwalistej bryle, która z pewnością była frontonem domu.

— Doprowadź mnie do tego miejsca, a potem możesz wracać, jeżeli chcesz.

Gęsta zasłona znów opadła, ale chłopak, ujrzawszy światło, nabrał otuchy. Niezawodnie przed nami znajdował się jakiś dom i niezawodnie należał on do panny Mary Pask, gdyż na takim odludziu nie mogło być dwóch domów. Wszak staruszek z osady rybackiej powiedział wyraźnie: „blisko morza”, a te nieustanne modulacje szumu fal — tak znajome w każdym zakątku Bretonii, że można by, kierując się słuchem, a nie wzrokiem, mierzyć odległość dzielącą od morza — już od pewnego czasu mówiły mi, że zbliżamy się do brzegu. Woźnica nadal prowadził konia za uzdę, nie odzywając się wcale. Mgła zgęstniała jeszcze bardziej i w bladym świetle latarni ledwie mogliśmy dojrzeć wielkie, krągłe krople dżdżu na zmierzwionym końskim zadzie.

Nagle chłopak przystanął gwałtownie.

— Tam wcale nie ma żadnego domu. Idziemy prosto ku morzu.

— Przecież widziałeś światła.

— Zdawało mi się. A gdzie by mogły się podziać?

— Mgła znowu rzędzie. Niech pan spojrzy: widać drzewa przed nami, ale światła wcale nie ma.

— Widać mieszkańcy poszli już spać — zasugerowałem żartobliwie.

— Lepiej wracajmy.

— Co? O dwa kroki od bramy!

Chłopak milczał. Z całą pewnością przed nami była brama, a za ociekającymi deszczem drzewami przypuszczalnie znajdował się też jakiś dom. Chyba żeby była tam otwarta prze-strzeń i morze... Morze, którego pożądlivy głos dobiegał teraz z tak bliska. Nic dziwnego, że to miejsce nazywano Zatoką Umarłych! Cóż skłoniło dobroduszną, rumianolicą Mary Pask do zagrzebania się na tym pustkowiu? Oczywiście, chłopak nie będzie na mnie czekał... wiedziałem o tym... Prawdziwa *Baie des Trépassés!* Morze zawodzi w dole, jakby nadeszła pora karmienia, a furie, jego piastunki, zapomniały o nim...

A jednak jest brama! Moja ręka natrafiła na nią w ciemnościach. Po omacku szukałem klamki, nacisnąłem ją i po chwili przeczesalem rząd mokrych krzewów rosnących od frontu. Nigdzie nawet błysku świecy! Widać panna Pask, o ile to rzeczywiście jej

dom, wcześniej kładzie się spać i wstaje skoro świt...

## II

Noc i mgła stanowiły teraz jedność, ciemności były gęste niczym koc. Daremnie szukałem dzwonka. Wreszcie ręka moja natrafiła na kołatkę. Stukanie zbudziło długotrwałe echo w martwej ciszy. Minęła minuta, dwie, a nic się nie działo.

— Mówię panu, że tam nikogo nie ma! — zawołał od bramy zniecierpliwiony chłopak.

A jednak ktoś jest! Nie słyszałem wewnątrz kroków, ale niebawem szczęknęła zasuwa i stara kobieta w wieśniaczym czepku wystawiła głowę. Za nią na stole stała świeca, tak że twarz w aureoli koronkowych skrzydeł czepka ukryta była w mroku. Poznałem, że jest stara, po przygarbionych plecach i niedołącznych ruchach. Światło świecy, czyniące ją niewidzialną, padało wprost na moją twarz. Kobieta patrzyła na mnie.

— Czy to dom panny Mary Pask?

— Tak, proszę pana. — Nie okazywała zdziwienia. Jej głos, choć bardzo stary, był dość miły, a nawet przyjazny. — Zawiadomię ją — dodała i oddaliła się, powłócząc nogami.

— Sądzi pani, że będzie chciała się ze mną

widzieć? — rzuciłem w ślad za nią.

— A czemużby nie? Też pomysł! — prawie zachichotała.

Gdy się oddaliła, spostrzegłem, że jest okryta szalem i trzyma pod pachą płócienną pa-rasolkę. Widać właśnie wychodziła — pewnie na noc wraca do swego domu. Zastanawiałem się, czy Mary Pask mieszka sama w tej pustelni.

Stara zniknęła, zabrawszy świecę. Stałem pogrążony w całkowitych ciemnościach. Po jakimś czasie usłyszałem trzaśnięcie drzwi z tyłu domu, a potem powolne, ciężkie stukanie wysłużonych sabotów na chodniku za oknem. Widocznie stara włożyła w kuchni saboty i wyszła. Zastanawiałem się, czy przed wyjściem zawiadomiła pannę Pask o mojej wizycie, czy też może wystawiła mnie na pośmiewisko. W domu panowała kompletna cisza. Kroki zama-rły na dworze. Usłyszałem jeszcze trzaśnięcie bramy, a potem cisza niczym mgłą spowiła wszystko.

Ciekawe... — zacząłem w duchu i w tej samej chwili mój otępiały umysł z wysiłkiem odgrzebał w pamięci pewne zatarte wspomnienie.

Przecież ona n i e ż y j e! Mary Pask n i e ż y j e! — prawie wykrzyknąłem na głos w najwyższym zdumieniu.

To wprost nie do wiary, jakie psikusy płata mi pamięć od czasu choroby. Prawie rok temu



dowiedziałem się, że Mary Pask nie żyje — zmarła nagle ubiegłej jesieni. I chociaż myślałem o niej prawie nieustannie przez ostatnie dwa-trzy dni, dopiero teraz fakt ten ożył w mej pamięci.

Nie żyje. Czyż nie zastałem Grace Bridgeworth w żałobie i we łzach tego dnia, kiedy przyszedłem się z nią pożegnać przed podróżą do Egiptu? Czyż nie pokazała mi depeszy: „Siostra zmarła nagle tego roku — przeczytałem. — Pogrzeb w ogrodzie zgodnie z jej wolą szczegóły w liście”. Depeszę podpisał konsul amerykański w Breście, przyjaciel Bridgeworthów, o ile pamiętam. W ciemnościach, które mnie otaczały, miałem teraz wyraźnie przed oczami każde słowo.

O wiele bardziej byłem zaniepokojony utratą pamięci niż faktem, że jestem tu sam, w ciemnym jak grobowiec domu, pustym lub zamieszkanym przez obcych ludzi. Już wcześniej zdarzyło mi się takie chwilowe zatarcie w pamięci jakiegoś dobrze znanego mi faktu, a zatem jest to już drugi przypadek. Stanowczo nie wyszedłem jeszcze z choroby, jak orzekli lekarze... No cóż, wróć teraz do Morgat i położę się do łóżka na dzień lub dwa. Nic nie będę robił, tylko jadł i spał...

Tak byłem zaabsorbowany tymi myślami, że straciłem orientację i zapomniałem, gdzie są drzwi. Przetrzęsnałem kieszenie w poszukiwaniu zapalek, ale skąd mógłbym je mieć, skoro lekarze nakłonili mnie do porzucenia palenia.

Nie znalazłszy zapalek uczułem irytującą bezradność. Niezdarnie posuwałem się po omacku przez hall, objijając się o kanty niewidzialnych mebli, kiedy naraz jakieś światło padło ukośnie na otynkowaną ścianę klatki schodowej. Ruszyłem w tym kierunku i na podeście schodów ujrzałem nad sobą jakąś postać w bieli, osłaniającą dłonią świecę i spoglądającą w dół. Zimny dreszcz przeszedł mi po krzyżu: postać przypominała do złudzenia Mary Pask!

— A to ty! — zawołała głosem załamującym się ze wzruszenia: to drżącym jak u starej kobiety, to znów piskliwym niczym chłopięcy falset. Schodziła w dół, powłócząc nogami, w białej luźnej szacie, niezdarnie się kołysząc. Jej kroki na drewnianych stopniach były bezgłośne. No tak, oczywiście, tak powinno być!

Stałem w milczeniu, wpatrując się w niesamowite widziadło i pocieszając się w duchu: „Tam nikogo nie ma. Absolutnie nikogo. To tylko niestrawność albo masz coś z oczami nie w porządku czy może jakąś inną cholerną przypadłość”.

Jednak, bądź co bądź, była tam świeca. Gdy się przybliżyła, rozjaśniając mrok dokoła, odwróciłem się pospiesznie i chwyciłem za klamkę. Pamiętałem dobrze depeszę i Grace w żalobie...

— Co się stało? Zapewniam cię, że mi nie przeszkadzasz — trajkotała w podnieceniu postać w bieli. — Nie odwiedza mnie teraz zbyt wiele osób —

dodała z cichym śmieszkiem.

Zeszła do hallu i stanęła przede mną. Unosząc świecę w drżących dłoniach, zajrzała mi w twarz:

— Nie zmieniłeś się prawie wcale, w każdym razie nie tak bardzo. Za to ja tak, prawda? — Znow zaśmiała się i raptem położyła mi rękę na ramieniu. Spojrzałem na tę dłoń i pomyślałem sobie: „No, to mnie nie może zmylić”.

Uważałem się za znawcę w tej materii. Zawsze pilnie przyglądałem się dłoniom, doszukując się w ich wyglądzie odbicia cech charakteru, tak jak inni upatrują go w wyrazie oczu, rysunku ust czy sklepieniu czaszki. Ja zaś badam kształt paznokci, opuszki palców, skórę dłoni — różową lub żółtawą, gładką czy poznaczoną bliznami. Żywo miałem w pamięci dłoń Mary Pask będącą jakby miniaturą swej właścicielki: krągłą, pulchną, różową, przedwcześnie postarzałą i bezużyteczną. I oto niewątpliwie ta właśnie dłoń spoczywała na moim ramieniu, choć zmieniona i pomarszczona niczym któryś z tych bladych, pokrytych plamami muchomo-rów, co przy lada muśnięciu rozsypuje się w proch... W proch? No tak, oczywiście...

Patrzyłem na zwiotczałe, pomarszczone palce z ich idiotycznie małym owalem opuszków, zwykle tak dziewiczo, naturalnie różowe, teraz zaś sine pod pożółkłymi paznokciami — i przeszył mnie dreszcz.

— Wejdz, wejdz — mówiła podnieconym

głosem, przekrzywiając na bok swą białą głowę, z włosami w nieładzie, i wpatrując się we mnie wypukłymi, niebieskimi oczami. To było upiorne: stosowała nadal te same dziecinne sztuczki, te same naiwne fortele niezręcznej, wydziwionej kokieterii, co niegdyś. Trzymała mnie mocno za rękaw i holowała niczym stalo-wa lina.

Pokój, do którego mnie wprowadziła, był — hm, no cóż, „niezmieniony” jest określe-niem, jakiego zwykle używa się w takich sytuacjach. Z zasady po czyjejś śmierci porządkuje się wszystko: sprzedaje meble, pamiątki przesyła rodzinie... Ale z powodu jakiegoś chorobli-wego pietyzmu (lub też może na polecenie Grace) pokój zachowano w tym samym stanie, co jak przypuszczam — za życia panny Pask. Nie byłem w odpowiednim nastroju, żeby zwracać uwagę na szczegóły, ale w słabym, drżącym płomyku świecy majaczyły przybrudzone podu-szki, miedziane rondle, słoje z przywiedłą gałęzią jakiegoś późno kwitnącego krzewu. Zaiste, prawdziwe „wnętrze” Mary Pask!

Postać w bieli przemknęła widmowo w stronę kominka, zapaliła jeszcze dwie świece, trzecią zaś postawiła na stole. Nigdy nie wierzyłem w przesady, ale te trzy świece! Instynkto-wnie pochyliłem się i zdmuchnąłem jedną z nich. Za moimi plecami rozległ się kobiecy śmiech.

— Trzy świece! Przywiązujesz jeszcze wagę do

tych przesądów? Ja już jestem ponad to wszystko — zachichotała. — Ach, co to za ulga... prawdziwe wyzwolenie...

Przeszył mnie dreszcz.

— Chodź tu, usiądź koło mnie — nalegała, osuwając się na sofę. — Już od wieków nie widziałam żywej duszy!

Jej dobór określeń był zaiste niezwykły. Gdy odchyliła się na oparcie białej, śliskiej sofy i skinęła na mnie tą swoją ekshumowaną dłonią — w pierwszym odruchu chciałem się odwrócić na pięcie i uciec gdzie pieprz rośnie. Ale jej pomarszczona twarz w blasku świecy, z nienaturalnie czerwonymi policzkami, które wyglądały jak polakierowane jabłka, i poczciwe niebieskie oczy zdawały się przemawiać przeciwko memu tchórzostwu, przypominać, że martwa czy żywa Mary Pask nie skrzywdziłaby nawet muchy.

— No, siadajże — powtórzyła. Usiadłem na drugim końcu sofy.

— To cudowne, żeś mnie odwiedził. Pewnie Grace cię o to prosiła? — znów się zaśmiała. Jej słowa zawsze przerywał śmiech bez związku z tematem. — Tak rzadko miewam teraz gości od czasu m e j ś m i e r c i.

Poczułem lodowaty dreszcz. Ale patrzyłem na nią śmiało; rozbroiła mnie jej prosto-duszność.

Odchrząknąłem i przemówiłem z olbrzymim

wysiłkiem, jakbym dźwigał się z grobu:

— Mieszka tu pani sama? — wykrztusiłem.

— Och, jak to miło znów usłyszeć twój głos. Wciąż pamiętam głosy, chociaż słyszę ich teraz tak niewiele — mamrotała niewyraźnie. — Tak, mieszkam sama. Stara kobieta, którą spotkałeś, wraca na noc do swego domu. Za nic nie zostałaby tu po zmroku... Czy to nie zaba-wne? Ale nie szkodzi, ja lubię ciemności. — Pochyliła się ku mnie z tym swoim bezsenso-wnym uśmiezkiem. — U m a r l i — dodała — naturalnie przywykli do mroku.

Znów odchrząknąłem, ale bez skutku.

Wpatrywała się wciąż we mnie, mrugając poufale.

— A Grace? Opowiedz mi o mojej najdroższej siostrze. Szkoda, że nie mogę jej znowu zobaczyć... choć jeden jedyny raz. — Jej śmiech zabrzmiał groteskowo. — Czy byłeś przy tym, gdy dowiedziała się o mojej śmierci? Bardzo się przejęła?

Zerwałem się na równe nogi, jękając się bełkotałem coś bez sensu. Nie mogłem się zdo-być na odpowiedź nie mogłem dłużej znieść jej widoku.

— No, tak... to zbyt bolesne — przytaknęła. Oczy jej napełniły się łzami. Odwróciła trzęsącą się głowę. — Mimo wszystko rada jestem, że tak bardzo to przeżyła. Właśnie to pragnęłam usłyszeć, choć nikłą miałam nadzieję. Grace zapomni...

Wstała także i przemknęła przez pokój,

podpływając coraz bliżej drzwi.

— Bogu dzięki! — pomyślałem. — Odchodzi.

— Czy byłeś tu kiedy za dnia? — spytała raptem.

Potrząsnąłem głową.

— To bardzo piękna okolica, ale nie spotkalibyśmy się wówczas. Musiałbyś wybierać: ja albo krajobraz. Nie cierpię światła — przyprawia mnie o ból głowy. Sypiam więc we dnie. Właśnie się obudziłam, kiedy nadszedłeś. — Uśmiechnęła się do mnie z jeszcze większą pou-fałością. — Nie zgadniesz, gdzie zazwyczaj sypiam. Tam, w głębi ogrodu. — Znów rozległ się jej śmiech. — Jest tam cienisty zakątek, gdzie słońce mi się nie naprzykrza. Czasami śpię aż do pojawienia się pierwszych gwiazd.

Przypomniała mi się wzmianka o ogrodzie w depeszy konsula. „Mimo wszystko — po-myślałem — śmierć nie wydaje się wcale takim nieszczęsnym stanem. Może panna Pask jest nawet szczęśliwsza teraz niż za życia?”

Być może. Za to ja nie czułem się najszczęśliwszy w jej towarzystwie. Jej dziwny sposób przesuwania się chyłkiem ku drzwiom sprawił, że instynktownie zapragnąłem się znaleźć tam przed nią. Tchórzliwie wyrwałem się do przodu — lecz w sekundę potem to ona położyła rękę na klamce i stając w drzwiach w swej długiej, białej jak całun szacie,

przechyliła lekko w bok głowę i przyglądała mi się spod bezzębnych powiek.

— Chyba jeszcze nie wychodzisz? — w jej głosie brzmiał wyrzut.

Daremnie starałem się odzyskać mowę, więc tylko w milczeniu skinąłem głową.

— Wychodzisz? Odchodzisz na zawsze? — w utkwionych we mnie oczach ujrzałem dwie łzy zbierające się w kącikach i spływające po błyszczących kręgach na policzkach. — Nie możesz mnie przecież zostawić — powiedziała cicho. — Czuję się taka samotna...

Wydobyłem z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk, nie odrywając wzroku od sinych paznokci dłoni spoczywającej na klamce. Naraz okno za nami otwarło się z trzaskiem i gwałtowny podmuch wiatru z ciemności zgasił najbliższą świecę, stojącą na kominku. Obejrzałem się nerwowo, czy druga też nie zgaśnie.

— Nie lubisz wiatru? Ja lubię. Tylko z nim mogę teraz rozmawiać. Ludzie unikają mnie od czasu m e j ś m i e r c i. Śmieszne, prawda? Wieśniacy są tacy przesądni! Czasem czuję się naprawdę samotna — głos się jej załamał w przymuszonym śmiechu.

Pochyliła się ku mnie wciąż z ręką na klamce.

— Samotna! Żebyś wiedział, jak bardzo. A teraz ty przyjeżdżasz, twoja twarz jest taka życzliwa... i mówisz, że chcesz mnie opuścić? To okrutne! Nie



zrobisz tego, prawda? Zdawało mi się, że przywykłam do samotności... wiesz, po ślubie Grace. Ona twierdziła, że zawsze o mnie myśli, ale tak nie było. Nazywała mnie „najdroższą siostrą”, ale myślała przede wszystkim o swym mężu i dzieciach. Powiedziałam sobie: „Nawet w grobie nie czułabyś się bardziej opuszczona”. Ale teraz rozumiałam... Nikogo! Ani żywej duszy! Czasem tak sobie siedzę i myślę: „Może pewnego dnia odwiedzi cię jakiś mężczyzna i wpadnie mu w oko” — zachichotała. — Takie rzeczy się zdarzają, nieprawdaż? Nawet gdy minie już młodość... Mężczyzna, który także ma troski, kłopoty... Ale nikt się nie pojawił... aż do dzisiaj. A ty mówisz, że odchodzisz?!

Nagle rzuciła się ku mnie.

— Och, zostań, proszę cię, zostań ze mną... właśnie dzisiaj... Tak tu błogo, spokojnie... Nikt nie musi o tym wiedzieć... Nikt nawet do nas nie zajrzy, nie będzie nam przeszkadzać.

Powinienem był od razu zamknąć okno. Powinienem był przewidzieć, że wkrótce po pierwszym podmuchu wiatru nastąpi drugi, jeszcze gwałtowniejszy. Nadszedł teraz, zatrzasnąwszy luźno umocowaną kratę; napełnił pokój szumem morza i wilgotnymi oparami mgły i strącił na podłogę drugą świecę. Światło zgasło. Stałem tak... staliśmy, straceni dla siebie, zagubieni w mroku. Zdawało się, że serce przestało mi bić. Oblany zimnym potem, z trudem

łapałem oddech. Drzwi — drzwi, no tak: byłem zwrócony do nich przodem, gdy zgasła świeca. Jakieś białe widmo miało się i rozplywało w mroku. Starając się omijać to miejsce, gdzie biała plama stopiła się z ciemnością, błądziłem wokół po omacku. Znalazłem klamkę i zawadziwszy stopą o szal czy też tren sukni, który włókł się — niewidzialny — po ziemi, uwolniłem się szarpnięciem od tej ostatniej przeszkody.

Droga była wolna. W hallu usłyszałem za sobą jakby kwilenie. Otworzyłem drzwi i dałem nura w noc. Zatrzasnąłem drzwi za tym żalonym cichym kwileniem. Mgła i wiatr ujęły mnie w swoje kojące objęcia.

### III

Kiedy czułem się już na tyle dobrze, by pozwolić dobie na rozważenie w myślach tych spraw, okazało się, że ledwie zaczynam o nich myśleć, podnosi mi się gorączka, a serce podchodzi do gardła. Nic z tego... To nie do zniesienia... Widziałem Grace Bridgeworth w żałobie i we łzach, pochyloną nad depeszą, gdy tymczasem ja rozmawiałem z jej siostrą — siostrą już od roku nie żyjącą!

To było błędne koło. Następnego dnia zmgła

mnie gorączka, nie potrafiłem uciec przed realnością tej wizji. A jeśli to był duch, a nie majak wywołany chorobą? A jeśli to była Mary Pask, pragnąca wypłakać przede mną swą niewypowiedzianą samotność, wyrazić uczucia, które za życia ukrywała na dnie duszy? Myśl ta poruszyła mnie do głębi. Leżałem bezsilny i opłakiwałem ją. Widać istnieje coś po śmierci...

W pamięci mej ożyły nagle stare legendy i baśnie: panna młoda z Koryntu, średniowieczne wampiry... Ale jakież miano pasowałoby do tej żalostnej zjawy?

Oslabiony gorączką, snułem w myślach te wizje i im dłużej to trwało, tym bardziej byłem przeświadczony o tym, że to właśnie z widmem Mary Pask rozmawiałem owej nocy. Postanowiłem sobie, że kiedy wydobrzeję, wrócę w to miejsce, tym razem za dnia, odszukam grób w ogrodzie — ów „cienisty zakątek, gdzie słońce nigdy się nie naprzykrza” — i ukoję nieszczęsną duszę składając na jej grobie parę kwiatków.

Lekarze jednak zdecydowali inaczej. A może nieświadomie przyczyniła się do tego także moja słaba wola? Dość że poddałem się ich woli i prosto z hotelu udałem pociągiem do Paryża, a stamtąd na statek, który miał zawieźć mnie, niczym bagaż, do sanatorium w Szwajcarii, jakie dla mnie upatrzone. Oczywiście, zamierzałem wrócić, gdy tylko postawią

mnie tam na nogi... Tymczasem coraz rzadziej, coraz ostrożniej wracałem w myślach znad ośnieżonych szczytów górskich do tej jesiennej, zawodzącej wiatrem nocy nad *Baie des Trépassés* i widma Mary Pask, które było dla mnie realniejsze niż ktokolwiek z żyjących.

#### IV

Właściwie to dlaczego miałbym kiedykolwiek wspominać o tym Grace Bridgeworth? Moje przeżycia to moja sprawa. Jeśli spotkała mnie łaska objawienia, to czyż nie powinienem pogrzebać tego wspomnienia głęboko na dnie duszy, gdzie właśnie jest miejsce dla rzeczy niewytłumaczalnych i niezapomnianych? A poza tym cóż interesującego byłoby dla kobiety takiej, jak Grace, w opowieści, której ani by nie pojęła, ani w którą by nie uwierzyła? Uznała-by mnie po prostu za dziwaka — a już i tak ludzie mnie za takiego uważają. Po powrocie do Nowego Jorku głównym moim zadaniem było przekonać wszystkich o mym całkowitym — fizycznym i psychicznym — wyzdrowieniu. Temu zamierzeniu nie przysłużyłoby się zdarzenie z Mary Pask. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, winienem trzymać język za zębami.

Jednak po pewnym czasie zaczęła mnie nurtować myśl o odwiedzeniu grobu. Zastanawiałem się, czy Grace postawiła tam odpowiedni nagrobek. Dziwaczny, zaniedbany wygląd domu podsunął mi myśl, że mogła tego nie zrobić. Pewnie odłożyła to do czasu, gdy znów wybierze się za granicę. „Grace zapomni” — słyszałem wciąż w uszach skargę biednego ducha. Nie, stanowczo nie zaszkodzi poruszyć taktownie w rozmowie kwestii pielęgnacji grobu. Zacząłem już robić sobie wyrzuty, że nie wracam, by sam się naocznie przekonać, jak się mają sprawy...

Grace i Horacy przywitani mnie serdecznie jak dawniej. Wkrótce nabrałem zwyczaju wpadania do nich w porze posiłków, jeśli sądziłem, że są akurat nami. Mimo to na tę okazję musiałem czekać parę tygodni. I oto pewnego wieczora, kiedy Horacy był na kolacji poza do-mem i siedziałem sam na sam z Grace, moje spojrzenie padło nagle na zdjęcie jej siostry starą wyblakłą fotografię, z której Mary Pask zdawała się patrzeć na mnie z wyrzutem w oczach.

— Aha, wiesz, Grace, tak przy okazji — zacząłem. — Nie wiem, czy już ci kiedyś o tym wspominałem. Odwiedziłem kiedyś... dom twojej siostry, wiesz, tego dnia przed nawrotem choroby.

Jej twarz ożywiło wzruszenie:

— Nie, nigdy mi o tym nie mówiłeś. Jak to miło

z twojej strony, że tam poszedłeś. — Oczy jej napęłniły się łzami. — Tak się cieszę!

Zniżyła głos i zapytała z czułością:

— Widziałeś się z nią?

Przeszedł mnie dreszcz. Spojrzałem zdziwiony na jej pulchną twarz, uśmiechającą się do mnie przez zasłonę bezbolesnych łez.

— Wciąż robię sobie wyrzuty z powodu mojej najdroższej Mary — dodała drżącym głosem. — Ale opowiadaj, powiedz mi wszystko!

Dławiło mnie w gardle. Czuję się prawie tak niezręcznie jak w obecności owej zjawy. Dotąd nigdy nie zauważyłem niczego niesamowitego w zachowaniu Grace Bridgeworth.

— Wszystko? — wyjąkałem zdumiony. — Och, nie, nie mogę! — Starłem się uśmiechnąć.

— Ale widziałeś ją?

Zdołałem skinąć głową, wciąż uśmiechając się blado. Jej twarz stała się nagle dzika — tak: dzika.

— Czy zmiana jest tak przerażająca, że nie możesz o tym mówić? Powiedz, czy tak?

Potrząsnąłem głową. Mimo wszystko byłem zaszokowany właśnie faktem, że zmiana była tak nieznaczna że różnica pomiędzy życiem a śmiercią wydawała się niewielka.

Grace uparcie badała mnie wzrokiem.

— Musisz mi powiedzieć — powtórzyła. — Wiem, że powinnam była pojechać tam już dawno...

— Tak, rzeczywiście, chyba powinnaś —  
zawahałem się. — A przynajmniej zatroszczyć się o  
grób...

Milczała, wzrok miała wciąż utkwiony we mnie.  
Łzy nie płynęły już z jej oczu, a wyraz troski na  
twarzy z wolna przemieniał się w przerażenie. Z  
ociąganiem, prawie niechętnie, wyciągnęła rękę i  
położyła ją na mojej.

— Drogi, stary przyjacielu... — zaczęła.

— Niestety — przerwałem jej — ja sam nie  
mogłem wrócić na jej grób... zachorowałem zaraz  
następnego dnia.

— Tak, tak, oczywiście. Wiem o tym. —  
Urwała. — Czy jesteś zupełnie pewny, że tam byłeś?  
— spytała całkiem nieoczekiwanie.

— Pewny? Dobry Boże! — teraz ja oniemiałem.  
— Czy podejrzewasz, że nie wróciłem jeszcze do  
zdrowia? — zasugerowałem z zakłopotanym  
uśmiechem.

— Nie... nie... Oczywiście, że nie, ale nie  
rozumiem...

— Czego nie rozumiesz? Wszedłem do domu...  
Widziałem wszystko oprócz jej grobu...

— Grobu? — Grace poderwała się, przyciskając  
ręce do piersi i odskakując ode mnie. Zatrzymała się  
w drugim końcu pokoju i wpatrywała się we mnie  
szeroko otwartymi oczami. Potem powolutku wróciła  
na swe miejsce.

— A więc to tak... ciekawe. — Wpatrywała się we mnie na pół bojaźliwie, na pół uspokojona. — Czy to możliwe, żebyś nigdy o tym nie słyszał?

— O czym miałem słyszeć?

— Przecież pisano o tym w gazetach. Czyżbyś ich nie czytał? Miałam ci o tym napi-sać... Zdawało mi się, że pisałam... „No cóż — powiedziałam sobie. — I tak dowie się wszy-stkiego z gazet”. Wiesz dobrze, jak nie cierpię pisać listów...

— Czego się dowiem z gazet?

— No, że ona wcale nie umarła... Mary żyje! Żaden grób w ogrodzie nie istnieje, mój drogi. To był tylko atak katalepsji... niezwykle przypadek, jak orzekli lekarze. Czyżby ci sama o tym nie powiedziała, skoro jak twierdzisz, widziałeś się z nią? — Wybuchnęła na pół histerycznym śmiechem. — Chyba uprzedziła cię, że nie jest duchem.

— Nie — odparłem z godnością. — Nie uprzedziła.

Długo rozprawialiśmy jeszcze na ten temat, póki już po północy nie wrócił Horacy z kolacji, jaką spędził w męskim gronie. Grace domagała się, żeby wciąż od nowa wracać do całej tej sprawy. Twierdziła, że z pewnością pierwszy i ostatni raz o biednej Mary pisano w gazetach. Siedziałem tam i wysłuchiwałem tego cierpliwie, ale nie potrafiłem się zdobyć na żywsze zainteresowanie tematem. Czułem, że raz na zawsze straciłem sympatię dla osoby panny



Mary Pask i wszystkiego, co jej dotyczy.

Przełożyła *Ewa Kieruzalska-Gewartowska*

E.F. Benson

### **W metrze**

— To tylko konwencja — niefrasobliwie powiedział Anthony Carling — w dodatku nie bardzo przekonywająca. Czas! W rzeczywistości nie ma czegoś takiego. Czas po prostu nie istnieje. To tylko nieskończenie mały punkt wieczności, podobnie jak przestrzeń jest nieskończenie małym punktem

nieskończoności. Przyzwyczajaliśmy się wierzyć, że czas jest osobliwym tunelem, przez który podróżujemy. Tunel wydaje się nam realny, ponieważ słyszymy łoskot, a wokół nas jest ciemność. Ale zanim wjechaliśmy do tunelu, istnieliśmy w nieskończonej światłości i podobnie będzie, gdy zeń wyjedziemy. Więc dlaczego mielibyśmy zwracać uwagę na hałas i ciemność, która otoczyła nas na chwilę?

Jak na wiernego wyznawcę ponadczasowych idei, które głosił z zapalem, akcentując słowa gwałtownymi ruchami pogrzebacza wzniecającego snopy iskier i ożywiającego ogień, Anthony miał wiele zrozumienia dla tego, co doczesne i skończone. Jak nikt z ludzi, których znałem, cenił smak życia i jego uciech. Tego wieczora uraczył nas wspaniałą kolacją podlaną znakomitym porto, a uprzyjemniał ją jeszcze swym zaraźliwym optymizmem. Kiedy towarzysztwo już się rozeszło, pozostałem z nim sam na sam. Siedzieliśmy przy kominku w gabinecie. Na zewnątrz deszcz ze śniegiem, w porywach wiatru, bębnił o szyby, zagłuszając od czasu do czasu trzask ognia.

Myśl o zimnych podmuchach wiatru, o pokrytych śniegiem chodnikach Brompton Square, którymi biegli do tańczących na oblodzonej jezdni taksówek ostatni goście, czyniła moją sytuację — rezydenta do następnego ranka — jeszcze

przyjemniejszą. Nade wszystko zaś cieszyłem się z towarzystwa gospodarza, który był równie fascynujący dla słuchacza, gdy mówił o pojęciach abstrakcyjnych, będących zresztą dla niego realistycznymi i praktycznymi, jak i wówczas gdy opowiadał o interesujących zdarzeniach, jakie przytrafiły mu się w tych właśnie konwencjonalnych wymiarach — czasie i przestrzeni.

— Kocham życie — rzekł. — Uważam je za najbardziej zachwycającą z zabaw. Cudo-wną grę! A jak sam dobrze wiesz, jedynym możliwym sposobem uczestniczenia w grze jest traktowanie jej serio. Jeżeli powiesz sobie: „To tylko gra”, stracisz całe zainteresowanie. Trzeba zdawać sobie sprawę, że jest to tylko zabawa, ale jednocześnie zachowywać się tak, jakby chodziło o rzecz najważniejszą w świecie. Tak właśnie postępuję już od wielu lat. Ale równocześnie człowiek powinien żyć w prawdziwym wymiarze, to znaczy w wieczności i nieskończoności. Jeżeli zastanowimy się nad tym problemem, dojdziemy do wniosku, że jedyne, czego ludzki mózg nie jest w stanie ogarnąć, to właśnie skończoność i doczesność, nie zaś nieskończoność czy wieczność.

— To brzmi paradoksalnie — zauważyłem.

— Tylko dlatego, że przyzwyczailiśmy się myśleć o rzeczach, które wydają się ograniczone i skończone. Ale zastanówmy się nad tym. Spróbuj wyobrazić sobie skończony czas i ograniczoną

przestrzeń, a okaże się, że nie możesz. Cofnij się myślą o milion lat i przemnoż ten milion razy milion, a uświadomisz sobie, że nie możesz wyobrazić sobie początku. Bo co było przed tym początkiem? Inny początek i jeszcze inny początek? A wcześniej? Spójrz na to w ten sposób, a okaże się, że jedyne, co jest dla ciebie zrozumiałe, to wieczność, która nie ma początku ani końca.

Tak samo jest z przestrzenią. Wyobraź sobie najdalszą z gwiazd. A co jest poza nią? Pustka? Przemierz tę pustkę. Czy możesz sobie wyobrazić, że ma ona kres? Jesteś jedynie w stanie zrozumieć to, że owa pustka rozciąga się w nieskończoność. Nie istnieje nic takiego, jak „przed” lub „po”, początek czy koniec. A jaki to psychiczny komfort! Byłbym śmiertelnie udręczony, gdyby nie istniała ogromna, miękka poduszka wieczności, na której można złożyć głowę.

Niektórzy twierdzą — chyba i ciebie słyszałem mówiącego w podobny sposób — że koncepcja wieczności jest niezwykle męcząca. Tak jest w istocie, ale jedynie dlatego że myślisz o wieczności w kategoriach czasu i jakiś głos w twoim mózgu wciąż powtarza: „A co potem? A co potem?”. Czy nie rozumiesz, że w wieczności nie istnieje żadne „potem” ani „przedtem”. Wieczność jest jednością, bo nie jest to wielkość, lecz jakość.

Czasami, kiedy mówił w ten sposób, miałem

wrażenie, że zaczynam pojmować to, co dla niego jest tak jasne i oczywiste. Kiedy indziej jednak (gdy mój mózg nie był nastawiony na abstrakcje) czułem się, jakby pchał mnie w przepaść i całym swym jestestwem usiłowałem uchwycić się krawędzi czegoś namacalnego i zrozumiałego. Podobnie było i tym razem, więc mu pospiesznie przerwałem:

— Owszem, istnieje „przedtem” i „potem” — powiedziałem. — Parę godzin temu uraczyłeś nas wspaniałą kolacją, a potem — tak, właśnie potem — graliśmy w brydża. Teraz zaś starasz się wytłumaczyć mi pewne zjawiska, a potem pójdziemy spać...

Roześmiał się.

— Ależ zrobisz to, na co tylko będziesz miał ochotę odparł — i nie będziesz niewolnikiem czasu ani dziś wieczorem, ani jutro rano. Nie ustalimy nawet pory śniadania; dostaniesz je w tym punkcie wieczności, w którym się zbudzisz. A ponieważ nie wybiła jeszcze północ, rozerwiemy więzy czasu i będziemy rozmawiać w nieskończoność. Mogę nawet zatrzymać zegar, Jeżeli to ci ułatwi oderwanie się od tych iluzji. Opowiem ci historię, która, jak sądzę, pokazuje nierealność tak zwanych realiów albo przynajmniej zwodniczość naszych zmysłów w roli sędziów tego, co jest realne, a co nie jest.

— Coś z okultyzmu, opowieść o duchach? — zapytałem nadstawiając uszu, ponieważ Anthony miał osobliwą właściwość widzenia rzeczy niewidocznych

dla zwykłych oczu.

— Sądę, że można to nazwać historią o rzeczach nadprzyrodzonych — odparł — chociaż jest w niej także trochę ponurej rzeczywistości.

— Wspaniała mieszanka! Opowiadaj.

Dorzucił do kominka świeże polano.

— To dość długa historia — zaczął — przerwij mi, gdy będziesz miał dość. Ale jest coś, na co chciałbym zwrócić ci na początek uwagę. Czy zastanawiałeś się kiedyś — ty, który trwasz przy swoim „przedtem” i „potem” — jak trudno jest określić, k i e d y coś się wyda-rzyło. Załóżmy, że ktoś popełnia zbrodnię z premedytacją. Czy nie powinniśmy powiedzieć, chcąc być w zgodzie z prawdą, że czyn został popełniony w momencie, kiedy morderca pla-nował go i decydował się nań, rozkoszując się swym zamysłem? Wykonanie — myślę, że co do tego możemy się zgodzić — jest zaledwie konkretnym następstwem decyzji. Wina powsta-je w momencie postanowienia. Kiedy zatem zbrodnia ma miejsce naprawdę?

Jest jeszcze jeden problem w moim opowiadaniu, na który chciałbym ci zwrócić uwagę. Wydaje się pewne, że duch człowieka po jego śmierci jest zmuszony do powtórzenia zbrodni, aby, jak możemy sądzić, wywołać skrucę i ewentualnie odkupić winę. Ci, którzy mają dar jasnowidzenia, byli świadkami podobnych odtworzeń. Być może za życia

czyn popełniony był w zaślepieniu, za to dusza grzesznika powtarza go z pełnym oglądem rzeczy i ze zdolnością rozumienia całej jego potworności. Czy w takim razie powinniśmy traktować postanowienie, a potem popełniony czyn, jako preludium do rzeczywistego zdarzenia, kiedy duch odtwarza to, co zdarzyło się już wcześniej, ale tym razem z absolutną świadomością...

To wszystko brzmi niejasno, kiedy operuję pojęciami abstrakcyjnymi, ale myślę, że zrozumiesz, o co mi chodzi, po wysłuchaniu mojego opowiadania. Czy jest ci wygodnie? Masz wszystko, czego ci trzeba? A więc do dzieła.

Oparł się wygodnie na swym krześle, chwilę zastanawiał się, a potem rozpoczął:

— Historia, którą chcę ci opowiedzieć, zaczęła się miesiąc temu, kiedy byłeś w Szwajcarii. A zakończyła, jak sądzę, wczoraj wieczorem. A w każdym razie nie przypuszczam, żebym był jeszcze w nią wplątany. Tak więc miesiąc temu wracałem późnym wieczorem z kolacji, którą jadłem poza domem. Nie mogłem złapać taksówki, więc pobiegłem w ulewnym deszczu do metra na Piccadilly Circus. Miałem szczęście, że udało mi się jeszcze złapać ostatni pociąg.

Wagon, do którego wsiadłem, był prawie pusty; poza mną znajdował się tam tylko jeden pasażer. Siedział naprzeciw mnie, tuż obok drzwi. Byłem

pewien, że nigdy przedtem go nie widziałem, a jednak dziwnie przyciągał moją uwagę, jakbym miał z nim coś wspólnego. Był to mężczyzna w średnim wieku, ubrany wizytowo, głęboko zamyślony, jakby zastanawiał się nad czymś bardzo ważnym. Co chwila bezwiednie zaciskał dłoń leżącą na kolanie. Nagle podniósł na mnie wzrok i wtedy zobaczyłem na jego twarzy strach i podejrzliwość, jakbym przyłapał go na gorącym uczynku.

W tym momencie zatrzymaliśmy się przy Dover Street. Konduktor otworzył drzwi i ogłosił nazwę stacji, dodając: „Przesiadka do Hyde Park Corner i Gloucester Road”, co oznaczało, że następny przystanek ma być przy Brompton Road, gdzie zamierzałem wysiąść. Mój współpasażer najwyraźniej jechał w tę samą stronę. Nikt nie wszedł na stacji. Po chwili ruszyliśmy dalej. Widziałem go, jestem tego pewien, już po tym jak zamknęły się drzwi i pociąg ruszył. Kiedy ponownie zerknąłem w jego stronę, nieznajomego nie było. Jechałem w wagonie zupełnie sam. Myślisz pewnie, że zdrzemnąłem się na chwilę. Ale ja w to nie wierzę. Czulem, że doświadczam pewnego rodzaju jasnowidzenia. Mężczyzna, którego zjawę, ciało astralne — czy jakkolwiek inaczej to nazwiesz — widziałem, pewnego dnia usiadł naprze-ciwko mnie, zastanawiając się nad czymś, coś planując.

— Ale dlaczego — zapytałem — dlaczego



sądziysz, że było to ciało astralne żyjącego człowieka, a nie duch?

— Tak to odczułem. Pojawieniu się ducha (czego byłem świadkiem dwa czy trzy razy w życiu) towarzyszy zawsze lęk, a także uczucie zimna i samotności. Wierzyłem, że widziałem fantom osoby żywej, i wrażenie to zostało potwierdzone — mogę powiedzieć: udowodnione — następnego dnia. Spotkałem bowiem tego człowieka. A kolejnego wieczoru, jak się okazało, powtórnie zobaczyłem jego fantom. Ale pozwól, że opowiem ci wszystko po kolei.

Następnego dnia zaproszony byłem na obiad przez moją sąsiadkę, panią Stanley. Na przyjęciu znajdowało się zaledwie parę osób, a kiedy przyszedłem, czekaliśmy jeszcze przez chwilę na ostatniego gościa. Wszedł, gdy rozmawiałem właśnie z kimś ze znajomych. Nagle usłyszałem obok siebie głos pani Stanley:

— Chciałabym przedstawić pana sir Henry'emu Payle.

Odwrociłem się i ujrzałem swe vis-à-vis z pociągu. Był to bez wątpienia on i kiedy wymieniliśmy uścisk dłoni, miałem wrażenie, że przygląda mi się badawczo.

— Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali, panie Carling? — zagadnął. — Wydaje mi się, że...

Zapomniałem na chwilę o jego dziwnym

zniknięciu z wagonu, więc powiedziałem:

— Oczywiście, i to całkiem niedawno. Siedzieliśmy przecież naprzeciw siebie w ostatnim metrze odjeżdżającym z Piccadilly Circus wczoraj wieczorem.

Popatrzył na mnie i ze zdziwieniem potrząsnął głową.

— Nie sędzę, żeby to było możliwe — odparł. — Dopiero dzisiaj rano wróciłem ze wsi do Londynu.

Teraz zaintrygowało mnie to naprawdę. Mówi się bowiem, że ciało astralne zamieszkuje półświadome zakątki umysłu czy też ducha i pamięta, co mu się przydarzyło, lecz może przekazywać te wrażenia do świadomej części umysłu w sposób niejasny i niewyraźny. Widziałem, jak sir Payle podczas obiadu ciągle spogląda w moją stronę, jakby zdziwiony i zakłopotany. Kiedy zbierałem się do wyjścia, podszedł do mnie.

— Pewnego dnia na pewno przypomnę sobie, gdzie pana widziałem. Mam nadzieję, że spotkamy się znowu. Czy to czasem nie było... — zawahał się. — Nie, znowu mi umknęło.

Polano, które Anthony wrzucił do kominka, paliło się teraz żywo i wysokie płomienie oświetlały mu twarz.

— Nie wiem, czy wierzysz w przypadkowe zbiegi okoliczności — powiedział. — Jeżeli tak, proszę cię: odrzuć ten przesąd. Skoro jednak nie

możesz, nazwij przypadkiem fakt, że tego samego wieczoru złapałem ostatnie metro w kierunku zachodnim.

Tym razem nie byłem jedynym pasażerem. Kiedy wszedłem na peron stacji przy Dover Street, czekał tam już pokaźny tłum. W momencie kiedy rozległ się łoskot nadjeżdżającego pociągu, kątem oka dostrzegłem sir Henry'ego Payle'a stojącego w pewnym oddaleniu od reszty podróżnych, w pobliżu tunelu, z którego właśnie wyłaniał się pociąg. „Jakie to dziwne pomyślałem — że poprzedniego dnia o tej samej porze widziałem fantom tego człowieka.” Zacząłem iść w jego kierunku, zamierzając powiedzieć coś w rodzaju: „A jednak spotykamy się właśnie w metrze”.

I wtedy stało się coś potwornego. W momencie kiedy pociąg wyłonił się z ciemności, sir Payle rzucił się pod koła.

Stałem jak sparaliżowany, zakrywając sobie oczy przed tą straszną sceną, której byłem świadkiem. Ale po chwili uprzytomniłem sobie, że choć zdarzenie rozegrało się na oczach podróżnych, nikt prócz mnie nie zdawał się niczego zauważać. Motorniczy nie usiłował wcześniej zahamować — na jego widocznej w oknie twarzy nie było przerażenia; nikt nie krzyczał, nie płakał, pasażerowie wsiadali do wagonów z całkowitą obojętnością.

Widocznie zatoczyłem się; po tym, co ujrzałem,

zrobiło mi się słabo, bo jakaś poczciwa dusza pomogła mi wsiąść do pociągu. Jak się okazało, był to lekarz, który wypytał mnie, co mi jest i czy mógłby mi pomóc. Opowiedziałem mu o tym, co widziałem przed chwilą, ale zapewnił mnie, że żaden wypadek się nie zdarzył.

Było już dla mnie zupełnie jasne, że to, co oglądałem, jest drugim aktem — nazwijmy to — psychodramy. Przez cały następny ranek zastanawiałem się, co uleżałoby w takiej sytuacji zrobić. Przejrzałem poranną gazetę, w której powinna by się znaleźć wzmianka o wypadku. Nie było ani słowa. A zatem nic się nie stało. Byłem jednak wewnętrznie przekonany, że się stanie. Z moich oczu została zdarta licha zasłona czasu i wejrzałem w coś, co ty nazwałbyś przyszłością; ale z mojego punktu widzenia zdarzenie to tkwiło równie mocno w przeszłości. Istniało i oczekiwało tylko na spełnienie. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym jaśniej zdawałem sobie sprawę, że nic nie mogę zrobić.

Przerwałem jego opowieść:

— Więc nic nie zrobiłeś! — wykrzyknąłem. — Na pewno mogłeś w jakiś sposób zapobiec tej tragedii.

Potrząsnął głową.

— W jaki na przykład? — zapytał. — Czy miałem pójść do sir Henry'ego i powiedzieć mu, że jeszcze raz widziałem go w metrze, i to w trakcie

popelniania samobójstwa? Spójrz na to w ten sposób: albo to, co widziałem, było czystą iluzją, grą wyobraźni, a więc nie istniało i nie miało żadnego znaczenia, albo było to zdarzenie realne, a więc już się zdarzyło naprawdę. Można też, choć nie będzie to w zgodzie z logiką, potraktować je jako coś pośredniego. Powiedzmy, że z jakiegoś powodu, o którym ja nic nie wiem, przyszedł (lub miał przyjść) mu do głowy pomysł samobójstwa. Czyż nie byłoby wówczas wysoce niebezpieczne sugerowanie mu takiego kroku? Czy opowiadając o tym, co widziałem, nie podsuwałbym mu pomysłu lub nie umacniałbym go w postanowieniu, jeżeli ta myśl już w nim tkwiła?

— Ale nieludzki wydaje się brak jakiegokolwiek reakcji — powiedziałem. — A przynajmniej próby...

— Jakiej reakcji? — zapytał. — Jakiej próby?

Obojętność wobec możliwości wydarzenia się takiej tragedii wywołała we mnie głęboki sprzeciw, który jednak pokonywany był przez surową i nieubłaganą prawdę. I choć łamałem sobie głowę, usiłując znaleźć jakieś argumenty, nie mogłem podważyć sensu tego, co powiedział mój przyjaciel. Nie miałem kontrargumentów, i on wiedział o tym.

— Musisz też pamiętać — dodał — że wierzyłem wtedy, tak jak i wierzę teraz, że byłem świadkiem zdarzenia, które miało miejsce naprawdę. W łańcuchu przyczynowo-skutkowym, jaki powstał, ów końcowy efekt był nie do uniknięcia. Właśnie do

tego robiłem aluzję, prosząc cię na początku mej opowieści, żebyś zastanowił się, jak trudno jest stwierdzić, kiedy zdarzenie miało miejsce. Ty nadal uważasz, jak sądzę, że samobójstwo sir Henry'ego jeszcze się nie zdarzyło. Dla mnie jest to materialistyczny punkt widzenia. Uważam, że czyn już wte-dy był przesądzony. Wyobrażam sobie, że sir Henry, teraz już wolny od ograniczeń świata materialnego, też wie o tym.

Naraz przez ciepły pokój przepłynął prąd lodowatego powietrza, muskając w przelocie moje włosy i przygaszając płomień na kominku. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, czy nie otworzyły się jakieś drzwi za moimi plecami. Ale nie. Także zasłony były szczelnie zaciąg-nięte, a okna pozamykane.

Kiedy podmuch dosięgnął Anthony'ego, ten gwałtownie wyprostował się na krześle i zaczął uważnie rozglądać się po pokoju.

— Poczuleś coś? — zapytał.

— Tak. Nagły, lodowaty przeciąg — odpowiedziałem.

— Co jeszcze? — dopytywał się. — Czy poczułeś coś jeszcze?

Przez chwilę milczałem, ponieważ przypomniałem sobie rozróżnienie, jakie Anthony zrobił mówiąc o efektach wywoływanych przez fantomy osób żywych i pojawienie się duchów

zmarłych. To, co odczuwałem, odpowiadało drugiemu opisowi: zimny dreszcz, lęk, uczucie żalu. Ale nie widziałem nic.

— Czuję się dość nieswojo — rzekłem, przysuwając fotel bliżej kominka. Obrzuciłem lęklwym, przyznając, spojrzeniem ściany jasno oświetlonego pokoju. Zauważyłem, że Anthony przygląda się gzymsowi nad kominkiem, gdzie tuż pod dwuramiennym kinkietem stał zegar, który na początku naszej rozmowy mój przyjaciel chciał zatrzymać. Pokazywał za dwadzieścia pięć pierwszą.

— Ale nic nie widziałeś? — zapytał Anthony.

— Jak dotąd nic — odparłem. — Co miałbym wiedzieć? A może ty...

— Chyba nie — odparł.

Ta odpowiedź tylko mnie zirytowała, bowiem dziwne uczucie wywołane zimnym przeciągiem nie tylko nie opuściło mnie, ale czułem się jeszcze bardziej nieswojo.

— Chyba wiesz, czy coś widzisz, czy nie — burknąłem.

— Nie zawsze można być tego pewnym. Powiedziałem, że nie sądzę, żebym coś widział. Ale też nie jestem pewien, czy historia, której wysłuchałeś, zakończyła się ubiegłej nocy. Przypuszczam, że coś jeszcze może się zdarzyć. Jeżeli wolisz, możemy odłożyć tę opowieść do jutra i będziesz mógł iść teraz do łóżka.

Jego spokój pozwolił mi odzyskać pewność siebie.

— Dlaczego miałbym odchodzić? — zapytałem. Znowu rozejrzał się po jasnym pokoju.

— No cóż, myślę, że właśnie coś się może teraz wydarzyć. Jeżeli ci to nie odpowiada, lepiej wyjdź. Oczywiście, nie ma się czego bać. Cokolwiek to jest, nie może nas skrzywdzić. Jednak zbliża się godzina, w której w ciągu dwóch kolejnych nocy byłem świadkiem wyda-rzeń, o których ci mówiłem, a zjawy pojawiają się zwykle o tej samej porze. Nie wiem, dla-czego tak się dzieje, ale wygląda na to, że duch, który jest przywiązany do ziemi, ciągle pod-lega pewnym konwencjom, na przykład konwencji czasu. Przypuszczam, że wkrótce coś mi się ukaże, ale najprawdopodobniej ty tego nie zobaczysz. Nie dręczą cię w takim stopniu, Jak mnie, te... te złudy...

Bąłem się i zdawałem sobie z tego sprawę, ale równocześnie byłem zaintrygowany. Jego słowa wzbudziły we mnie jakąś przewrotną zarozumiałość. Dlaczego, pytałem sam siebie, nie miałbym widzieć tego, co było do zobaczenia?

— Nie mam najmniejszej ochoty iść spać — odpowiedziałem. — Chcę usłyszeć dalszy ciąg twojej historii.

— A więc na czym skończyłem? Ach tak, zastanawiałaś się, dlaczego nic nie zrobiłem, kiedy pociąg zbliżał się do peronu, a ja odparłem, że po



prostu nie mogłem nic zrobić. Jeżeli zastanowisz się nad tym, myślę, że się ze mną zgodzisz...

Minęło parę dni. Trzeciego dnia rano dowiedziałem się z gazety, że moja wizja się spełniła. Sir Henry Payle, czekający na peronie stacji przy Dover Street na ostatnie metro w kierunku South Kensington, rzucił się pod nadjeżdżający pociąg. Maszyniście udało się zahamować o parę jardów dalej, ale koło przetoczyło się już po klatce piersiowej ofiary, miażdżąc ją i powodując śmierć na miejscu.

Przeprowadzono śledztwo, w wyniku czego wyszła na jaw jedna z tych mrocznych historii, które przy podobnych okazjach kładą się niekiedy głębokim cieniem na życiu, być może powszechnie uważanym za szczęśliwe. Sir Henry był od dawna w złych stosunkach z żoną. Nie mieszkał z nią i, jak wyszło na jaw, niedawno zakochał się namiętnie w innej kobiecie. W nocy poprzedzającej samobójstwo zjawił się w domu swej żony. Doszło między nimi do gwałtownej sceny, w czasie której usiłował wymusić na niej zgodę na rozwód i groził, że w razie odmowy zamieni jej życie w piekło. Gdy żona odmówiła zgody, w niekontrolowanym ataku szału próbował ją udusić.

Na szczęście hałas wywołany szarpaniną zaniepokoił służącego, któremu udało się powstrzymać sir Henry'ego. Lady Payle zagroziła mężowi procesem o usiłowanie morderstwa.

Następnej nocy, jak już ci mówiłem, popełnił samobójstwo.

Anthony znowu zerknął na zegar: pokazywał za dziesięć drugą. Ogień zaczął przygasać, a w pokoju powiało dziwnym chłodem.

— To jeszcze nie wszystko — dodał Anthony, ponownie rozglądając się dookoła. — Czy jesteś pewien, że nie wolałbyś posłuchać zakończenia jutro?

Z mieszanych uczuć, jakich doznawałem — wstydu, dumy i ciekawości — to ostatnie przeważyło.

— Nie. Dokończ ją teraz — odparłem.

Zanim zaczął mówić, spojrział nagle, mrużąc oczy, w jakiś punkt za moim krzesłem. Podążyłem za jego wzrokiem i zrozumiałem, co miał na myśli mówiąc, że czasami nie można być pewnym, czy się coś widzi, czy nie. Czy to, co majaczyło między mną a ścianą, było cieniem? Było niewyraźne; nie wiedziałem, czy to coś jest bliżej ściany, czy też bliżej mojego fotela. A im uważniej się przyglądałem, tym mniej wyraźny stawał się fantom.

— Czy widzisz coś? — zapytał Anthony.

— Nie, nie sędzę — odpowiedziałem. — A ty?

— Chyba tak. — Jego oczy podążyły za czymś dla innie niewidocznym. Zatrzymał wzrok na punkcie przed paleniskiem. Patrząc spokojnie przed siebie, ciągnął dalej:

— Zdarzyło się to parę tygodni temu, kiedy byłeś w Szwajcarii. I od tego czasu aż do poprzedniej

nocy nic się nie działo. Ale przez cały ten czas oczekiwałem, że jeszcze coś się wydarzy; czułem, że dla mnie ta historia się jeszcze nie skończyła. Zeszłej nocy, pragnąc pomóc w nawiązaniu kontaktu z... spoza... poszedłem na stację metra przy Dover Street na parę minut przed pierwszą, a więc godziną zarówno usiłowania morderstwa, jak i samobój-stwa.

Kiedy się tam zjawiłem, peron był zupełnie pusty, a przynajmniej tak mi się zdawało, ale w momencie kiedy usłyszałem hałas nadjeżdżającego pociągu, zobaczyłem postać mężczyzny stojącego jakieś dwadzieścia jardów ode mnie, zaglądającego w głąb tunelu. Nie zjeżdżał ze mną na dół, a jeszcze przed chwilą na pewno go tu nie było. Zaczął iść w moją stronę i wtedy go poznałem. Poczulem zaraz lodowaty podmuch. Nie był to przeciąg wy-wołany ruchem pociągu, bowiem wiało z przeciwnej strony.

Kiedy mężczyzna zbliżył się do mnie, dostrzegłem błysk w jego oczach. Uniósł twarz, widziałem, że porusza wargami, ale nic nie słyszałem, prawdopodobnie z powodu rosnącego hałasu, dobiegającego z tunelu. Wyciągnął rękę, jakby błagając, żebym coś zrobił.

Z tchórzostwa, którego nie mogę sobie wybaczyć, cofnąłem się, wiedząc po znakach, o których ci mówiłem, że tym razem spotykam nieboszczyka. Wewnętrznie wzdragałem się przed tym kontaktem, zagłuszając na moment całe

współczucie i chęć udzielenia duchowi wszelkiej możliwej pomocy. Najwyraźniej chciał czegoś ode mnie, a ja się odsunąłem. Jedno-cześnie u wylotu tunelu pojawił się pociąg. I zaraz potem mężczyzna z przerażającym gestem rozpaczy rzucił się nu tory.

Skończywszy swą opowieść, mój przyjaciel szybko podniósł się ze swego krzesła, wpatrując się w jakiś stały punkt przed sobą. Zobaczyłem, że jego źrenice rozszerzają się, a wargi poruszają.

— Nadchodzi — powiedział. — A więc dana mi będzie szansa odpokutowania za moje tchórzostwo. Nie ma się czego bać. Ja sam też muszę o tym pamiętać...

Kiedy to mówił, z gzymsu nad kominkiem dobiegł głośny trzask i znowu poczułem nad głową powiew zimnego powietrza. Uświadomiłem sobie, że wciskam się plecami w oparcie fotela, jednocześnie wyciągając przed siebie ręce, jakbym instynktownie zasłaniał się przed czymś, co — jak wiedziałem — było tutaj, ale czego nie mogłem zobaczyć. Wszystkie zmy-sły mówiły mi, że w pokoju znajduje się jeszcze ktoś poza mną i Anthonym, a to, że go nie widziałem, napawało mnie przerażeniem. Czułem, że każdy widok, nawet najokropniejszy, byłby łatwiejszy do zniesienia niż pewność, że tuż obok czai się coś niewidzialnego. A prze-cież równie przerażający mógłby być widok nieboszczyka z pogruchotaną piersią...

Ale jedyne, co widziałem, dygocząc w zimnym podmuchu, to znajome ściany pokoju i Anthony'ego stojącego przede mną sztywno i spokojnie, przyzywającego na pomoc, jak wiedziałem, całą swą odwagę.

Patrzył na coś znajdującego się całkiem blisko niego i cień uśmiechu wykrzywił mu wargi.

— Tak, znam cię usłyszałem jego głos. Chcesz czegoś ode mnie. Powiedz mi więc czego.

Odpowiedziała mu kompletna cisza, ale to, co dla moich uszu było milczeniem, inaczej widocznie brzmiało dla niego, bo raz czy dwa przytaknął, a raz powiedział: „Dobrze, rozumiem. Zrobię to”.

Chociaż wiedziałem, że w pokoju jest ktoś, kogo nie mogę ujrzeć, a więc również nie mogę go usłyszeć, lęk przed nieznanym narastał we mnie i czułem, jak w złym śnie, że nie mogę się ruszyć. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Mogłem jedynie wyteżać zmysły, żeby usłyszeć coś, czego nie było słyhać, i zobaczyć coś, czego nie było widać, podczas gdy ciało me przenikał lodowaty podmuch śmierci. I nie tyle sama jej obecność była przerażająca, co fakt, że z zaświatów wyrwana została dusza, której nie dane było odpoczywać w spokoju aż do czasu, gdy sąd ostateczny obudzi niezliczone generacje tych, którzy przeminęli; że została oderwana od spraw tamtego świata i przywrócona światu materialnemu, z którego powinna była odejść.

Dopóki duch pozostawał w świecie materialnym, a jego obecność tworzyła jakby most nad przepaścią między żywymi a umarłymi, taki stan rzeczy był okropny i nienaturalny. Umarli mogą kontaktować się z żywymi, i nie to mnie przerażało, bo przecież taki kontakt odbywa się za zgodą obu stron. Ale zakłócanie spokoju duszy, odmawianie jej ukojenia wy-dawało mi się ciężkim przewinieniem.

I oto nastąpiło coś najbardziej przerażającego. Anthony milczał i nie patrzył już nieru-chomo przed siebie, tylko przeniósł wzrok na mnie. Wówczas poczułem, że ta niewidoczna istota zwraca na mnie uwagę. Teraz ja także stopniowo zacząłem widzieć...

Najpierw był to tylko cień na tle kominka i ściany znajdującej się poza nim, potem cień zaczął przybierać kształt mężczyzny. Formowały się szczegóły, powietrze falowało, coś jakby mgła ułożyło się na podobieństwo twarzy: smutnej i tragicznej, naznaczonej takim piętnem nieszczęścia, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Następnie uformowała się linia ramion, a poniżej sinoczerwona plama. I nagle ujrzałem go w całej okazałości. Stał ze zgruchotaną, zalaną krwią piersią, z; której sterczały połamane żebra, jak wręgi z wraku statku. Ponure, przerażające oczy utkwione były we mnie. Uzmysłowiłem sobie, że to od nich wieje chłodem.

Nagle zniknął jak zgaszona lampa. Ucichł zimny wiatr, a naprzeciwko mnie stał Antho-ny w cichym,

Jasno oświetlonym pokoju. Nic już nie wskazywało na obecność ducha. Byli-śmy sami, a urwana rozmowa dźwięczała jeszcze między nami w ciepłym powietrzu. Powra-całem do rzeczywistości jak po przebudzeniu.

— Rozmawiałeś z kimś? — zapytałem. — Kto to był?

Przeciagnął wierzchem dłoni po czole, które lśniło w świetle.

— Dusza z piekła — powiedział.

Teraz trudno mi było nawet przypomnieć sobie fizyczne odczucia, jakich doznawałem wcześniej. Jeżeli byliście zmarznięci, a potem ogrzaliście się, wiecie, jak trudno przypomnieć sobie uczucie zimna. Jeżeli było wam bardzo gorąco, a potem ochłonęliście, tak samo niemo-żliwe jest odtworzenie udreki upału. Teraz, kiedy widziadło zniknęło, nie byłem w stanie odtworzyć uczucia przerażenia, które przenikało mnie zaledwie parę chwil wcześniej.

— Dusza z piekła? — powtórzyłem. — Co ty mówisz?

Przeszedł się po pokoju, po czym przysiadł na i poręczy mojego fotela.

— Nie wiem, co widziałeś ani co czułeś — powiedział — ale ja nigdy, w całym swoim życiu, nie przeżyłem czegoś bardziej realnego od tego, co działo się w ciągu ostatnich kilku minut. Rozmawiałem z duszą, która przeżywa piekło wyrzutów sumienia —

jedyne prawdziwe piekło. Wiedziała, dzięki temu co stało się wczoraj, że może za moim pośrednictwem nawiązać kontakt ze światem, który opuściła. Szukała więc mnie i znalazła. Zlecono mi misję do kobiety, której nigdy nie widziałem: przesłanie pełne żalu i skruchy... Możesz się domyślić, kim ona jest...

Wstał z nagłym ożywieniem.

— Możemy to sprawdzić — rzekł. — Podano nazwę ulicy i numer domu. O, tutaj jest książka telefoniczna. Czy będzie to tylko zbieg okoliczności, jeżeli okaże się, że w South Kensington, przy ulicy Chasemore 20 mieszka Lady Payle?

Przewracał strony masywnej księgi.

— Zgadza się — rzekł.

Przełożyła *Dorota Malinowska*



A.M. Burrage

## Zamiatacz

Tessa Winyard odnosiła wrażenie, że najdziwniejszą cechą jej chlebobdawczyni jest życzliwość dla żebraków. Było to, z racji nikłej rysy małostkowości, coś więcej niż drobne dziwactwo. Charakter jej przypominał nierówność jakby łańcuch stromych schodów i znienacka ukazujących się dolin. Tu i tam chwyciło się ślad tej rysy, by śledzić przez krótki moment i stracić zaraz z oczu niczym cienką, słabo dostrzegalną żyłkę w bryle marmuru. W jednym tygodniu panna Ludgate pokrywała rachunki za prowadzenie domu bez szemrania, w drugim złościła się z ich powodu, kwestionując najdrobniejsze pozycje i proponując najbar-dziej absurdalne niewielkie oszczędności, które potem pierwsza była gotowa potępić, jeżeli gospodyni, pani Finch, jej posłuchała. Była dość bogata, aby traktować to obojętnie, i dość sędziwa, by mieć swoje dziwactwa.

Bardzo rzadko wspierała miejscowe instytucje dobroczynne, i pocziwe plotkary, które zjawiały się

w różnych porach z listami składek i opowiadaniem o celach zasługujących na poparcie, najczęściej odchodziły z pustymi rękami. Miała przekonywające, logiczne wymów-ki, by ścisnąć sakiewkę: szpitale powinny korzystać z subsydiów państwowych; programy po-mocy miejscowej biedocie powodują zanik gospodarności; nie ma po co wysyłać misjonarzy za granicę — mamy do nawracania własnych pogan.

Niemniej jednak czasami panna Ludgate okazywała niezwykłą wprost hojność w nierównomiernym obdarowywaniu poszczególnych osób; jej dobroć dla wędrownych żebraków była w ich bractwie powszechnie znana. Sąsiedzi mieli jej to za złe, gdyż mówiono, że wspiera różnych podejrzanых włóczęgów.

Zgadając się przyjść najpierw na miesięczny okres próbny, Tessa wiedziała, że panna Ludgate jest osobą trudną w pożyciu, i miała wątpliwości, czy dostanie posadę damy do towa-rzystwa, a co więcej czy będzie chciała ją przyjąć. Sprawa nie była załatwiana poprzez ogłoszenie. Tessa знаła zamężną siostrzenicę starej damy. Polecając młodą dziewczynę swej sędziwej krewnej, udzieliła ona Tessie wskazówek co do rodzaju dziwactw panny Ludgate i sposobu reagowania na nie. Tessa zatem przyszła do tego domu dobrze poinstruowana i niezupełnie obca.

Dom oczarował ją od momentu, gdy pierwszy

raz przekroczyła jego próg. Żywiła zakorzenione głęboko uczucie romantycznej miłości do starych wiejskich dworów. Billington Abbots, choć nic nie zostało z dawnego klasztoru, po którym odziedziczył nazwę, liczył sobie dość lat, by wzbudzać respekt. Przeważająca część budowli utrzymana była w stylu Jakuba I, ale w osiemnastym wieku któryś z właścicieli, zagorzały zwolennik modnego wówczas kultu architektury włoskiej, pokrył fasadę stiukami i dodał portyk. Był to zapewne ten sam dzie-dzic, który przy końcu alejki, pośród krzewów leszczyny, zbudował domek letni na wzór świątyni greckiej i ponosił odpowiedzialność za imitację ruin (czas nadał im później znamię autentyzmu) za stawem rybnym, pokrytym trzcina, na tyłach domu. Niewykluczone nawet, myślała Tessa, która знаła tamten okres historyczny, że tenże romantyczny dziedzic wynajmował fałszywego pustelnika, by w świetle księżyca oddawał się medytacjom przy podrabia-nym rumowisku.

Park wokół domu był gęsto zadrzewiony, co powodowało — nieuniknione przy tym — lekką wilgoć i mrok, stwarzając nastrój melancholii. Tu i tam, w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, stały ogrodowe bożki, w większości poobtlukiwane i wszystkie wymagające oczy-szczenia. Tessa zupełnie niespodzianie odkrywała te kamienne duszki, za każdym niemal razem z dreszczem emocji. Na

zakręcie cienistej alejki stał beznosy Hermes; pozbawiona ręki Demeter, na poły ukryta wśród wawrzynów, nadal czuwała nad Persefoną; tańczący faun zawisł w powietrzu, uchwycony w susie i znieruchomiały przy wejściu do otoczonego murem ogrodu od strony kuchni; satyr łąpał okiem z postumentu nad małym, kamiennym stawem, jak gdyby czekając na jakąś najadę, która by zmaciła lustro wody.

Wnętrze domu z początku napawało Tessę odrobiną lęku. Uwielbiając piękne przed-mioty, czuła respekt dla mebli i obrazów, które wypełnione były zimnym pięknem i jakby świadome tego, jak bardzo są cenne. Wszystko lśniło, wyczyszczone do połysku, bez naj-mniejszej plamki czy skazy. Salon przypominał oficjalne apartamenty królewskie udostępnio-ne publiczności.

Hall z galerią miał kształt kwadratu; sięgając wzrokiem do najwyższego piętra dostrze-gało się opadającą balustradę trzech kondygnacji. Na parkiecie stały piękne zbroje — dwie na wprost jednej — na ścianach zaś wisiały trzy czy cztery portrety pędzla Lely'ego i Knellera — tych modnych niegdyś malarzy dworskich piękności, których prace nie cieszą się łaskami współczesnych kolekcjonerów. W długiej, prostokątnej i surowej jadalni całe umeblowanie stanowił kromwelowski stół z krzesłami oraz wielki, prosty kredens, połyskujący srebrem

kandelabrow. Jedyną ozdobą ścian wykładanych boazerią były dwa wielkie portrety siedemnastowieczne pędzla nieznanego malarza szkoły holenderskiej, a brąz zasłon harmonizował z jednym z motywów dywanu, niemal całkowicie zakrytego przez długi stół.

Mniej klasztorne w charakterze, lecz także surowy i okazały był salon, w którym Tessa spędzała z panną Ludgate większość czasu. W buduarze, skromniejszym, znajdowały się foto-grafie, koszyczki z robótkami i wygodne fotele; panowała tu atmosfera kobiecej przytulności. Stara dama wolała jednak przesiadywać z całym ceremoniałem w wielkim salonie, gdzie znajdowały się meble w stylu chippendale, serwantki z bezcenną porcelaną i „Portret panny Olivii Ludgate” pędzla Gainsborougha. Zupełnie jakby — uświadamiając sobie, że jest jedy-nie kustoszem swych skarbów chciała, by pozostawały w zasięgu jej wzroku teraz, kiedy ta kuratela miała się już ku końcowi.

„Chyba liczy sobie dobrze po osiemdziesiątce” myślała Tessa. Jest bardzo mała, zasu-szona i krucha, nieomal kruchością porcelany, charakteryzującą niektóre sędziwe damy. Zimą i latem nosiła w domu biały szal wełniany, gruby lub cienki zależnie od pory roku, harmoni-zujący kolorem i do pewnego stopnia splotem z jej miękkimi i wciąż jeszcze gęstymi włosami. Twarz i ręce miała żółtobrazowe, z

zewnątrznymi oznakami starości. Widok tych rąk, pociętych niebieskimi żyłkami, lekkich i delikatnych, sprawiał wrażenie, że nawet najskrom-niejsze pierścionki obciążają je nadmiernie. Błękitne oczy były nadal przenikliwe, a piękne niegdyś usta, ściągnięte w kącikach zmarszczkami nad górną wargą, w czasie spoczynku nadawały twarzy panny Ludgate ponury wyraz. Mówiła głosem pozbawionym piskliwego brzmienia, bardzo spokojnie i niezwykle wyraźnie, jak ktoś, kto wie, że tylko musi być zrozumiany, by zyskać posłuch; dlatego dbała o to zawsze, aby ją rozumiano.

Pierwszy tydzień Tessa spędziła z panną Ludgate nie wiedząc, czy lubi starą damę, czy też się jej boi. Nie miała również pojęcia, co panna Ludgate sądzi o niej samej. W stosunkach między nimi istniał nieomal taki sam dystans, jaki zachowuje dziecko wobec nowej, surowej z wyglądu guwernantki. Tessa zachowywała się wzorowo, spełniając polecenia i zastanawiając się nad każdym wypowiedzianym słowem, tak jak powinny postępować dzieci, choć tego najczęściej nie robią.

Nieraz dziwiła się, dlaczego panna Ludgate nie zaangażowała starszej osoby; chłodna poprawność ich stosunku względem siebie w tych pierwszych tygodniach skłaniała Tessę do snucia rozważań, jaką to lukę wśród służby domowej ma wypełnić i czego się od niej oczekuje w zamian za pensję i wikt.

Prawdę mówiąc, panna Ludgate chciała, żeby domem zajął się ktoś młody, nawet jeśli z damą do towarzystwa nic jej nie łączyło poza tak elementarnymi czynnikami, jak płeć i przynależność do rasy ludzkiej. Służba składała się ze starych domowników, zatrzymywanych dla niej nie potwierdzonymi prawnie legatami. Tych niewielu krewnych, jakich miała, zaprzętały ich własne sprawy. Domem i przeważającą częścią dóbr, przynoszących jej dochód, panna Ludgate zarządzała w imieniu dziedzica wyznaczonego tym samym testamentem, który obu-dził w niej żywe zainteresowanie posiadłością. Chroniło ją to od zrozumiałej usłużności różnych krewniaków obojga płci, polujących na majątek, ale powodowało, że była samotna i spragniona towarzystwa młodych.

Na szczęście Tessa grała na pianinie całkiem nieźle i miała wyrobiony smak muzyczny; to samo odnosiło się do panny Ludgate będącej pianistką na bardzo zbliżonym poziomie, póki palce jej nie odmówiły posłuszeństwa, zeszywniałe od reumatyzmu. Zatem wielkie, ciężkie pianino, skrupulatnie strojone, przestało milczeć i panna Ludgate odzyskała dawno utraconą przyjemność. Należy dodać, że dwudziestodwuletnia Tessa, nie mając pretensji do klasycznej piękności, obdarzona była dość pospolitą urodą, którą podkreślały doskonale zdrowie i świeżość młodości. Najładniej

wyglądała w blasku świec ze szczupłymi dłońmi przynajmniej one zadowolilyby artystę — unoszącymi się jak białe, drobne motyle nad klawiaturą fortepianu.

Po tygodniu pobytu u panny Ludgate stara dama po raz pierwszy zwróciła się do niej po imieniu:

— Mam nadzieję, moja droga, że zostaniesz u mnie — rzekła. — Sprzykrzy ci się to i, obawiam się, uznasz mnie za nudziarę, ale nie zajmę ci całego czasu i sądzę, że znajdziesz tu przyjaciół i rozrywki.

Tessa została więc po okresie próbnym. Miała miękkie serce, które łatwo obdarza przyjaźnią i zawsze traktuje ją poważnie. Pragnęła lubić każdego, kto darzy ją sympatią, i na ogół jej się to udawało. Trudno by było analizować charakter przyjaźni pomiędzy obiema kobieta-mi, ale z pewnością taka istniała i niekiedy ich ręce stykały się porozumiewawczo ponad barierą młodości i wieku. Panna Ludgate budziła w Tessie dziwną czułość. Mimo całego bogactwa i władczego sposobu bycia była postacią wzruszającą i samotną. Przypominała Tessie jakąś ubogą aktorkę grającą rolę królowej w tandetnych klejnotach koronnych, wydającą rozkazy, które inni komedianci spełniają jak automaty; zaś po opadnięciu kurtyny czeka na nią naga rzeczywistość: mokre ulice, marne posiłki i zimne mieszkanie bez wygod.

Tessę napęłniała współczuciem myśl, że tuż



obok istnieje żywe, oddychające, trzymające się kurczowo życia stworzenie, które musi naturalnym porządkiem rzeczy opuścić ten padół. „Za pół wieku ja też będę liczyła sobie siedemdziesiąt dwa lata i właściwie dlaczego nie miałabym dożyć tego czasu” — myślała. Zastanawiała się z przykrością, jak to jest, gdy nie można już oczekiwać nadchodzącego miesiąca ze zwykłą ufnością i gdy się traktuje każdy wieczór jako próg niepewnego jutra.

Tessa nudziłaby się, gdyby nie całkowita zmiana otoczenia. Wychowała się na wielkiej plebanii, wśród siedmiorga rodzeństwa, które donaszało po sobie ubrania, wydeptywało wy-świechtane dywany, niszczyło tandetne meble, łamało wszystko, co się dawało łamać, z wyjątkiem serc rodzicielskich i jakoś wśród tego rozgardiaszu osiągnęło wiek młodzieńczy. Nie-zwykła wprost wystawność życia u panny Ludgate ubarwiała tę monotonię.

Oto, co pisała Tessa do „Kochanej mamy”:

*Przypuszczam, że po powrocie do domu nasze miłe, stare pokoiki wydadzą mi się absurdalnie małe. Najpierw uważałam, że domostwo jest ogromne, a każdy pokój dorównuje wielkością sali w koszarach co nie znaczy, że byłam w nich kiedykolwiek! Lecz teraz się przyzwyczaiłam; w rzeczywistości to nie taki ogromny budynek, jak myślałam. Oczywiście, w porównaniu z naszym olbrzymi, lecz mniejszy od*

*domu lorda Branbourne'a, a nawet pulko-wnika Exteda.*

*Chociaż właściwie to kochana, stara posiadłość warta jest opisanie w którejś z tych książek, gdzie można znaleźć „tajemniczość” i „przesuwającą się płycinę boazerii”, a boha-terką jest guwernantka wychodząca za mąż za „młodego baroneta”. Lecz z tego, co słyszałam, nie ma tu nic zagadkowego, choć lubię tak sobie wyobrażać, a gdybym nawet była guwernantką, w zasięgu mil nie znajdzie się młodego baroneta. Powinien jednak być tu przynajmniej tradycyjny duch, ale nie słyszałam o żadnym: chyba dwór wykazuje braki nawet pod tym względem. Nie lubię indagować o to panny Ludgate, bo chociaż miła z niej osoba, są rzeczy, o które nie mogę jej pytać. Może wierzy w duchy i rozmowa o nich by ją przestraszyła, albo nie wierzy i wtedy by się gniewała, że wygaduję głupstwa. Naturalnie, zdaję sobie sprawę, że to wszystko bzdury, ale czyż nie byłoby przyjemnie, gdyby nawiedzała nas sympatyczna Biała Dama, powiedzmy z czasów panowania królowej Anny. Cóż, z braku innych strachów, robią to włóczęgi.*

Dalej list opisywał niezliczone, codzienne odwiedziny tych nomadów angielskiego kra-jobrazu, którzy w drodze od jednego przytułku do drugiego żebrzą i kradną; tych dziwnych, pozbawionych

rozsądku, nieodpowiedzialnych istot, które woła najskrajniejszą nędzę i niewy-gody od jakiego takiego dobrobytu łączącego się z uczciwą pracą. Każdego dnia przychodziło przeciętnie trzech czy czterech włóczykiów i żaden nie odszedł z pustymi rękoma. Pani Finch miała wyraźne dyspozycje i wykonywała je z kamienną twarzą osoby całkowicie posłu-sznej. Kiedy zabrakło jada, istniała przyjemniejsza perspektywa otrzymania brzęczącej mo-nety, którą można było wydać na gorzałkę w najbliższej gospodzie.

Tessa wciąż spotykała włóczków na podjeździe. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety. Różnili się od niebie na sto sposobów: jedni jeszcze zachowali resztki poczucia własnej go-dności; inni, ohydni, rozglądający się chytrze, ukradkiem, byli potencjalnymi kryminalistami, którym brakło odwagi, by wznieść się ponad drobną kradzież. Większość miała albo złe twa-rze, albo zmysłowe, nie domknięte usta półdiotów i rozbiegane oczy, a wszyscy byli jedna-kowo niechlujni i bezczelni. Tessa przyzwyczała się do tego, że nie spuszczają wzroku, obrzucając ją zuchwałym, wyzywającym spojrzeniem, bezceremonialnie kiwają na nią, szcze-rzą odrażająco zęby. Po swojemu na różne sposoby dawali jej do zrozumienia, że jest nikim; że jeśli nie znosi ich widoku, to tym lepiej. Była sługą, którą można zwolnić, gdy tymczasem oni z jakichś

ukrytych powodów są zawsze mile widzianymi gośćmi. Tessę raziła ich obecność i ich niema bezczelność; w duchu zła była na pannę Ludgate za to, że ich wspiera. Dla społeczeństwa byli szczurami ze ścieków, plugawymi i grabieżczymi, roznoszącymi choroby od wsi do wsi, z miasta do miasta.

Dziewczyna wiedziała coś niecoś o borykaniu się z przeciwnościami losu przyzwoitych, ubogich ludzi. Wychowała się na wiejskiej plebanii, co pozwoliło jej z bliska poznać życie parobków i robotników budowlanych — tragiczną nędzę ich domów, ich niezależność i walkę o byt, którą dzielnie podejmowali. W posiadłości panny Ludgate niejedna rodzina żywiła się chlebem i kartoflami, też dostając niewiele więcej. Stara dama jednak nie darzyła ich wcale sympatią, bez ograniczeń zaś rozdawała jałmużnę tym, którzy na to nie zasługiwali. W rowach za parkiem stale można było znaleźć bochenek chleba albo dwa, ciśnięte tam przez jakiegoś włóczęgę, delektującego się czymś delikatniejszym, uzyskanym przy drzwiach dla dostawców.

Tessa wołała nie poruszać w rozmowie z panną Ludgate tego tematu. Prawdę powie-dziawszy, w gwarze izby czeladnej (o czym wiedziała) równało się to utracie posady. Ale nie wytrzymała, by nie wspomnieć o tym pani Finch, do której obowiązków należało wydawanie jedzenia i picia lub, gdy ich brakło, pieniędzy.

Pani Finch, która pod wpływem otoczenia stała się milcząca, zachowując mimo to wewnętrzne ciepło, na początku odpowiedziała jednym, przekonywającym zdaniem:

— Takie jest polecenie. — Po chwili dodała: — Pani ma ważne powody, żeby tak postępować, albo uważa, że je ma.

Kończyło się lato, gdy Tessa zamieszkała w Billington Abbots, i wonna lawenda, ten najwcześniejszy zwiastun zbliżającej się jesieni, już zakwitła w ogrodach. Przyszedł wrzesień i wśród drzew pokazały się pierwsze ostrzegawcze, jasnożółte smugi. Kolczaste łupiny ka-sztanów otwierały się, wypuszczając połyskujące brązowe owoce. W porze wieczornej staw i strumień z pstrągami wyziewały blade, nisko ścielące się mgły. Powietrze nagle stało się mro-żne.

Codziennie rano Tessa, patrząc przez okno na drzewa, obserwowała nieubłagane posu-wanie się czasu. Dzień po dniu zielone odcienie przechodziły w żółte. Potem żółcienie zaczę-ły ustępować miejsca brązowym, czerwonym i złotym. Tylko ostrokrzewy i wawrzyny nie ulegały temu wzmagającemu się napływowi.

Nadszedł wieczór, gdy panna Ludgate pojawiła się pierwszy raz w zimowym szalu. Sprawiała wrażenie przygnębionej, niewiele mówiła w trakcie obiadu; później, w salonie, wyjęła talię kart do

pasjansa i, tasując je do wieczornej gry, naraz oparła łokcie na stole i ukryła twarz w dłoniach.

— Źle się pani czuje? — spytała Tessa z niepokojem.

Panna Ludgate odjęła ręce, ukazując starą, zwiędłą twarz. W jej żalonym, chmurnym wzroku czaił się lęk.

— Czuję się tak jak zwykle, moja droga — rzekła. — Musisz mnie traktować wyrozumiale. Zbliży się ciężka dla mnie pora. Jeśli dożyję do końca listopada, pociągnę i następny rok. Ale tego jeszcze nie wiem, nie jestem pewna.

— Naturalnie, że nie umrze pani w tym roku — powiedziała Tessa optymistycznym tonem, jakim zwykle uspokaja się przestraszone dzieci.

— Jeżeli nie tej jesieni, to z całą pewnością którejs następnej — starczy głos zadrżał. Wiem o tym.

— Ale skąd to można wiedzieć? — spytała Tessa ze stosowną nutką łagodnego niedowierzania.

— Czy to ważne skąd?... Dużo liści już spadło?

— Jak dotąd prawie wcale — odparła Tessa. — Nic ma silnego wiatru.

— Już niebawem będą opadać — rzekła panna Ludgate. — Już wkrótce...

Głos jej się załamał, ale zaraz się opanowała. Wzięła miniaturowe karty i zaczęła układać pasjansa.

W dwa dni później, przez cały ranek i wczesno

popołudnie lał rześisty deszcz. Z nastaniem zmierzchu zerwała się zawierucha i potok żółtych liści, wirujących w kapryśnych podmuchach wiatru, spłynął w ukośnych strugach deszczu na ziemię. Panna Ludgate siedziała w milczeniu, przypatrując im się otepiałym wzrokiem, póki nie zapalono światła i nie zaciągnięto stor.

W porze obiadu wiatr znów stracił na sile i ustał deszcz. Tessa, zerkając spoza zasłon, dojrzała jeszcze na tle nieba sylwetki drzew i kilka połyskujących blado gwiazd. Mimo wszystko noc się zapowiadała pogodna.

Panna Ludgate znów wydobyła karty do pasjansa, a Tessa sięgnawszy po książkę czekała, kiedy jej każą podejść do pianina. Pokój zalegała cisza, słyszać było jedynie trzask kart wykładanych na polerowany blat stołu i od czasu do czasu suchy szelest, gdy Tessa przewracała stronicę.

Prawdę mówiąc, nie umiałyby powiedzieć, kiedy po raz pierwszy dotarły do jej świadomości te dziwne dźwięki z ogrodu. Zamknęła książkę, przytrzymując palcami miejsce, gdzie czytała, i zaczęła nasłuchiwać. Dźwięki były szeleszczące, suche, przedłużające się i rytmiczne. Po każdym następowała jednakowa przerwa. Jakby się słyszało, jak ktoś wolno czesze długie, kobiece włosy. Co to może być? Naraz Tessa uświadomiła sobie, że to na długiej ścieżce za domem, ciągnącej się wokół całego

budynku, ktoś miotłą na kiju zmiata opadłe liście. Ale cóż to za późna pora na zamiatanie!

Nasłuchiwała dalej. Teraz już rozpoznane, szmery nie budziły żadnych wątpliwości. Domyśliłaby się wcześniej, gdyby nie mrok na zewnątrz. Już miała zrobić jakąś uwagę, kiedy podniosła wzrok na pannę Ludgate i nie wyrzekła słowa.

Stara dama siedziała na pół zwrócona ku oknom, z twarzą nieco uniesioną, z oczami wzniesionymi w górę, wyteżając słuch. Cała jej postać była nienaturalnie sztywna, wyrażała napięcie. Sprawiało to wstrząsające wrażenie.

W nienaturalnej ciszy pokoju coś się poruszyło. Panna Ludgate odwróciła głowę, uka-zując swej damie do towarzystwa pobladłą nieszczęśliwą twarz i udręczone oczy. Później w mgnieniu oka jej mina uległa zmianie. Tessa uświadomiła sobie, że jej chlebodawczyni przychwyciła ją na wsłuchiwanie się w odgłosy z dworu i z jakichś powodów gniewa się na nią za to.

— Zechcesz coś zagrać, Tesso?

Mimo pytającego tonu słowa były szorstkim rozkazem i Tessa zdawała sobie z tego sprawę. Z jakichś dziwnych powodów panna Ludgate nie życzyła sobie, by ona słyszała od-głosy zamiatania, i pragnęła jo zagłuszyć. Taktownie wybierała więc utwory pozwalające na częste używanie głośnego



pedału.

Po pół godzinie panna Ludgate wstała, szczerzej otuliła ramiona szalem i ociężale podeszła do drzwi, zatrzymując się tylko, by powiedzieć Tessie dobranoc.

Tessa pozostała sama w pokoju, usadowiając się wygodniej przy pianinie. Upłynęła chwila albo dwie, nim zaczęła brzdąkać cicho, z roztargnieniem. Ten odgłos z dworu zamia-tania dróżki... Dlaczego pannie Ludgate nie podobało się, że ona go słyszy? Teraz ustał; może by wyrzeć, zobaczyć, kto o tej porze zamiata? Czyżby oglądanie porozrzucanych, opadłych liści budziło w pannie Ludgate dziwną niechęć, a może się wstydziła, że o tej porze każe pracować ogrodnikowi? Ale przecież ona nie przejmuje się tym, co ludzie myślą, to nie w jej stylu; zresztą śpi do późna, więc zostaje dużo czasu na zgarnięcie liści, nim oczy pani domu spoczną na nich. Więc czego się tak panicznie boi? Czy to ma coś wspólnego z jej dziwnym przeświadczeniem, że umrze na jesieni?

Idąc spać Tessa uśmiechała się do siebie leciutko na myśl, że się stara przeniknąć tajemnice tego perwersyjnego, ponad osiemdziesięcioletniego umysłu.

Noc nadal była spokojna i nic nie zapowiadało zmian.

Gdy nazajutrz rano przed śniadaniem Tessa wyszła na spacer do ogrodu, długa alejka za domem

była grubo usłana liśćmi i Tom, drugi ogrodnik, uwijał się wśród nich z taczka i jedną z tych brzoźowych mioteł na kij, które według średniowiecznych wyobrażeń służyły za rumaki czarownicom.

— Ileż liści spadło w nocy! — wykrzyknęła Tessa.

Tom przerwał zmiatanie.

— Nie, panienko. Nawiał je wiatr z samego wieczora.

— Przecież wszystkie były zmiecione. Z całą pewnością. Słyszałam, jak ktoś zmiatał po dziewiątej. Czy to czasem nie ty?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

— Panienko, po dziewiątej nie złapie pani żadnego z nas przy robocie. To niewdzięczna praca. O tej porze stu robotników by nie potrafiło utrzymać porządku w ogrodzie.

Tessa, zamyślona, weszła do domu. Zmiatanie liści trwało z przerwami przez cały dzień; zapach ogniska przygotowanego, by je spalić na leżącej odłogiem ziemi za ogrodem sąsiadującym z kuchnią, niósł się ku domowi.

Tego wieczora panna Ludgate kazała napalić w buduarze. Ale kominek dymił, więc stara dama, pokasławszy, pogderawszy i ofuknąwszy panią Finch za opieszale i nieudolne oczyszczenie go, poszła wcześniej spać. Tessa, pozostawiona samej sobie,

pomyślała o zostawionej w salonie książce. Ledwo przestąpiła jego próg, gdy stanęła jak wryta, nasłuchując. Nie wierzyła własnym uszom. Wbrew słowom Toma i mimo że było już po wpół do dziewiątej ktoś zamiatał ścieżkę w ogrodzie.

Podszedłszy na palcach do okna, wyjrzała spoza zasłon. Jasne światło księżyca posrebrzyło ogród, ale nie dostrzegła nikogo. Dźwięki dobiegały z dalszego odcinka alejki, zasłoniętego przed jej wzrokiem. Tuż obok salonu znajdowały się drzwi do ogrodu, lecz z jakiejś nieokreślonej przyczyny nie miała ochoty wyjść popatrzeć na tajemniczego ogrodnika. Co osobliwsze, z lekkim, zimnym dreszczem uświadomiła sobie, że zdecydowanie woli zobaczyć go — przynajmniej po raz pierwszy — z pewnej odległości.

Przypomniała sobie o oknie na półpiętrze i po chwili wahania cicho, na palcach weszła na pierwsze piętro, a potem zeszła w dół, na korytarz po lewej stronie podestu. Tutaj blask księżyca, przenikając przez szybę, rzucał bladoniebieską poświatę na przeciwległą ścianę. Tessa, odsunawszy zasuwę, delikatnie, bez hałasu uniosła w górę przesuwane skrzydło okna i wychyliła się.

Poniżej, o kilka metrów na lewo, blisko rogu budynku jakiś mężczyzna powoli, rytmicznie zamiatał ścieżkę miotłą. Wymachiwał raz po raz, chłoscząc dróżkę z miękkim, przejmującym

świstem; jego ruchy regularnością przypominały nieśpieszne ruchy wahadła starego zegara.

Ze swego punktu obserwacyjnego Tessa nie była w stanie przyrzeć się dokładniej po-staci na dole. Wyglądał na robotnika, gdyż coś w sylwetce w sposób ledwo uchwytny nasu-wało myśl o znoszonej, workowatej odzieży. Lecz było coś dziwnego w tym widoku. Uświa-domiła sobie mgliście, że jest świadkiem zjawiska, które urąga prawom natury, ale nie wie-działa dlaczego. Nagle zakreśliło jej się w głowie i cofnęła się, czując mdłości.

Tchórzliwa strona natury Tessy nagliła, by poszła spać i starała się puścić wszystko w niepamięć. Ale ta druga Tessa — Tessa, która pogardzała tchórzami i sama umiała się pod presją wznieść na szczyty odwagi — przekonywała ją, żeby zostać.

— Tesso, ty tchórzku! Nie wolno ci się bać — nakazywała sobie szeptem. — Masz natychmiast zejść na dół i zobaczyć, kto to jest. Przecież cię nie zje!

Teraz obie Tessy, uwięzione w jednym ciele, ponownie zaczęły się skradać na dół i ta dzielniejsza Tessa złościła się na ich wspólne serce za to, że wali tak mocno, usiłując osłabić jej wolę.

Odrygłowała drzwi i wyszła wprost w księżycowy blask. Zamiatacz dalej pracował tuż przy rogu budynku, opodal miejsca, gdzie się kończyła dróżka i zieloną bramą pomalowaną na zielono

wjeżdżało się na dziedziniec stajenny. Alejka usłana była grubą warstwą liści i dziewczyna, niepewnie posuwając się naprzód z rękami przyciśniętymi do piersi, spostrzegła, że zamiatacz robi małe postępy w pracy. A jednak to nie to uszło z góry uwagi Tessy. Nadal brakowało czegoś nieuchwytnego.

Liście na ścieżce tłumili odgłos jej kroków, ale zamiatacz usłyszał je, gdy Tessę dzieliło od niego sześć jardów. Przerwawszy pracę, odwrócił się i spojrzął na dziewczynę.

Był to wysoki, chudy mężczyzna o trupiobladej twarzy; kiedy się Tessie przyglądał, oczy wyłaziły mu z głowy jak ogromne, tworzące się bańki mydlane. Twarz, którą ukazał, była odrażająca i zboląła; cierpienie to wzbudzało wstręt i lęk, lecz nie litość. Miał na sobie najnędrniejsze łachmany: sprawiały wrażenie narzuconych byle jak na wychudłe ciało. Ręce, mocno ściskające miotłę, zdawały się składać z samej skóry i kości. „Jest taki chudy, pomyślała Tessa, niemal...” i czuła wstręt do tej myśli, która usiłowała przemocą wcisnąć się do jej świadomości. „Tak, niemal p r z e z r o c z y s t y” — uświadomiła sobie i ten wyraz zaczął oznaczać dla niej coś nowego, ohydneho, wzbudzającego obrzydzenie.

Przez cząstkę wieczności stali naprzeciw siebie, a później Tessa usłyszała swój krzyk. Oślepiło ją nagle zrozumienie, czym jest ten osobliwy, napelniający odrazą szczegół, jaki zaniepokoił ją, gdy

patrzyła na tę postać z okna. Ścieżka zalana była blaskiem księżycowym, ale zjawy nie miała cię ni a! I zaraz po tym okropnym odkryciu Tessa poprzez przezroczystą sylwetkę dojrzała niewyraźnie, że na ścianie poruszył się bluszcz. Nagle, gdy uświadomiła sobie, że ta niesamowita istota nie pochodzi z tego świata, wydarł jej się krzyk — a potem została przeraźliwie sama. Ścieżka, na której w świetle księżycy leżały porozrzucane liście, była pusta.

Tessa nie pamiętała swego powrotu do domu. Naraz zdała sobie sprawę, że się znajduje w hallu: rozszlochana, słaba, bez tchu. Widząc światło tańczące na ścianie w górze, nad scho-dami, zaczęła się zastanawiać, jakim nowym okropnościami ma stawić czoło. Ale to tylko pani Finch schodziła na dół, w szlafroku, ze świecą w ręce, co wyglądało niestosownie, lecz bardzo pokrzepiało.

— A, to pani — odezwała się gospodyni, uspokojona. Nachylając świecę, przyjrzała się badawczo zapłakanej dziewczynie. — Co to wszystko znaczy? Och, panno Tesso, panno Tesso! Nie była pani chyba na dworze, prawda? To niemożliwe!

Tessa, łkając i dławiąc się łzami, usiłowała wydobyć z siebie głos:

— Widziałam... widziałam...

Pani Finch, pośpiesznie zszedłszy na dół, objęła ramieniem dygoczącą dziewczynę.

— Cicho, cicho, kochanie! Wiem, co pani widziała. Nie powinna była pani wychodzić. Ja też go raz widziałam, ale tylko raz, dzięki Bogu...

— Kto to taki? — wyjąkała Tessa.

— Proszę nic sobie z tego nie robić, moja droga. No, proszę się nie bać, już po wszystkim. On nie przychodzi tu po panią. To panna Ludgate jest mu potrzebna. Nie ma się czego bać, panno Tesso... Gdzie go pani widziała?

— Tuż przy końcu ścieżki, koło bramy stajni.

Pani Finch załamała rękę.

— Och, biedna panna Ludgate! Zostało jej niewiele czasu. Koniec już bliski.

— Nie zniosę tego więcej — szlochała Tessa, a potem, przytulając się do pani Finch, zaprzeczyła sobie samej: — Nie zaznam spokoju, póki się nie dowiem wszystkiego. Proszę mi opowiedzieć.

— Chodźmy do mojego saloniku, kochanie. Zaparzę herbaty. Chyba obu nam dobrze zrobi. Lecz najlepiej by było, gdyby pani nie poznała prawdy. Przynajmniej nie dzisiaj.

— Muszę, jeśli mam kiedykolwiek zaznać spokoju — wyszeptała Tessa.

W saloniku gospodyni za osłoną kominka nadal palił się ogień, gdyż pani Finch położyła się zaledwie parę minut temu. W mosiężnym czajniku woda jeszcze nie wystygła i po chwili herbata była gotowa. Tessa popijała ją małymi łykami, czując pierwsze

oznaki powra-cającej odwagi. Spojrzała pytająco na panią Finch.

— Opowiem pani, panno Tesso, jeżeli to panią uspokoi — rzekła stara gospodyni. — Proszę jednak nie mówić panie Ludgate, że wie pani o wszystkim.

Tessa skinęła głową, dając żadaną obietnicę.

— Nie wie pani — zaczęła szeptem pani Finch — dlaczego panna Ludgate daje jałmu-żnę każdemu żebrakowi, czy na to zasługuje, czy nie. Zdradzę pani powód: otóż nie zawsze postępowała w ten sposób dopiero od jakichś piętnastu lat tak się zmieniła.

Była już wtedy stara, lecz żwawa na swój wiek i pasjami lubiła ogrodnictwo. Któregoś późnego jesiennego popołudnia, gdy ścinała ostatnie róże, do drzwi dla dostawców podszedł jakiś żebrak. Wyglądał na chorowitego, cierpiącego i zamorzonego widziała go pani tam...

Później dowiedzieliśmy się, że jest nicponiem, lecz żał mi go było i właśnie miałam dać mu, bez rozkazów, trochę jedzenia, gdy wtem zbliża się panna Ludgate. „O co chodzi?” — pyta.

Płaczliwym głosem wybąkał, że nie może dostać pracy.

„Pracy! — mówi pani. — Ty nie pracy szukasz. Szukasz wsparcia. Jeśli chcesz dostać jeść — powiada — to najpierw odpracuj. Oto miotła. Zamieć tę ścieżkę zasłaną liśćmi. Gdy skończysz, przyjdź do mnie”.



Żebrak wziął miotłę, a po kilku minutach usłyszałam krzyk panny Ludgate i wybiegłam z domu. Mężczyzna leżał na ścieżce, w miejscu, gdzie rozpoczął zmiatanie, bez sił. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że umiera. Nigdy nie zapomnę spojrzenia, jakim obrzucił pannę Ludgate.

„Kiedy zmiotę ścieżkę do końca, jaśnie pani — mówi — przyjdę po ciebie i razem będziemy ucztować. Tylko żebyś była gotowa do drogi, gdy się zjawię”.

To były jego ostatnie słowa. Został pochowany przez opiekę społeczną, a panna Ludgate przeżyła taki wstrząs, że poleciła dawać jałmużnę każdemu przychodzącemu żebrakowi, nie żądając nic w zamian.

Lecz kiedy następnej jesieni zaczęły opadać liście, zamiatacz wrócił i zabrał się do odgarniania ścieżki w tym miejscu, gdzie umarł. Wszyscy to słyszemy i większość z nas go widziała. Co roku zjawia się, by zmiatać, ale choć słychać świst miotły, liście leżą nieporuszone. Z każdym rokiem jednak jest coraz bliżej, a gdy dotrze do końca alejki... no cóż, nie chciałabym być wtenczas na miejscu panny Ludgate mimo całego jej majątku.

Ale dopiero po trzech dniach, wieczorem, tuż przed stałą porą obiadu, zamiatacz wykonał swoje zadanie. To znaczy, jeśli wierzyć bez zastrzeżeń w

opowieść pani Finch.

Służba słyszała, że ktoś wyważa drzwi dla dostawców i wpada na korytarz; drzwi stały otworem, lecz nie było nikogo. Panna Ludgate zeszła już do saloniku, a Tessa jeszcze się przebierała na górze do obiadu. Niebawem gospodyni weszła do salonu, by porozmawiać z panią, i jej krzyk uprzedził domowników o tym, co zaszło. Tessa usłyszała go w momencie, gdy właśnie miała zejść na dół. Wpadła do salonu w chwilę później.

Panna Ludgate siedziała wyprostowana na swoim ulubionym krześle: martwa, z szeroko otwartymi oczami. Miały taki wyraz, że Tessa nie potrafiła znieść tego widoku.

Odwracając wzrok od zakrzepłego spojrzenia, pełnego panicznego strachu, ujrzała coś na dywanie i schyliła się.

Był to mały, żółty listek: postrzępiony, wilgotny, ścięty mrozem. Upuściła go z dre-szczem zgrozy — najwidoczniej odpadł z brzozonej miotły.

Przełożyła *Irena Czubińska*

J. Sheridan le Fanu

## **Ręka ducha**

Panna Rebeka Chatterworth w liście datowanym późną jesienią 1753 roku zdaje dokładną, acz dziwną relację z wydarzeń w Tiled House. Mimo zawartych

na początku zastrzeżeń wobec tych głupstw relacja jej odznacza się jakąś szczególną dokładnością.

Chciałem opublikować ten list w całości ze względu na jego unikalny charakter. Wyda-wca jednak postawił weto. Sądzę, że miał rację. List czcigodnej damy jest, być może, zbyt długi, muszę więc go z konieczności streścić.

Owego roku, około 24 października, rozgorzał dziwny spór pomiędzy panem Aldermanem Harperem z High Street w Dublinie a lordem Castlemallardem. Ten ostatni z racji swego pokrewieństwa z matką młodego dziedzica podjął się zarządzania maleńką posiadłością, na której terenie znajdował się Tiled czy też Tyled House, jako że obie pisownie były stosowane.

Alderman Harper wydzierżawił wspomniany dom dla swojej córki, która poślubiła dżentelmena nazwiskiem Prosser. Dom umeblował, odpowiednio wyposażył, słowem: poniósł znaczne wydatki. Państwo Prosser przybyli do Tyled House w czerwcu. Kiedy jednak dom opuściło wielu służących, postanowiła i pani Prosser nie zostawać w nim dłużej. Jej ojciec, Alderman Harper, odwiedził więc lorda Castlemallarda i po prostu oświadczył, że nie weźmie tej dzierżawy, ponieważ w domu dzieją się rzeczy niepokojące, których on wyjaśnić nie potrafi. Stwierdził wprost, że dom jest nawiedzany przez duchy i żaden służący nie chce tam pracować dłużej

niż kilka tygodni. Po tym, co jego zięć przecierpiał w tym domu z rodziną, powinien być nie tylko zwolniony z warunków dzierżawy, ale sam dom, jako miejsce notorycznie nawiedzane przez duchy, powinien zostać zburzony.

Lord Castlemallard złożył zaś rachunek u komornika, żeby ten zmusił pana Aldermana Harpera do dotrzymania warunków umowy. Alderman Harper przedstawił szczegółową odpowiedź, udokumentowaną aż siedmioma zaświadczeniami, których kopie przedstawiono Jego Lordowskiej Mości, i to z pożądanym skutkiem: Jego Lordowska Mość bowiem, zamiast dołączyć je do akt sprawy, wycofał samą sprawę z sądu i zgodził się na rozwiązanie umowy.

Żałuję, że sprawa nie zaszła dostatecznie daleko, gdyż wtedy byłaby możliwość umieszczenia w aktach autentycznej historii tak dokładnie opowiedzianej przez pannę Rebekeę.

Opisywane wydarzenia zaczęły się dopiero w końcu sierpnia. Pani Prosser, siedząc o zmierzchu całkiem sama w saloniku z tyłu domu, wyglądała przez otwarte na sad okno i wtedy właśnie zobaczyła wyraźnie rękę na zewnętrznym parapecie okna, jakby ktoś usiłował się wspinać po ścianie. Widziała tylko dłoń o krótkich palcach, lecz pięknie uformowaną. Nie była to ręka młoda i, o ile dobrze spostrzegła, mogła mieć około czterdziestki. Zdarzyło się to w

kilka tygodni po tym potwornym rozboju w Clondalkin, toteż pani Prosser była przekonana, że ręka należy do jednego ze złoczyńców, próbującego teraz przesadzić parapet okna Tiled House. Wydała okrzyk grozy, dając upust swe mu przerażeniu. W tym momencie ręka cicho się cofnęła.

Zarządzono przeszukanie sadu, lecz nie znaleziono czyichkolwiek śladów pod oknem. Zresztą poniżej okna piętrzyła się wielka sterta doniczek skutecznie uniemożliwiająca niepostrzeżone zbliżenie się do okna.

Jeszcze tej nocy dało się słyszeć pośpieszne, przerywane pukanie w kuchenne okno. Kobiety wystraszyły się, służący natomiast wziął ze sobą broń i otworzył tylne drzwi, ale nie dostrzegł czegokolwiek. Powiedział tylko, że kiedy zamykał drzwi, czuł, jakby ktoś wpychał się do środka. Zaniepokoiło go to do tego stopnia, że mimo dalszego uporczywego pukania do kuchennego okna nie podejmował już dalszych prób wyjaśnienia zjawiska.

Następnego wieczoru, około godziny szóstej, kucharka — „uczciwa, trzeźwa kobieta około sześćdziesiątki” — siedząc samotnie w kuchni zobaczyła, prawdopodobnie tę samą, arystokratycznie wyglądającą rękę; dłoń spoczywała na szybie, jak gdyby badała nierówności jej powierzchni. Mimo że kucharka wrzasnęła i mamrotała pod nosem modlitwę, to ręka wycofała się dopiero po paru

sekundach.

Przez wiele następnych nocy słyhać było wściekle pukanie do tylnych drzwi. Służący nie myślał ich wcale otwierać, aczkolwiek wzywał osobę za drzwiami, by się przedstawiła. Zamiast odpowiedzi słyhać było odgłos przesuwania dłoni miękko i powoli po drzwiach.

Siedzący w tym czasie w bawialni, położonej z tyłu domu, państwo Prosserowie byli niepokojeni przez stukanie w okno — czasem stłumione i delikatne, a czasem nagłe i tak mocne, że obawiano się, żeby nie pękła szyba.

Wszystkie te niepokojące zjawiska miały miejsce z tyłu domu, od strony sadu. Jednakże we wtorkową noc, około wpół do dziesiątej, usłyszano pukanie do frontowych drzwi. Ku przerażeniu gospodarzy trwało ono przez prawie dwie godziny.

Kilka następnych dni i nocy przeszło zupełnie spokojnie. Myślano nawet, że te szarpiające nerwy zjawiska zniknęły na dobre. Tymczasem 13 września w nocy Jane Easterbrook, angielska pokojówka, weszła do pokoju kredensowego, by wyjąć stamtąd srebrną czarękę, w której zwykle podawała pani grzane wino z mlekiem i korzeniami. Spojrzała na niewielki świetlik w górze i spostrzegła... mały biały palec wwiercający się dziurą wyborowaną we framudze okna. Najpierw ukazał się czubek palca, potem następne jego części, poruszając się, jakby szukał

zamknięcia okiennicy. Pokojówka wpadła w „stupor” i przez cały następny dzień była bardzo słaba.

Pan Prosser był zrównoważonym, racjonalnie myślącym człowiekiem, odrzucał zatem możliwość istnienia ducha i wyniosłe odnosił się do obaw swojej rodziny. Był przekonany, że cała sprawa jest żartem lub oszustwem, i czekał tylko na przychwycenie łobuza *flagrante delicto*. Teorii tej nie wyznawał długo, lecz zdradzał ją stopniowo, będąc ciągle przekonany, że to jakiś domowy zdrajca trzyma nici tej konspiracji.

Cokolwiek by to było, należało powziąć jakieś kroki. Nie tylko służba, lecz i sama pani Prosser zachowywała się nerwowo i wyglądała smutno. Po zmierzchu unikano wychodzenia z domu, a w nocy poruszano się po pokojach tylko parami.

Pukanie ustało na tydzień. Pewnej nocy, gdy pani Prosser przebywała w pokoju dziecinnym, a pan Prosser w salonie — usłyszeli je ponownie do drzwi wejściowych. Było bardzo stłumione. Powietrze stało całkiem nieruchomo i słychać było doskonale. Po raz pierwszy pukano od frontu. Inny był też sposób pukania.

Pan Prosser przeszedł cicho do hallu, pozostawiając drzwi do salonu otwarte. Uderzano jak gdyby wierzchem dłoni w masywne drzwi miękko i regularnie. Pan Prosser zamierzał otworzyć je gwałtownie, jednak zmienił początkowy zamiar i udał



się cichutko do schowka pod kuchennymi schodami, gdzie trzymał strzelby, szable i trzcinki.

Dwa nabite pistolety włożył do kieszeni marynarki, dwa inne wręczył zaufanemu służącemu. Ponadto ubezpieczał go inny służący, uzbrojony w grubą laskę.

Wszystko przebiegało zgodnie z życzeniami pana Prossera. Osobnik oblegający dom, nie spłoszony jak dotąd ich ostrożnymi przygotowaniem, stał się bardziej natarczywy; uderzenia przeszły w serię podwójnych rytmicznych uderzeń.

Pan Prosser ze złością otworzył drzwi prawą ręką, w której trzymał laskę; nie zobaczył niczego, tylko został lekko trącony w ramię, pod którym coś przeszło, pozostawiając uczucie lekkiego ucisku. Służący nic nie widział i nic nie czuł, toteż nie rozumiał, czemu pan spojrział tak pospiesznie w tył, tnąc powietrze trzcinką i zatraskując gwałtownie drzwi.

Od tego czasu pan Prosser rozmawiał na temat tych niezrozumiałych zjawisk równie niechętnie jak reszta rodziny. Ponadto czuł się winny, że otwierając drzwi hallu — w zasadzie wpuścił intruza do środka.

Niczego nie powiedział pani Prosser, lecz poszedł wcześniej do sypialni — przez chwilę czytał Biblię i odmówił modlitwę. Przez dłuższy czas leżał nie śpiąc. Gdzieś około kwadra-nsa po dwunastej usłyszał odgłosy pukania miękkiej dłoni do drzwi

sypialni, a następnie dłoń ta przesuwiała się po nich powoli. Pan Prosser zerwał się z łóżka i przekręcił klucz, pytając jednocześnie: „Kto tam?”. Odpowiedzi nie było. Tylko ten sam odgłos przesuwania się miękkiej dłoni po powierzchni drzwi.

Rano gospodyni przeraziła się widokiem odcisku dłoni w kurzu na stole w saloniku, gdzie poprzedniego dnia rozpakowywali porcelanę i inne rzeczy. Ślad bosej stopy na plaży nie przeraził Robinsona Crusoe nawet w połowie tak bardzo, jak gospodynię ten ślad na stole. Wszyscy byli już tak poddenerwowani, że reagowali niemal histerycznie.

Pan Prosser badał rzeczony ślad, dowcipkując sobie przy tym, ale — jak przyznał później — chodziło mu raczej o to, aby uspokoić służących, gdyż tak naprawdę nie był w najlepszym nastroju. Zgromadził wszystkich w pokoju i pilnował, by każdy z domowników odcisnął ślad własnej dłoni; nie pominął przy tym siebie ani żony. Porównanie wykazało, że odcisk na stole różni się zdecydowanie od śladów dłoni mieszkańców domu, natomiast mógł być zostawiony przez dłoń opisywaną przez panią Prosser i kucharkę.

Ktokolwiek lub cokolwiek było właścicielem ręki, jedno było pewne: dało subtelnie do zrozumienia, że nie przebywa już na zewnątrz domu, lecz znajduje się wewnątrz.

Od tej chwili panią Prosser prześladowały

dziwne i wręcz okropne wizje; niektóre z nich opisała ciotka Rebeka w swoim liście i trzeba przyznać, że są doprawdy odrażające. Pewnej nocy, gdy pan Prosser zamknął za sobą drzwi sypialni, uderzyła go dziwna cisza. Nie słyszał nawet odgłosu oddechu żony, choć wiedział, że z pewnością jest w łóżku, a trzeba dodać, że słuch miał bardzo wyczulony.

Na stoliku, w nogach łóżka, paliła się świeca, zaś drugą świecę trzymał pan Prosser w ręce, a ponadto pod pachą niósł ciężki rejestr. Odsunął zasłony przy łóżku i ujrzał nieruchomą twarz pani Prosser, pokrytą zimnym potem, tak że przez chwilę sądził, iż małżonka jest martwa. Na poduszce obok jej głowy, tuż przy zasłonie, leżało coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na ropuchę — lecz było pulchną ręką, palcami zwróconą ku skroni pani Prosser.

Pan Prosser ze zgrozą rzucił rejestrem w zasłony, za którymi mógł się domyślać obecności właściciela ręki. Ręka cofnęła się bez pośpiechu, a zasłony zafalowały. Pan Prosser przeszedł na drugą stronę łóżka, aby obejrzeć drzwi schowka, które jak mu się zdawało przy-mykała ta sama biała, pulchna ręka. Otworzył gwałtownie drzwiczki i zajrzał do środka scho-wek był pusty. Na hakach wisiła odzież. Zamknął gwałtownie drzwiczki i przekręcił klucz w zamku. Mówił później, że przez parę minut czuł się tak, „jak gdyby miał zwariować”. Po przywołaniu służby dzwonkiem, wśród ogólnego zamieszania

przywrócili do przytomności panią Prosser z pewnego rodzaju transu, w którym — sądząc z jej wyglądu przeżywała śmiertelne męki. Ciotka Rebeka dodaje: «Opowiadała mi o widzeniu, jakie wówczas miała, w czasie którego według jej własnych słów: „przeżywała męki piekielne”».

Kryzys w rodzinie Prosserów objawił się w postaci dziwnej choroby ich najstarszego dziecka, chłopca w wieku dwóch czy może trzech lat. Leżał rozbudzony w łóżeczku, w pani-cznym strachu. Wezwani lekarze utrzymywali, że przyczyną tych parkosyzmów strachu jest obecność wody w mózgu. Pani Prosser, bardzo zmartwiona stanem dziecka, czuwała odtąd przy nim wraz z pielęgniarką, siedząc przy kominku w pokoju dziecięcym.

Łóżeczko chłopczyka było ustawione przy ścianie, z wezłowiem tuż obok schowka, do którego drzwi nie były domknięte. Nad wezłowiem znajdowała się mała, lecz dość głęboka wnęka, która kończyła się na wysokości około trzydziestu centymetrów nad poduszką dziecka.

Zauważono jednak, że dziecko uspokaja się, gdy się je wyjmuje z łóżeczka i trzyma na kolanach. Kiedy zaś kładziono je z powrotem uspięne, zdawałoby się, całkowicie uspokojone, po pięciu minutach zaczynało wrzeszczeć w napadzie przerażenia. Pani Prosser zobaczyła, idąc za wzrokiem pielęgniarki, prawdziwą przyczynę cierpień

dziecka.

Zasłonięta cieniem wnęki, widoczna tam była wyraźnie biała, pulchna ręka, zwrócona dłonią w dół, w kierunku główki dziecka. Matka krzyknęła, porwała dziecko z łóżeczka i razem z pielęgniarką wpadły do sypialni, gdzie zastały w łóżku pana Prossera. Ledwie zamknęły za sobą drzwi, gdy dało się słyszeć łagodne pukanie z zewnątrz.

Można by jeszcze przytoczyć wiele innych wydarzeń, ale wystarczy chyba to, co zostało tu opowiedziane. Wyjątkowość tego opowiadania zasadza się na tym, że opisuje tylko rękę ducha i nic więcej. Osoba, do której ręka należała, nigdy się nie ujawniła; nie była to też sama ręka oddzielona od ciała, lecz zawsze ukazywała się w ten sposób, jakby za nią znajdował się jej właściciel, ukryty jedynie za pomocą jakiegoś sprytnego tricku.

W 1819 roku przy śniadaniu w college'u spotkałem niejakiego pana Prossera. Był to dość gadatliwy dżentelmen, dość szczupły i poważny; siwe włosy miał ściągnięte w mysi ogonek. Opowiedział nam zwięźle i dokładnie o swym kuzynie Jamesie Prosserze. Jak twierdziła jego matka, kuzyn jako dziecko sypiał w pokoju nawiedzanym przez duchy w starym domu koło Chapelizod. Faktem jest, że kuzyn ilekroć był chory, przemęczony czy miał go-rączkę, tylekroć prześladowała go wizja bladego, zażywnego mężczyzny. Każdy lok peruki, każdy guzik i

załamanie ubrania tak głęboko wryły mu się w pamięć, jak niechętnie mu rysy twarzy i szczegóły stroju jego dziada, który spoglądał nań z portretu każdego dnia przy śnia-daniu, obiedzie i kolacji.

Pan Prosser wymienił to jako przykład ciekawej, zindywidualizowanej i uporczywej mary sennej. Podkreślał przy tym niezwykle przerażenie, z jakim jego kuzyn o którym wyrażał się w czasie przeszłym jako o „biednym Jamesie” - opowiadał o swoim przypadku, gdy był do tego zmuszony.

Przełożył *Wojciech Bukat*

K. Marion Crawford

## Górna koja

Ktoś poprosił o cygara. Rozmawialiśmy już od wielu godzin i rozmowa zaczynała zamierać; tytoniowy dym wsiąkał w ciężkie kotary, a wino w mózgi. Głowy zaczynały nam ciążyć. Jeżeli ktoś nie uczyni czegoś dla ożywienia naszego ociężałego ducha, to spotkanie dobiegnie końca w sposób naturalny, to znaczy my, jego uczestnicy, rozejdziemy się do łóżek. Nie było nikogo, kto opowiedziałby coś godnego uwagi, prawdopodobnie nie było nikogo, kto miałby coś znaczącego do opowiedzenia. Jones zapoznał nas z najdrobniejszymi szczegółami swojej ostatniej myśliwskiej przygody w Yorkshire. Pan Tomkins z Bostonu z pracowitą rozwlekłością mówił

o zasadach pracy, których ściśle przestrzeganie przyczyniło się do tego, że spółka kolejowa „Atchison, Tepeka i Santa Fe” nie tylko opanowała nowe obszary, zwiększyła swoje wpływy i transportowała stada bydła nie głodząc go na śmierć przed datą dostawy, lecz także od lat udawało jej się ludzi ludzi, którzy wykupili bilety, fałszywym przekonaniem, że właśnie ta spółka jest w stanie przewozić istoty ludzkie bez narażania ich życia.

Signior Tambola dokładał zaś wszelkich starań, by za pomocą argumentów, które moglibyśmy zbić bez zadawania sobie trudu, przekonać nas, że zjednoczenie tego kraju bynajmniej nie przypomina nowoczesnej torpedy, starannie zaprojektowanej, fachowo skonstruowanej z wykorzystaniem doświadczeń największych europejskich zbrojowni, a przeznaczonej do tego, by zręczne ręce skierowały ją do tego regionu, gdzie bez żadnej wątpliwości musi ona bezgłośnie eksplodować, niewidzialna i nie budząca strachu, powodując całkowity polityczny chaos.

Nie ma potrzeby wchodzić w dalsze szczegóły. W każdym razie konwersacja była do tego stopnia mało interesująca, że z pewnością znudziłaby przykutego do skały Prometeusza, a Tantala doprowadziłaby niechybnie do szaleństwa, Iksjona zaś (wybierającego mniejsze zło) mogłaby chyba zmusić do szukania wytchnienia raczej w prostych,



lecz pouczających dialogach Herr Ollendorffa. Siedzieliśmy za stołem od kilku godzin, znudzeni, zmęczeni; nikomu nie chciało się ruszyć.

Ktoś poprosił o cygara. Instynktownie spojrzeliśmy na mówiącego. Brisbane był mężczyzną trzydziestopięcioletnim, znanym z daru przyciągania uwagi słuchaczy. Silny, choć w proporcjach jego sylwetki nie było niczego nadzwyczajnego, mimo że z pewnością był większy niż przeciętny mężczyzna — mierzył nieco ponad metr osiemdziesiąt, umiarkowanie szeroki w barach, ale nie zwalisty, jakkolwiek nie można by go nazwać szczupłym. Głowa mała, osadzona na muskularnym karku. Krzepkie dłonie z pewnością mogły zgniatać orzechy bez użycia dziadka, i to z łatwością. Kiedy zaś patrzyło się na niego z profilu, nie mogła ująć uwadze nadzwyczajna szerokość rękawów i niespotykane szeroko sklepiona klatka piersio-wa.

Był to jeden z tych mężczyzn, o których się mówi, że są niepozorni, to znaczy, że nawet jeśli wyglądają na bardzo silnych, w rzeczywistości i tak mają o wiele więcej krzepy. Dorzuć-my jeszcze inne cechy: mała głowa, wielki nos, rzadkie włosy, niebieskie oczy, kwadratowa szczęka i mały wąsik. Znali go wszyscy, więc kiedy poprosił o cygaro, od razu utkwiliśmy w nim spojrzenia.

— Tak, to bardzo dziwne — powiedział Brisbane.

Zamilkliśmy: głos Brisbane'a nie był mocny, ale miał tę szczególną zdolność przebija-nia się przez ogólny gwar rozmowy i przecinania jej niby nóż. Zamieniliśmy się w słuch. Brisbane zaś spostrzegłszy, że wzbudził naszą ciekawość, z namaszczeniem przypalał cygaro.

— Bardzo dziwne — ciągnął. — Ludzie zawsze są ciekawi, czy ktoś widział ducha? No, więc ja widziałem.

— Bzdura! Co? Ty? Nie to chyba chciałeś powiedzieć, Brisbane? Człowiek z twoją inteligencją!

Chór okrzyków przywitał to doniosłe oświadczenie. Wszyscy poprosili o cygara. Lokaj Stubb wyłonił się z otchłani nicości z nową butelką wytrawnego szampana. Spotkanie było uratowane — Brisbane zamierzał uraczyć nas opowieścią.

— Jestem doświadczonym żeglarzem — rozpoczął Brisbane. — Muszę przechodzić Atlantyk dość często. Mam swoje nawyki. Widziałem kiedyś człowieka czekającego przez trzy kwadranse w barze na Broadway'u, aby zobaczyć na ulicy szczególnie przez siebie ulubiony typ samochodu. Jestem przekonany, że właściciel baru czerpie jedną trzecią docho-dów właśnie z tego powodu, że ludzie mają takie właśnie czy inne upodobania. Ja też mam zwyczaj czekania na określony statek, kiedy już muszę przepłynąć tę sadzawkę. Może to i przesąd, ale nigdy nie zawiodła mnie intuicja i rejsy były zawsze

udane z wyjątkiem tego jednego w moim życiu.

Pamiętam go doskonale. Ciepły czerwcowy poranek. Celnicy łążą bez celu, mają jakieś zamyślane miny i czekają na statek parowy z Quarantine. Bagażu miałem niedużo, zresztą jak zwykle. Wmieszałem się w tłum pasażerów, tragarzy i natrętnych indywiduów w granato-wych płaszczach z wyglansowanymi mosiężnymi guzikami, którzy wyrośli na pokładzie zakotwiczonego parowca niby grzyby po deszczu, aby narzucać swe zbyteczne usługi pasażerom. Często obserwowałem z niejakim zainteresowaniem tych facetów. Nie ma ich na pokładzie, gdy przybywasz do portu, a w pięć minut po tym jak pilot wyda komendę „Cała na-przód”, też ich już nie uświadczysz. Wszyscy oni, a przynajmniej ich mosiężne guziki, znikają z pokładu tak dokładnie, jakby zapadli się w skrzyni, której skonstruowanie tradycja jedno-głośnie przypisuje Davy Jonesowi. Za to dokładnie w momencie odbijania statku od nabrzeża pojawiają się — czysto wygoleni, w granatowych mundurach, czyhający na napiwki.

Wszedłem na pokład. *Kamczatka* to był właśnie mój ulubiony statek. Powiedziałem „był”, bo stanowczo już nim nie jest! Nie wyobrażam sobie okoliczności, które mogłyby mnie skłonić do odbycia jeszcze jednego rejsu na jej pokładzie. *Kamczatka* świetnie chodzi na fali. Dziób ma dostatecznie dużą wyporność, by nie zapadając się sucho przebijać się

przez fale. Dodać jeszcze trzeba, że niemal wszystkie dolne koje na *Kamczatce* są podwójne. Tak, *Kamczatka* ma wiele zalet, ale nigdy nie będę na niej więcej pływał. Przepraszam za dygresję.

Wyszedłem na pokład. Ukłoniłem się stewardowi, którego zarówno czerwony nos, jak i czerwieniejsze jeszcze bokobrody były mi dobrze znajome.

— Sto pięć, dolna koja — powiedziałem obojętnym tonem charakterystycznym dla tych, dla których przejście przez Atlantyk nie znaczy więcej, niż wypicie koktajlu z whisky na przedmieściu Delmoniko.

Steward wziął mój sakwojaż, szary płaszcz i pled. Nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Nie to że zbladł. Wielu sławnych wróżbitów utrzymuje, że nawet cuda nie potrafią zmienić naturalnego biegu rzeczy. Nie waham się powiedzieć, że zbladł, ale sądząc po wyrazie jego twarzy, byłem przekonany, że albo jest bliski płaczu, albo zamierza kichnąć, albo upuścić mój sakwojaż. W sakwojażu były dwie butelki wspaniałej starej sherry, którą podarował mi na drogę mój dobry przyjaciel, Snigginson von Pickyns, nie trudno więc zrozumieć moje wzburzenie. Steward jednak ani nie kichnął, ani się nie rozplakał, a co najważniejsze — nie rzucił sakwojaża.

— Dobrze, ja... te... no... — dukał bez sensu, zachryplym głosem. Ruszył jednak przodem, a ja za

nim.

Gdy mój Hermes prowadził mnie w dolne rejonu statku, wydawało mi się, że jest z lekka wystraszony, lecz w milczeniu podążałem za nim. Kabina „105” położona była na rufie, z lewej burty. Nie zauważyłem w kajucie niczego szczególnego. Dolna koja, jak większość na *Kamczatce*, była podwójna. Kabina zaś przestronna, z umywalką, która Indianom z Ameryki Północnej miała przybliżyć pojęcie luksusu; spostrzegłem niewygodne półki z brązowego drewna, na których o wiele łatwiej powiesić duży parasol, niż umieścić powszechnie używaną w podróży szczoteczkę do zębów. Na mało zachęcających materacach leżały zrolowane ple-dy, które wielki współczesny humorysta trafnie przyrównał do gryczanego placka. Ręczniki należało sobie wyobrazić. Szklane karafki wypełnione były przezroczystym płynem o dyskretnie brązowym odcieniu. Wydobywał się z nich mniej już dyskretny zapach bijący w nozdrza wspomnieniami morskiej choroby czy może zjełczałego oleju. Smutne zasłony przysłaniały do połowy górną koję. Przymglone światło czerwcowego dnia padało na tę małą, opustoszałą scenę. O, jakże nienawidzę tej kabiny!

Steward postawił moje bagaże i spojrzał na mnie, jak gdyby chciał się oddalić, najprawdopodobniej by obsłużyć więcej pasażerów i otrzymać więcej napiwków. Ze stewardami zawsze

się opłaca pozostawać w dobrych stosunkach, toteż zgodnie z tą zasadą od czasu do czasu wręczałem mu jakąś monetę.

— Staralem się zrobić wszystko dla wygody pana — zaznaczył, kiedy chował pieniądze do kieszeni. Jednakże intonacja, z jaką to wypowiedział, podawała szczerotę tej wypowiedzi w wątpliwość. Niewykluczone, że wysokość napiwków poszła w górę i to, co ja mu wręczyłem, już go nie zadowalało. Biorąc jednakowoż pod uwagę wszystkie „za” i „przeciw”, skłonny byłem sądzić, że — jak on by to sam chyba wyraził — „raczej wolałby kielicha”. Myliłem się jednak i byłem wobec niego niesprawiedliwy.

Nic godnego uwagi nie wydarzyło się tego dnia. Opuściliśmy przystań punktualnie. Cieszyłem się, że już wyszliśmy w morze, ponieważ było parno i duszno, gdy tymczasem ruch na statku powodował, że owiewała nas lekka bryza. Wiadomo, jak wygląda pierwszy dzień na morzu. Ludzie spacerują po pokładach, przyglądają się sobie wzajemnie i od czasu do czasu witają z kimś znajomym, o kim nie wiedzieli, że jest na pokładzie. Zwykle istnieje niepewność, czy pogoda i jedzenie będą dobre, złe czy takie sobie. Jeżeli chodzi o jedzenie, to wątpliwości się rozwiewają po dwóch pierwszych posiłkach, natomiast co do pogody wyjaśniają się

dopiero wówczas, gdy statek znajdzie się kawałek drogi za Fire Island. Początkowo przy stołach panuje tłok, który nagle się rozrzedza. Błdzi ludzie zrywają się ze swoich krze-seł i, potracając nawzajem, przepychają w kierunku drzwi. Prawdziwy marynarz oddycha swobodniej, kiedy to porażony chorobą morską sąsiad wyskakuje mu spod boku. Wówczas on może się rozprzeć swobodnie łokciami i nałożyć sobie tyle musztardy, ile uzna za stosowne.

Jeden rejs przez Atlantyk niewiele różni się od drugiego, a my, którzy odbywamy takie rejsy dosyć często, nie czynimy tego po to, aby doznać nowych wrażeń. Wieloryby i góry lodowe są oczywiście zawsze interesującymi obiektami, ale — mimo wszystko — jeden wie-loryb jest podobny do drugiego, a góry lodowe nieczęsto widzi się z bliska. Dla większości z nas najprzyjemniejszy moment na pokładzie transatlantyckiego parowca to chwila, kiedy już odbyliśmy ostatni spacer po pokładzie, wypaliliśmy ostatniego papierosa i czujemy, że możemy się wreszcie udać na spoczynek.

Pierwszej nocy w czasie owego rejsu byłem szczególnie rozleniwiony i poszedłem na dół do swojej kabiny nieco wcześniej niż zwykle. Kiedy się kładłem, zauważyłem ze zdziwieniem, że będę miał towarzysza podróży. W rogu stał bardzo podobny do mojego sakwojaż, a na górnej koi spostrzegłem zwinięty pled, parasol i laskę. Żywiłem cichą

nadzieję, że będę miał kabinę wyłącznie dla siebie, i byłem rozczarowany obecnością drugiej osoby. Zastana-wiałem się, kim też może być mój współlokator i postanowiłem się mu przyjrzeć.

Nie czekałem zbyt długo. O ile mogłem dostrzec, był to mężczyzna bardzo wysoki, bardzo szczupły i niezwykle blady, o słomianych włosach i bokobrodach oraz bezbarwnych oczach. Roztaczał wokół siebie aureę wątpliwej elegancji, jak ci ludzie, których można spotkać na Wall Street, a o których nie można precyzyjnie powiedzieć, co tam robią, albo też ludzie przesiadujący w *Cafe Anglais*, pijący szampana i nieodmiennie sprawiający wrażenie samo-tnych. Takie typy można też spotkać na torze wyścigowym, ale i tam nie sprawiają wrażenia, że są czymkolwiek zajęci. Zawsze ubrani są z przesadą, a nawet odpychająco. Trzech - czte-rech takich osobników zawsze znajdzie się na każdym transatlantyku.

Postanowiłem, że nie będę zabiegał o poznanie tego pana. Idąc spać przyrzekłem sobie, że będę badał zwyczaje mojego współtowarzysza głównie po to, aby go unikać. Jeżeli on wstanie wcześniej, ja wstanę późno. Jeżeli on pójdzie spać późno, no to ja uczynię to właśnie wcześniej. Nie miałem zamiaru troszczyć się o tę znajomość wiedząc, że tego rodzaju osobni-cy i tak narzucają swoją obecność. Biedny człowiek! Nie potrzebowałem się trudzić podejmowaniem wszystkich tych decyzji, ponieważ z wyjątkiem owej



pierwszej nocy, nigdy go więcej nie ujrzałem.

Pograżony byłem we śnie, aż nagle obudził mnie niespodziewany hałas. Sądząc po odgłosie, to mój sąsiad musiał jednym susem zeskoczyć z górnej koi na podłogę. Potem słyszałem, jak szarpał się z klamką. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i rozległ się tupot nóg na korytarzu, jak gdyby ktoś uciekał przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Statek szedł w lekkim rozkołysie i byłem pewien, że mój sąsiad zaraz się potknie albo nawet upadnie, lecz on biegł co sił. Drzwi kołysały się w rytm przechyłów statku, a ich skrzypienie było bardzo denerwujące. Wstałem, zatrzaskałem je i po omacku wróciłem na swoją koję. Zasnąłem ponownie, ale jak długo spałem — nie potrafię powiedzieć.

Kiedy się przebudziłem, było już zupełnie ciemno. Czułem dojmujący chłód, a powietrze przesycone było wilgocią. Znać ten specyficzny zapaszek kabiny, która została zalana morską wodą. Owinałem się szczelnie pledami i znowu zapadłem w drzemkę. Postanowiłem, że złożę skargę następnego dnia i użyję w niej najostrzejszych sformułowań, jakie tylko uda mi się znaleźć w języku angielskim. Słyszałem mojego sąsiada — który zapewne wrócił, gdy ja drzemałem jak wierci się na swojej koi. Pojękiwał z cicha, co było niechybnym dowodem, że złapał chorobę morską. Nie jest to przyjemna konstatacja dla kogoś, kto śpi poniżej takiego

delikwenta. Jednakże zasnąłem i spałem do samego rana.

Statek szedł w ciężkim rozkołysie, bez porównania większym niż poprzedniego wieczoru. Szarość wpadającego przez iluminator światła to gęstniała, to znowu się rozrzedzała w zależności od tego, czy przez iluminator widać było niebo, czy morze. Dojmujące zimno zupełnie nie odpowiadało porze roku — był przecież czerwiec. Spostrzegłem z ogromnym zdumieniem, że iluminator jest otwarty na całą szerokość i do tego założony haczykiem, przez co nie mógł się zamknąć sam z powrotem. Zakląłem głośno i zatrzasnąłem go. Zerknąłem na górną koję. Zastłony były szczelnie zaciągnięte. Widać sąsiadowi, tak samo jak i mnie, do-skwierało zimno. Zastanowiło mnie to, że mimo wszystko jestem całkiem nieźle wyspany. Kajuta nie była zanadto wygodna, chociaż — co może wydać się dziwne — nie czułem już zapachu wilgoci, który tak irytował mnie w nocy.

Sąsiad wciąż spał — znakomita okazja, aby uniknąć spotkania. Ubrałem się i wyszedłem na pokład. Dzień był pochmurny, ciepły, z jakimś oleistym zapachem idącym od wody. Było około siódmej, czyli dużo później, niż myślałem.

Natknąłem się na doktora, który zażywał przechadzki, by odetchnąć świeżym porannym powietrzem. Młody ten człowiek pochodził z Irlandii Zachodniej. Ogromny brunet z niebieskimi oczami i

zaznaczającą się już z lekka skłonnością do tycia, przy tym rubaszny i zdrowy, był z pewnością atrakcyjnym mężczyzną.

— Ładny ranek — zagadnąłem go na przywitanie.

— Hm — odparł, przyglądając mi się z żywym zainteresowaniem — ładny i nieładny. W ogóle nie wiem, czy to poranek.

— Nie, no owszem. Może i nie taki miły — odparłem ostrożnie.

— Zatechła pogoda — dodał doktor.

— Zimna była ta ostatnia noc — ciągnąłem. — Kiedy rozglądałem się po kajucie, stwierdziłem, że iluminator jest otwarty na oścież. Nie zauważyłem tego, kiedy kładłem się spać. A jeszcze ta wilgoć!

— Wilgoć! Gdzie pan mieszka?

— W „105” — odpowiedziałem.

Ku mojemu zdumieniu doktor wzdrygnął się i badawczo mi się przyjrzał.

— O co chodzi, panie doktorze?

— Och, nic takiego. Chciałem tylko powiedzieć, że na tę kajutę narzekano już w czasie trzech ostatnich rejsów.

— Ja też złożę skargę — oświadczyłem. — To doprawdy wstyd, by nie wywietrzyć dokładnie kajuty!

— Nie wierzę, by to cokolwiek pomogło. Ale co tam! Straszenie pasażerów to przecież nie mój interes — dodał szybko doktor.

— Może się pan, doktorze, nie obawiać, że się tak zaraz przestraszę — odpowiedziałem. — Zniosę nawet potężną dawkę wilgoci, ale gdybym się solidnie przeziębił, to się do pana zgłoszę — dodałem.

Poczęstowałem doktora cygarem. Przyjął je i oglądał bardzo uważnie. Po chwili się odezwał:

— To nie sprawa wilgoci. Śmiem twierdzić, że pan poradzi sobie doskonale. Czy ma pan współtowarzysza j podróży?

— Owszem, owszem! Piekielny facet, tłucze się w środku nocy, gania gdzieś i nawet drzwi nie zamknie za sobą.

Doktor spojrzał na mnie jakoś dziwnie. Zapalił cygaro i patrzył przed siebie ponuro.

— Czy on wrócił?

— Tak. Spałem już, ale mnie obudził. Słyszałem, jak się wiercił w koi. Potem, mimo tego dokuczliwego zimna, zasnąłem. Rano zaś spostrzegłem otwarty iluminator.

— Niewiele obchodzi mnie ten statek. Gwiżdżę na jego reputację! Mam przestronną kajutę. Proponuję panu, by zabrał pan manatki i przeniósł się do mnie, chociaż nie znamy się długo.

Byłem tą propozycją ogromnie zaskoczony. Nie mogłem pojąć, dlaczego to doktor tak troszczy się o moje dobro. Zwłaszcza dziwne było to, co mówił o statku.

— Jest pan doprawdy troskliwym lekarzem — odpowiedziałem. — Uważam jednak, że wystarczy kajutę dokładnie przewietrzyć i wysprzątać. Ale dlaczego powiedział pan, że nie obchodzi go statek?

— My, lekarze, nie jesteśmy przesądni, ale morze czyni ludzi takimi. Nie chcę w panu zasiewać uprzedzeń ani też straszyć pana, ale niech pan skorzysta z mojej rady i przeprowadzi się do mnie. Wkrótce pana czy też inną osobę mieszkającą w „105” zobaczę za burtą — dodał doktor.

— Miłościwy Boże! Dlaczego?

— Dlatego że w czasie ostatnich trzech rejsów pasażerowie, którzy spali w tej kajucie, rzeczywiście wyskoczyli za burtę — odparł ponuro doktor.

Ta ostatnia informacja wstrząsnęła mną do głębi. Przyznam, że poczułem się bardzo nieprzyjemnie. Wpatrywałem się uważnie w mojego rozmówcę, czy nie stroi sobie ze mnie żartów, ale doktor miał minę absolutnie poważną. Podziękowałem mu serdecznie za jego propozycję i powiedziałem, że zamierzam się wyłamać z tej reguły. Doktor nic na to nie odpowiedział, tylko jakby jeszcze sposepniał. Napomknął wreszcie, iż ma nadzieję, że do następnego spotkania raz jeszcze dokładnie rozważę jego propozycję.

Poszliśmy na śniadanie, na którym zjawilo się niewielu pasażerów. Jeden czy dwóch oficerów jedzących przy naszym stoliku miało nietęgę minę.

Po śniadaniu poszedłem do swojej kajuty po książkę. Zasłony górnej koi były szczelnie zaciągnięte. Mój sąsiad najwyraźniej jeszcze spał.

Kiedy wyszedłem z kajuty, natknąłem się na stewarda, który miał się troszczyć o moje wygody. Powiedział mi szeptem, że kapitan chce się ze mną widzieć, po czym — widocznie w obawie, że będę go chciał o coś spytać — szybko zemknął. Udałem się do kapitana, który już na mnie czekał.

— Szanowny panie — zaczął kapitan. — Chciałem pana prosić o przysługę.

Odpowiedziałem, że zrobię wszystko, aby mu sprawić przyjemność.

— Człowiek, z którym dzielił pan kajutę, zniknął — oświadczył kapitan. — Wiemy, że ostatniego wieczoru poszedł spać wcześniej. Czy zauważył pan coś niezwykłego w jego zachowaniu?

Pytania, które następowały jedno za drugim, potwierdzały tylko w pełni obawy doktora przedstawione pół godziny temu. Byłem zupełnie oszołomiony.

— Nie chce pan, kapitanie, powiedzieć, że wyskoczył za burtę?

— Niestety, tego się właśnie obawiam.

— To niesłychane! — uniosłem się nieco. — W takim razie to już czwarty — stwierdziłem.

W odpowiedziach na inne pytania kapitana wyjaśniłem (nie wymieniając, rzecz prosta, doktora),

że znane mi są opowieści na temat tego, co się wydarzyło w kajucie „105”. Bardzo to zasmuciło kapitana. Opowiedziałem mu o wydarzeniach ostatniej nocy.

— To, co pan mi opowiedział — stwierdził kapitan — zgadza się niemal w pełni z tym, co opowiadali mi współmieszkańcy — dwóch spośród trzech — dotychczasowych ofiar: wy-skoczyli raptem z koi i rzucili się do szaleńczego biegu korytarzem. Wachta widziała dwóch spośród tych trzech nieszczęśników, jak skakali za burte; zastopowaliśmy natychmiast maszyny, spuściliśmy szalupy, ale nie odnaleźliśmy żadnego z nich. Nikt natomiast nie widział ani nie słyszał tego, który zginął ostatniej nocy, jeżeli on rzeczywiście zginął.

— Steward przeczuwał, że coś złego się zdarzy, ale to przesądny facet. Poszedł poszukać pańskiego sąsiada i go nie znalazł. Koja pusta, wokół porozrzucane rzeczy. Steward był jedyną osobą na statku, która znała zaginionego z widzenia. Szukał go wszędzie, ale człowiek ów zniknął bez śladu. Błagam pana, niech pan nie rozpowiada o tej sprawie. Wie pan, nie chciałbym, by statek zyskał złą sławę, a nie trwalej nie przyczepia się do statku, jak te opowieści o samobójstwach. Daję panu do wyboru wszystkie kabiny oficerskie, nie wyłączając własnej, aby mógł pan wygodnie odbyć resztę podróży. To wspaniała okazja!

— Tak, faktycznie — odpowiedziałem. — Jestem panu głęboko wdzięczny, lecz skoro mam teraz kajutę do swego wyłącznego użytku, to raczej nie będę się przeprowadzał. Jeżeli steward zabierze rzeczy tego nieszczęśnika, to rad bym zostać w swojej kajucie. O całej sprawie oczywiście nie wspomnę i ponadto mogę przyrzec panu, kapitanie, że nie zamierzam iść w ślady mojego sąsiada.

Kapitan próbował mnie jeszcze odwieść od mych postanowień, ale wolałem mieszkać sam w swojej kajucie, niż dzielić inną z którymkolwiek oficerem. Nie wiem, czy postąpiłem głupio, ale jedno jest pewne, że gdybym wówczas posłuchał jego rady, to nie miałbym już nic więcej do opowiadania. Zadowolić nas musiałyby jedynie dziwny zbieg okoliczności zdarzenia się kilku samobójstw wśród osób, które łączył jedynie fakt zamieszkiwania tej samej kabiny, i to byłoby wszystko. Nie był to zaś w żadnym razie koniec sprawy.

Przede wszystkim jednak postanowiłem nie przejmować się tymi wszystkimi relacjami. Kajuta, jak mówiłem, była zaniedbana, wilgotna. Ostatniej nocy iluminator był otwarty. Mój sąsiad — dowodziłem kapitanowi mógł przecież zachorować, kiedy przybył na statek, a za-tem po położeniu się w koi mógł zacząć majaczyć. Nie da się wykluczyć, że wyskoczył w tej malignie gdzieś na pokład i zaszył się w jakimś zakamarku, w którym później zostanie



odna-leziony. W każdym razie trzeba dopilnować, by kajutę porządnie przewietrzono, wysprzątało i zamocowano porządnie iluminator. Jeżeli kapitan pozwoli mi odejść, dodałem, dopilnuję, by wszystko to zostało zrobione bez zwłoki.

— Oczywiście ma pan prawo zostać, gdzie pan sobie życzy — oświadczył urażonym tonem kapitan. — Jednak żałuję, że powziął pan taką decyzję. Kazałbym zamknąć tę kajutę i byłby wreszcie spokój.

Nie podzielałem tej opinii i po przyrzeczeniu, że nikomu o niczym nie wspomnę, opuściłem kapitana, który w ciągu dnia nie pokazał się więcej na pokładzie, a i ja nie tęskniłem za jego widokiem. Pod wieczór spotkałem doktora, który spytał, czy nie zmieniłem swej decyzji. Odpowiedziałem, że nie.

— Wkrótce pan będziesz następnym — stwierdził ponuro.

Tego wieczora długo graliśmy w wista, więc późno się położyłem. Wyznam, że miałem niemiłe uczucie, kiedy wchodziłem do kajuty. Nie mogłem przestać myśleć o tym wysokim mężczyźnie, którego widziałem ostatniej nocy, a który już teraz nie żyje i gdzieś tam jego ciało unosi się na wysokiej fali dwie czy trzy mile za statkiem. Jego twarz jawiła mi się wyraźnie tak wyraźnie, że odsunąłem zasłony górnej koi, by przekonać samego siebie, że nikogo tam nie ma. Nagle uświadomiłem sobie, że okienko

iluminatora znowu jest otwarte i założone haczykiem.

Tego już było za wiele! Narzuciłem szlafrok i wybiegłem w poszukiwaniu Roberta, mojego stewarda. Roznosiła mnie wściekłość. Pamiętam, że gdy go wreszcie odnalazłem, schwyciłem za ubranie i brutalnie pociągnąłem za sobą przed drzwi kajuty „105”. Popchnąłem go w kierunku otwartego iluminatora.

— Ty skurczybyku! Co to, u licha, ma znaczyć?! Będziesz zostawiał na noc otwarty iluminator? Czy nie wiesz, że to jest karygodne łamanie regulaminu? Czy ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, że gdyby statek miał przechył i wziął wodę tym iluminatorem, to dziesięciu chłopów nie dałoby rady go zamknąć? Podam cię do raportu kapitanowi, ty szubrawcze, za narażanie statku na niebezpieczeństwo!

Wściekłość moja nie miała granic. Steward trząsał się i bladł na przemian. Po chwili wziął się do zamykania okrągłego okienka iluminatora, przykręcając je solidnymi mosiężnymi śrubami.

— Dlaczego nie odpowiadasz? — spytałem ostro.

— Jeżeli moo-ożna, proszę pana — jękał się Robert — to nie ma takiego na tym statku tego... no... nooo, żeby na noc ten iluminator zamknął. Niech paaan sam spróbuje. Nie mam zamiaru zo-oostawać dłużej na tym statku, proszę pana. Naprawdę nie mam

zamiaru. Gdy-ybym był na pana miejscu, tobym poszedł spać do doktora albo gdziekolwiek. No-oo do tego... niech pan spojrzy — dobrze są te śruby zakręcone czy nie? Niech pan zobaczy, czy można je ruszyć choć o cal.

Spróbowałem. Rzeczywiście zakręcone były bardzo mocno.

— W porządku? Proszę pana, idę o zakład, narażając swą reputację stewarda, że za pół godziny iluminator będzie otwarty i do tego, proszę pana, przytrzymany haczykiem, a jakże!

Obejrzałem dużą, mocną śrubę i równie solidną nakrętkę z uchem.

— Jeżeli dziś wieczorem zobaczę ten iluminator otwarty, to masz, Robercie, u mnie suwerena. Bądź spokojny, nie przegram. Możesz odejść — dodałem.

— Powiedział pan: suwerena? Świetnie, dziękuję panu. Życzę dobrego wypoczynku i miłych snów.

Robert czmychnął czym prędzej, uradowany, że się już ode mnie uwolnił. Swoje nie-dbalstwo usiłował naiwnie zamaskować tym głupawym zakładem, starając się mnie przy oka-zji trochę nastraszyć, czym się oczywiście setnie ubawiłem. W rezultacie — dostał swojego suwerena, a ja spędziłem szczególnie paskudną noc.

Zaledwie pięć minut po tym, jak zdążyłem się owinać pledami, nieubłagany Robert zgasił światła.

Leżałem w ciemnościach, usiłując zasnąć. Usnąć nie mogłem, ale byłem zadowolony, że ochrzaniłem stewarda. Odeгнаło to męczącą wizję topielca unoszonego na falach. Spać mi się nie chciało. Leżałem rozbudzony, rzucając od czasu do czasu spojrzenie na iluminator, który mogłem dokładnie obserwować z mojej koi. Jego szyba połyskiwała w ciemnościach niczym fajansowy talerz zawieszony w czerni.

Leżałem tak chyba z godzinę. Przechodziłem już łagodnie z drzemki w regularny sen, gdy nagle potężnie zachłysnąłem się zimnym powietrzem, a na twarzy wyraźnie poczułem bryzgi morskiej wody. Zerwałem się natychmiast, ale że nie uwzględniłem rozkołysu statku, przeleciałem w ciemnościach przez całą długość kabiny i upadłem na leżankę, stojącą pod iluminatorem. Oprzytomniałem natychmiast. Dźwignąłem się na kolana. Okienko iluminatora było otwarte i założone na haczyk!

To są fakty bezsporne. Wciąż byłem oszołomiony. Zdarłem sobie dotkliwie skórę na łokciach i kolanach. Te zadrapania dowiodły mi rano, że moje nocne przeżycia nie były przywidzeniem. Fakt, że okienko iluminatora było otwarte i założone na haczyk, był tak zadziwiający, że kiedy to spostrzegłem, byłem nie tyle przerażony, co zdumiony. Okienko natychmiast zamknąłem i dokręciłem nakrętki z całej siły.

W kajucie było bardzo ciemno. Iluminator musiał być odkręcony nie dalej jak godzinę temu, przecież w mojej obecności zakręcił go Robert. Postanowiłem mieć iluminator na oku, by stwierdzić, czy znów będzie otwarty. Mosiężne okucia były masywne i w żadnym razie nie można ich było łatwo poruszyć. Wręcz nie do wiary, że te solidne nakrętki, zakończone uchem, mogły się odkręcić z powodu wibracji statku. Patrzyłem przez grube szkło iluminato-ra na przelewające się wzdłuż burty szare i białe, spienione bruzdy morza. Na tym patrzeniu przez iluminator musiał minąć mi kwadrans.

Nagle usłyszałem wyraźnie, że coś się porusza na jednej z koi. Zerwałem się na równe nogi. Kiedy instynktownie odwróciłem się, by zobaczyć, co to takiego, usłyszałem przytłumiony jęk. Błyskawicznie rozsunąłem zasłony górnej koi, macając rękami w ciemnościach, czy czegoś tam nie ma. Było!

Pamiętam uczucie, które mnie ogarnęło, gdy sięgnąłem tam ręką. Jakby otoczyło mnie zimne, wilgotne piwniczne powietrze. Spoza zasłony nastąpił gwałtowny powiew wiatru, cuchnący straszliwie zatechłą morską wodą. Moja ręka natknęła się na coś, co miało kształt ludzkiego ramienia, lecz było oślizłe, wilgotne i lodowato zimne. Kiedy to ciągnąłem, skoczyło gwałtownie wprost na mnie — wilgotne, lepkie: jakby masa wodorostów obdarzona nadnaturalną siłą. Potoczyłem się przez kajutę. Drzwi otwarły się

gwałtownie i coś wypadło na korytarz.

Nie miałem czasu się bać. Błyskawicznie zebrałem się w sobie i ruszyłem w szaleńczą pogoń, ale i tak się spóźniłem. Dziesięć jardów przed sobą widziałem sunący w przyćmionych światłach cień. Wkrótce zniknął. Ocknąłem się, stwierdziwszy, że trzymam się błyszczącej poręczy w miejscu, gdzie korytarz skręca ku zejściówce prowadzącej na pokład. Zimny pot spływał mi po twarzy. Nie wstydzę się do tego przyznać — byłem śmiertelnie przerażony.

Wydawało mi się, że zawodzą mnie zmysły. Uszczypnąłem się i starałem się pozbierać do kupy. „Przecież to absurd — myślałem. — Pewnie stanęły mi na żołądku te grzanki z serem, i stąd senne koszmary”. Z trudem wszedłem do kajuty. Jak poprzedniego wieczoru, tak i teraz czułem odór zatechłej morskiej wody. Choć wymagało to ode mnie sporego wysiłku, starałem się wśród moich rzeczy namacać pudełko ze świecami. Wreszcie zapaliłem podróżną latarkę, którą zawsze wożę ze sobą, by móc czytać, kiedy już wygaszają światła na noc. Iluminator był otwarty! Sparaliżował mnie strach tak okropny, jakiego nigdy dotąd nie zaznałem w życiu i obym więcej nie zaznał! Oświetliłem koję, spodziewając się, że będzie całkowicie zalana wodą.

Rozczarowałem się. Koja była wprawdzie rozmemłana i czułem stęchliznę zastalej morskiej wody, ale pościel była sucha jak pieprz. Czyżby

Robert nie miał odwagi posłać łóżka po wydarzeniach poprzedniej nocy? Wszystko to jakiś koszmar senny! Zaciągnąłem zasłony przy koi. Po dokładnych oględzinach kajuty utwierdziłem, że też jest najzupełniej sucha. Iluminator był jednak znów otwarty!!! Struchlałem ze strachu. Przełożyłem laskę przez ucho nakrętki, nacisnąłem ją ze wszystkich sił, tak że nakrętka wgięła nieco ramę okienka iluminatora. Latarkę powiesiłem koło leżanki i usiadłem, by zebrać myśli na tyle, na ile byłem w stanie. Przesiedziałem tak całą noc. Nie mogłem nawet myśleć o wypoczynku w ogóle ledwo byłem zdolny do myślenia. Nie wierzyłem, by po tym, jak teraz dokręciłem okno iluminatora, można byłoby je odkręcić bez użycia znacznej siły.

Wreszcie zaczęło świtać. Ubierałem się powoli i rozmyślałem o zdarzeniach mijającej nocy. Wyszedłem na pokład. Dzień był piękny. Z zadowoleniem poddałem się pierwszym promieniom słońca, z przyjemnością wdychałem rześkie powietrze. Od błękitnej wody szła lekka bryza, pachnąca świeżością — tak różna od odoru stęchlizny w mojej kajucie. Bezwie-dnie skierowałem się na rufę, w stronę kajuty doktora. Stał tam z fajką w zębach, wdychając poranne powietrze, dokładnie tak jak to czynił poprzedniego poranka.

— Dzień dobry! — powiedział spokojnie. Przyglądał mi się z wyraźnym zainteresowa-niem.

— Dzień dobry! Miał pan zupełną rację, doktorze — odpowiedziałem. — Ta kajuta nie jest w porządku.

— Czułem, że zmieni pan swoją decyzję — odpowiedział z nutką triumfu w głosie. — Miał pan kiepską noc, co? Może kieliszeczek dla kurażu. Znam świetny przepis — kusił doktor.

— Nie, dziękuję. Chciałbym jednak opowiedzieć panu, co zaszło tej nocy.

Staralem się wyłożyć mu wszystko, czego doświadczyłem tej nocy, tak jasno i precyzyjnie, jak tylko umiałem. Nie tailem także, że byłem przerażony jak nigdy dotąd w moim życiu. Co i raz powtarzałem z naciskiem swoje spostrzeżenia odnośnie iluminatora. Zjawisko to miało miejsce z całą pewnością i mogłem świadczyć o tym z całym przekonaniem, nawet wówczas gdyby pozostałe zajścia były tylko wytworem mojej wyobraźni. Tej nocy zamykałem iluminator dwa razy. Za drugim razem użyłem laski dębowej jako dźwigni. Poświęciłem tej sprawie dużo uwagi, także w mojej opowieści.

— Panu się wydaje, że ja nie wierzę? Oświadczam zatem panu, że nie mam co do pańskiego opowiadania najmniejszych zastrzeżeń — rzekł doktor z uśmiechem, gdy ja ciągle podkreślałem szczegóły dotyczące iluminatora. — Ponawiam swoją propozycję: pół mojej kabiny jest do pana dyspozycji.



Proszę przynieść swoje rzeczy.

— Niech pan, doktorze, przyjdzie do mnie, a ja odstąpię panu pół swojej kajuty — odpowiedziałem.

— Niech pan mi pomoże zgłębić tę sprawę do samego dna.

— Jeżeli nie ustanie pan w swoich poszukiwaniach, na pewno osiągnie pan dno, tyle że...

— doktor urwał.

— Tyle że...?

— Dno morza. Niebawem schodzę z tego statku. To niezbyt mądre pozostawać tu dłużej.

— Zatem nie pomoże mi pan wyjaśnić tych zdarzeń, doktorze?

— Nie, ja na pewno nie — odpowiedział zdecydowanie. — Mam dość oleju w głowie, by nie igrać z duchami czy innymi podobnymi nadprzyrodzonymi zjawiskami.

— Pan naprawdę myśli, że to duch?! — dopytywałem się ironicznie.

Kiedy to jednak mówiłem, żywo miałem w pamięci przerażające uczucie doznawania czegoś nadprzyrodzonego, które mną owładnęło ostatniej nocy. Doktor zaś spytał zdecydowanie:

— Jest pan w stanie przedstawić jakieś inne rozsądne wyjaśnienie? Nie, nie może pan! W porządku, mówi pan, że znajdzie rozwiązanie tej zagadki. Powiem panu krótko nie znajdzie go pan! Po prostu dlatego, że żadnego rozumnego wyjaśnienia

tych wydarzeń nie ma!

— Ależ, drogi doktorze! Czy pan, człowiek światły, chce mi powiedzieć, że takich zjawisk nie jesteśmy w stanie wyjaśnić racjonalnie?

— Dokładnie to — rzekł stanowczo. — Nawet gdyby się dało je wyjaśnić, ja tymi wyjaśnieniami nie jestem zainteresowany.

Nie przejmowałem się tym, że spędzę kolejną noc w kabinie „105”, gdyż byłem zdecydowany dociec przyczyny tych wszystkich burzliwych wydarzeń. Z drugiej strony nie wiem, czy znalazłoby się wielu ludzi z moimi doświadczeniami z dwóch ostatnich nocy, którzy zdobyliby się na taki krok. Byłem zdecydowany nocować w tej kajucie, nawet sam. Doktor wyraźnie nie miał chęci na taki eksperyment. Twierdził, że jest chirurgiem i w razie wypadku zawsze musi być gotów do udzielenia pomocy, zatem musi mieć całkiem spokojne nerwy. Prawdopodobnie miał rację, lecz zarazem skłonny jestem podejrzewać, że jego ostro-żność brała się z lęku przed duchami. Poinformował mnie ponadto, że nie widzi nikogo, kto chciałby przyłączyć się do prowadzonych przeze mnie dochodzeń. I na tym się rozstaliśmy.

W chwilę potem spotkałem kapitana. Opowiedziałem mu o wydarzeniach ostatniej nocy. Oświadczyłem także, że skoro nikt nie chce być ze mną tej nocy w kajucie, spróbuję sam dać sobie radę.

Proszę go tylko, by wydał polecenie niegaszenia świateł przez całą noc.

— No, więc tak — odpowiedział. — Powiem panu, co zrobię. Zostanę z panem na noc i zobaczę, co się będzie działo. Jestem głęboko przekonany, że rozwiążemy tę zagadkę. To może być jakiś człowiek, który jedzie na gapę i straszy pasażerów. Możliwe też, że ta górna koja jest źle wykonana.

Zaproponowałem, by cieśla okrętowy to sprawdził. Nade wszystko jednak ucieszyłem się, że kapitan zostanie ze mną w kajucie na noc.

Kapitan przysłał cieślę i przykazał mu, aby wykonał wszystko, czego będę od niego żądał. Kazałem mu wyrzucić wszystko z górnej koi. Obejrzeliśmy ją bardzo dokładnie, sprawdzając, czy nie znajdziemy gdzieś obluzowanej deski; opukaliśmy każdą z nich; zbadaliśmy blat, na którym leży materac; rozkręciliśmy wszystkie połączenia koi i rozebraliśmy ją na kawałki, słowem — nie było centymetra kwadratowego kajuty, którego byśmy nie sprawdzili. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Zamontowaliśmy wszystko na powrót. Kiedy kończyliśmy robotę, zajął steward.

— No i jak, znalazło się coś? — spytał z niemiłym uśmiechem.

— Miałeś rację co do iluminatora — powiedziałem i wręczyłem mu suwerena. Cieśla pracował w milczeniu, według moich wskazówek.

Kiedy skończył, powiedział:

— Jestem prostym człowiekiem, proszę pana. Lepiej by było, gdyby zabrał pan stąd swoje rzeczy, a ja zamknąłbym tę kabinę na pół tuzina czterocalowych śrub. Nic dobrego nie działo się w tej kajucie. Czterech ludzi straciło życie w czterech rejsach za mojej pamięci. Lepiej niech pan da temu spokój.

— Spróbuję jeszcze w tę jedną noc — powiedziałem.

Czułem się, oczywiście, znacznie pewniej wiedząc, że będzie mi towarzyszył kapitan. Postanowiłem, że nic mnie nie powstrzyma przed rozstrzygnięciem tej sprawy do końca. Nie jadłem grzanek i nie piłem grogu, a nawet zrezygnowałem z partyjki wista, która stała się już tradycją. Chciałem mieć nerwy w najlepszym porządku, a ponadto moja próżność domagała się, bym wypadł dobrze w oczach kapitana.

Kapitan był z gatunku tych wspaniałych, twardych i zarazem uroczych, pływających po morzu ludzi, w których stapiały się w jedno odwaga, wytrzymałość i spokój, wykazywane w najtrudniejszych chwilach wszystko to w naturalny sposób zyskiwało mu ogromne zaufanie. Nie był to mężczyzna, którego mogły zwieść puste bajdy. Sam fakt, że postanowił mi towarzyszyć w moich

dociekaniach, był dostatecznym dowodem, że to, co się dzieje, uważa za ogromne zło, którego nie można wytłumaczyć w sposób naturalny ani też wyśmiać jako pospolity przesąd. Wchodziły tu w grę do pewnego stopnia zarówno autorytet kapitana, jak i reputacja statku. Wypadnięcie za burtę pasażera nie jest sprawą błahą, i kapitan był tego w pełni świadomy.

O dziesiątej, kiedy dopalałem ostatnie przed snem cygaro, podszedł do mnie, odciągnął od spacerujących jeszcze w ciepły wieczór pasażerów.

— To jest poważna sprawa, panie Brisbane — powiedział. — W każdym razie musimy podjąć decyzję: rezygnujemy czy też gotowi jesteśmy na ciężkie przejścia. Widzi pan, nie mogę sobie pozwolić na to, by śmiać się z całej tej sprawy. Proszę więc o podpisanie oświadczenia. Jeżeli dzisiejszej nocy nic się nie wydarzy, spróbujemy następnej i znowu następnej... Czy jest pan gotów?

Zeszliśmy z pokładu i udaliśmy się do kabiny „105”. Kiedy do niej wchodziliśmy, zobaczyłem w głębi korytarza stewarda, jak obserwował nas z tym swoim przykrym grymasem, pewien, że niebawem stanie się coś przerażającego. Kapitan zamknął za sobą drzwi.

— Postawmy pański sakwojaż pod drzwiami — zaproponował. — Jeden z nas usiądzie na nim; w ten sposób nic się stąd nie wydostanie. Czy iluminator

jest dokręcony?

Wszystko w kabinie zastałem w takim porządku, w jakim zostawiłem ją rano. Bez użycia dźwigni, jak ja to uczyniłem zakręcając iluminator, nikt nie byłby w stanie odkręcić śrub. Odsunąłem zasłony górnej koi, aby mieć ją cały czas na oku. Zgodnie z radą kapitana zapa-liłem latarkę i umieściłem ją tak, by oświetlała białe prześcieradło górnej koi. Kapitan zajął miejsce na moim sakwojażu, klnąc się, że za nic nie opuści tego posterunku.

Zażądał, bym jeszcze raz dokładnie sprawdził kabinę, co szybko wykonałem, ponieważ wystarczyło sprawdzić miejsca pod dolną koją i leżanką, stojącą pod iluminatorem. Niczego nie znalazłem.

— Nie sposób, by dostała się tu istota ludzka — powiedziałem. — Nie widzę też możliwości, by człowiek mógł odkręcić te śruby — spojrzałem na iluminator.

— W porządku — rzekł spokojnie kapitan. — Jeżeli teraz cokolwiek zauważymy, to będzie to albo wytwór naszej fantazji, albo też coś nadprzyrodzonego.

Usiadłem na krawędzi dolnej koi.

— Pierwszy raz zdarzyło się to — podjął opowieść kapitan, zakładając nogę na nogę i opierając się plecami o drzwi — w marcu. Pasażer, który nocował tu, na górnej koi, okazał się obłąkany — w każdym razie uważany był za lekko trzepniętego. W

rejs wyruszył w tajemni-cy przed wszystkimi swoimi przyjaciółmi. Wybiegł w środku nocy na pokład i, zanim oficer wachtowy zdążył go zatrzymać, wyskoczył za burtę. Noc była bardzo spokojna, taka jaka poprzedza często nadejście ciężkiego sztormu. Mimo spokojnego morza nie zdołaliśmy go odnaleźć. To samobójstwo tłumaczono jego obłądem.

— Przypuszczam, że tak się często dzieje — zauważyłem z roztargnieniem.

— Nieczęsto — odparł kapitan. — Nie doświadczyłem dotąd czegoś takiego w mojej dotychczasowej karierze, choć oczywiście słyszałem o takich wypadkach na innych statkach. No tak, jak powiedziałem, zdarzyło się to w marcu. Dokładnie w czasie drugiego rejsu... Na co pan tak patrzy? — zapytał nagle, przerywając opowiadanie.

Chyba nie odpowiedziałem. Oczy miałem wlepione w iluminator. Wydawało mi się, że ucho mosiężnej nakrętki zaczyna się bardzo wolno obracać. Tak wolno, że nie byłem pewien, czy widzę jakichś ruch. Pochłonięty byłem obserwacją. Zapamiętałem dokładnie pozycję nakrętki i starałem się zauważyć jakiegokolwiek zmiany w jej położeniu. Kapitan, idąc za moim wzrokiem, obserwował ją także.

— Rusza się! — wykrzyknął z przekonaniem. — Nie, nie rusza — dodał po chwili namysłu.

— Gdyby śruba się luzowała na skutek wstrząsów — zauważyłem — to przez cały dzień już

by się chyba odkręciła, a przecież wieczorem trzymała tak samo mocno, jak rano.

Nakrętka była wyraźnie obluźwana. Z pewnym wysiłkiem mogłem pokręcić nią ręką.

— Dziwna sprawa to ten drugi zaginiony — ciągnął kapitan. — Najprawdopodobniej musiał się wydostać przez iluminator. To były okropne chwile. Wypadek zdarzył się po północy, w ciężkim sztormie. Podniesiono alarm, że jeden z iluminatorów jest otwarty i woda wali nim na statek. Zszedłem na dół i zobaczyłem, że wszystko pływa. Z każdym przechyłem statek brał wodę przez otwarty iluminator. Zdołaliśmy to jakoś uszczelnić, ale woda wyrządziła znaczne szkody. Od tego momentu od czasu do czasu cuchnie w tej kabynie wilgocią. Przypuszczam, że pasażer sam wyskoczył przez iluminator, ale Bóg jeden wie, jak to było naprawdę. Steward skarżył się, że nie może tu niczego zamknąć. Czuć teraz ten zapach — wciągnął powietrze nosem. — Co pan na to?

— Rzeczywiście, czuję wyraźnie — odpowiedziałem i przeszedł mnie ciarki, gdyż odór zatechłej wody tężał w kajucie. — Aby cuchnęło tak jak teraz, kajuta musi być wilgotna — dodałem. — Przecież dziś rano sprawdzaliśmy ją z cieślą i była zupełnie sucha!

Latarka oświetlająca górną koję nagle zgasła. Było jednak dostatecznie widno, bo paliły się światła



nad drzwiami. Statek ciężko pracował na fali. Zasłona górnej koi w rytm przechyłów statku to wychylała się daleko, prawie na środek kajuty, to znów wracała. Wstałem nagle z dolnej koi, kapitan też zerwał się na równe nogi z okrzykiem zdumienia. Chciałem zdjąć latarkę i zobaczyć, co się stało, że zgasła, gdy usłyszałem jego krzyk i zaraz potem wzywianie na pomoc.

Skoczyłem ku niemu. Walczył z całych swych sił z mosiężną nakrętką iluminatora. Mimo jego szaleńczych wysiłków obracała mu się w rękach. Złapałem swą dębową laskę, przełożyłem przez ucho nakrętki i napałem na nią z całej siły. Solidna laska pękła, jakby to był patyczek. Upadłem na leżankę. Kiedy się podniosłem, iluminator otwarty był na oścież. Kapitan ze zbielełymi wargami stał przyciśnięty plecami do drzwi.

— W tej koi coś jest! — krzyczał dziwnym głosem, wytrzeszczając oczy. — Trzymaj drzwi! Ja tam zajrzę! Nie ucieknie nam, cokolwiek to jest!

Zamiast zająć jego miejsce, skoczyłem na dolną koję i schwyciłem coś leżącego na górnej.

Było to coś upiornego, przeraźliwego — nie do opisanego. Ruszało się w mojej zaciśniętej ręce. Sprawiało wrażenie topielca, mającego siłę dziesięciu żywych ludzi. Zaciskałem z całych sił chwyt na tej obrzydliwej oślizłej rzeczy. Białe, martwe oczy patrzyły na mnie z półmroku. Towarzyszył im odór

zgnilej morskiej wody. Połyskujące włosy paskudnymi, cuchnącymi puklami opadały na martwą twarz.

Mocowałem się z tym martwym stworem. Wreszcie natarł na mnie, niemal łamiąc mi rękę i oplatając mnie swymi trupimi ramionami za szyję. Wziął nade mną górę. Upadłem. Wrzeszcząc, wypuściłem go z rąk. Przeskoczył przeze mnie i rzucił się na kapitana. Kiedy widziałem kapitana stojącego jeszcze na nogach, był blady jak ściana. Zaciskał usta. Wyda-owało mi się, że zadaje straszliwy cios tej martwej istocie. W końcu i on upadł twarzą na podłogę, z jakimś nieartykułowanym okrzykiem przerażenia.

Stwór zastygł na chwilę bez ruchu, zawisł nad sponiewieranym ciałem kapitana. Byłem tak przerażony, że nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Moim rozstrojonym zmysłem wydało się, że stwór wyszedł przez iluminator. Biorąc pod uwagę, jak mały jest to otwór, zupełnie tego nie jestem w stanie pojąć.

Długo leżeliśmy z kapitanem na podłodze. W końcu doszedłem jako tako do siebie. Już przy pierwszym poruszeniu wiedziałem, że mam złamaną rękę. Nad nadgarstkiem sterczała niewielka kość.

Wstałem z ogromnym trudem i zdrową ręką próbowałem podnieść kapitana. Jęknął i poruszył się. W końcu się jakoś pozbierał. Nie był ranny, tylko

potężnie ogłuszony.

Wiem, chcielibyście usłyszeć coś więcej. Nie ma niczego więcej do opowiadania... Ciesła, tak jak mówił, zakręcił pół tuzinem czterocalowych śrub drzwi kajuty „105”. Jeżeli ktoś z was będzie na *Kamczatce*, niech poprosi koję w „105”. Z pewnością odpowiedzą, że jest zajęta. I jest zajęta — przez tego martwego stwora!

Rejs dokończyłem w kajucie doktora. Poskładał moją rękę starannie i pouczał mnie, bym „nie igrał z duchami i podobnymi rzeczami”. Kapitan już nie prowadzi *Kamczatki*, choć statek ten ciągle kursuje. Ja też nigdy nim nie popłynę. To było przerażające doświadczenie. Bałem się wtedy okropnie, a nienawidzę uczucia strachu. To wszystko.

Oto jak zobaczyłem ducha — jeżeli to był duch. W każdym razie było to martwe.

Przełożył *Wojciech Bukat*



Henry James

### **Ponury dom**

Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat i właśnie ukończyłem college. Mogłem wybierać zawód i niezwłocznie to uczyniłem. Później, co prawda, z równym zapałem wyrzekłem się go, ale nigdy nie żałowałem tych dwóch młodzieńczych lat, pełnych trudnych i absorbujących, ale również miłych i owocnych doświadczeń.

Czułem pociąg do teologii i w okresie nauki w college'u byłem wielbicielem dra Channinga \*. W jego ujęciu teologia miała powab czegoś ciekawego, ponętnego — obdarzał nas różą wiary cudownie pozbawioną kolców. A zatem (bo myślę, że raczej istniał między tymi sprawami związek) upodobałem sobie starą Szkołę Teologii. Interesowały mnie

zawsze kulisy ludzkiego dramatu i sądziłem, że mógłbym zdobyć uznanie (przynajmniej własne) w tym odosobnionym cichym domu subtelnej kazuistyki.

Sąsiadował on z jednej strony z szacowną aleją, a z drugiej roztaczał się z jego okien widok na zielone pola i hektary lasów. W opinii miłośników pól i lasów Cambridge zmieniło się od tamtych czasów na gorsze, straciło wiele ze swego sielsko-naukowego spokoju.

Wówczas — cóż za urocze połączenie — był to uniwersytet wśród lasów. To, czym jest teraz, nie ma nic wspólnego z moim opowiadaniem, ale nie wątpię, że ślęczący nad dogmata-mi młodzi studenci ostatniego roku, przechodząc tędy o zmierzchu letniego dnia, obiecują sobie, że kiedyś skorzystają z tej miłej wypoczynkowej atmosfery. Co do mnie, to nie zawiodłem się.

Zamieszkałem w dużym, kwadratowym, nisko sklepionym pokoju o głębokich wnękach okiennych; zawiesiłem na ścianach grafiki Overbecka i Ary Scheffera; ułożyłem książki, po dokładnym ich sklasyfikowaniu, w niszach obok wysokiej półki nad kominkiem i zacząłem studiować Plotyna i świętego Augustyna. Znalazłem paru zdolnych i towarzyskich kolegów, z którymi od czasu do czasu wychylałem puchar przy kominku. I tak na śmiałej lekturze, długich spacerach, poważnych dyskusjach przy lekkich napojach moje wprowadzenie do tajemnic stanu

duchowego przebiegało całkiem miło.

Z jednym z moich kompanów zawarłem szczególną przyjaźń i wiele czasu spędziliśmy razem. Niestety, miał chroniczne schorzenie kolana, co zmuszało go do prowadzenia zdecydowanie siedzącego trybu życia, a ponieważ ja byłem zamiłowanym piechurkiem, nasze zwyczaje dosyć się różniły. Na ogół wyruszałem na codzienne wędrowki mając za towarzyszy jedynie laskę w rękę i książkę w kieszeni. Ale nie czułem się osamotniony dzięki zdrowym nogom i otwartej przestrzeni wokół siebie. Powinienem chyba dodać, że bystre oczy dostarczały mi pewnych przyjemności o towarzyskim charakterze. Od nich, od nieustannych obserwacji wszystkiego, co działo się na drodze, zależał mój nastrój, a jak długo je to bawiło, i ja byłem zadowolony. I właśnie dzięki ich wścibskim obyczajom wszedłem w posiadanie tej niezwyklej historii.

Okolica tego starego uniwersyteckiego miasteczka jest i dziś na ogół ładna, ale trzydzieści lat temu była ładniejsza. Nie doszło jeszcze wtedy do wybuchu kartonowego budownictwa, które teraz zdobi krajobraz od strony niskich, błękitnych wzgórz Waltham; nie wzniesiono jeszcze eleganckich willi ku zawstydzeniu mizernych łąk i karłowatych sadów: takie zestawienie nie wyszło na korzyść żadnemu z tych kontrastujących elementów. Kręte, boczne drogi

przypominały polne, naturalne dróżki, zaś osiadłe na pobliskich, porośnięte trawą zbożach samotne domy z osłaniającym je zgodnie ze zwyczajem więzaniem o gałęziach wygiętych

\* William Ellery Channing (1780-1842) — amerykański pastor, założyciel unitarianizmu (przyp. tłum.).

nad ziemią niczym opadające kłosa pszenicznego snopa — wcisnęły głęboko na uszy swe kapelusze z gontów, nie wiedząc nic o modzie na francuskie dachy. Można by je porównać do starych wieśniaczek o pomarszczonej przez wichry i słońce cerze, które spokojnie noszą czepce ze swych okolic, nie śniąc nawet o strojnych kapeluszach i nieprzystojnym odsłanianiu swych tchnących godnością twarzy.

Zima była sucha, mroźna, niemal bezśnieżna, drogi twarde i puste; rzadko się zdarzało, by zła pogoda zmuszała mnie do zaniechania wędrówek. Pewnego szarego grudniowego popołudnia wybrałem się w kierunku sąsiedniego miasteczka, Medford, i właśnie wracałem równym krokiem, obserwując poblaskie, chłodne barwy — przejrzystego bursztynu i wędnącej róży — które zimową modłą przesłaniały niebo na zachodzie i przywodziły na myśl sceptyczny uśmiech na wargach pięknej kobiety. Kiedy zapadał zmierzch, doszedłem do wąskiej, nieznanej mi drogi, która, jak sądziłem, dawała mi możliwość pójścia



na skróty.

Byłem spóźniony, dzieliły mnie od domu trzy mile i radbym był zamienić je na dwie. Skręciłem więc, ale po dziesięciu minutach marszu spostrzegłem, że droga wygląda na nie-uczęszczaną. Koleiny wyłobione zostały na niej już dawno; uderzała tu szczególna cisza. A przecież dalej stał dom, więc musiano tędy przejeżdżać.

Po jednej stronie znajdowała się wysoka, naturalna skarpa, a na niej sad; splątane gałęzie jabłonek tworzyły pasmo czarnej koronki, zwisającej nad zimnym różem zachodu. Kiedy po chwili zbliżyłem się do domu, od razu zbudził moje zainteresowanie.

Stanąłem przed nim i przyglądałem się uważnie, sam nie wiem dlaczego, z pewną mieszaniną ciekawości i onieśmienia. Przypominał większość domów w okolicy, lecz był zdecydowanie pięknym okazem budynku tego rodzaju. Stał na porośniętym trawą zboczu, miał koło siebie wiąz o symetrycznie opadających gałęziach, a za węglem starą studnię z poczerniałą pokrywą. Był ogromny, zbudowany z drzewa bardzo twardego i mocnego. Znajdował się już w złotej jesieni życia, gdyż starannie wykonane, sute rzeźby nad drzwiami i pod okapem nie mogły powstać później niż w połowie ubiegłego wieku. Kiedyś pomalowano go na biało, ale szerokobarki Czas, wspierając się on przez stulecia, odsłonił słoje

drzewa. Za domem rozciągał się sad, a rosące w nim jabłonie nadawały mu w gęstniejącym mroku nieszczęśliwej, widmowej charakter. Pordzewiałe, pozbawione wielu listewek żaluzje zasłaniały wszystkie okna.

Dom nie zdradzał żadnych oznak życia; stał bez wyrazu, głuchy i pusty. A jednak, kiedy tak marudziłem koło niego, wydało mi się, że przekazuje wymownie jakieś bliskie mi przesłanie. Ciągłe myślenie o wrażeniu, jakie zrobił na mnie na pierwszy rzut oka ten poszarzały budynek w kolonialnym stylu, i stanowi to dla mnie dowód, że wnioskowanie może być czasem bliskie objawieniu, bo przecież, pozornie sądząc, nic nie powinno doprowadzić mnie do tak poważnej konkluzji, do jakiej wówczas doszedłem.

Cofnąłem się na drugą stronę drogi. Ostatnie czerwone promienie oderwały się właśnie od zachodzącego słońca i na chwilę padły na posiwiały wiekiem fronton domostwa. Przesuwały się po szybach wachlarzowatego okna nad wejściem i wspaniale rozbłysły. Potem zagasły, a dom wydał się jeszcze bardziej ponury. W tym momencie powiedziałem do siebie z głębokim przekonaniem: „W tym domu straszy!”

Jakoś w to od razu uwierzyłem i sprawiło mi to, gdy tak stałem na zewnątrz, pewną przyjemność. Mój wniosek był konsekwencją nastroju, jaki budziła ta budowla, a zarazem stanowił jego wyjaśnienie.

Gdyby ktoś przed pół godziną zapytał mnie, czy istnieją domy nawiedzane przez duchy, zaprzeczyłbym kategorycznie, jak przystało młodzieńcowi szczerze wyznającemu optymistyczny pogląd na sprawy nadprzyrodzone. Ale stojący przede mną budynek nappełnił żywą treścią puste słowa: był przeklęty.

Im dłużej na niego patrzyłem, tym głębsza wydawała się jego tajemnica. Obszedłem go dookoła, próbowałem zerkać przez szparę w żaluzjach i z chłopcęią satysfakcją położyłem rękę na gałce drzwi i delikatnie nią obracałem. A gdyby drzwi się otworzyły, czy wszedłbym? Czy zanurzyłbym się w tę ciszę mroku? Na szczęście moje zuchwalstwo nie zostało wystawione na taką próbę. Drzwi były zdumiewająco solidne i ani drgnęły. W końcu odszedłem, rzucając za siebie niejedno spojrzenie.

Po dłuższym, niż przewidywałem, czasie dobrnąłem do gościńca. W pewnej odległości od miejsca, z którego, jak już nadmieniałem, wybiegała boczna droga, stał ładny, schludny budynek mogący służyć za model domu, w którym w żadnym sensie nie straszy, który nie kryje złowrogich sekretów i zaznał tylko kwitnącego dobrobytu. Jego czyste białe ściany ła-godnie przeświecały przez mrok, a porośnięty winem ganek został na zimę opatrzony słomą.

Odjeżdżała sprzed niego staroświecka bryczka,

uwożąc dwoje gości; przez nie zasłonięte okna ujrzałem oświetlony lampą salon i stół, zastawiony do podanej wcześniej, ze względu na gości, kolacji. Pani domu odprowadziła przyjaciół do bramy, a kiedy bryczka odjechała z turkotem, zwlekała z odejściem, patrząc za oddalającymi się, a także dlatego, by rzucić na mnie, przechodzącego właśnie, pytające spojrzenie. Była to przystojna, młoda kobieta o żywym usposobieniu i bystrych, ciemnych oczach. Ośmieliłem się przystanąć i zagadnąć ją:

— Ten dom przy bocznej drodze — odezwałem się — o milę stąd... jedyny, który tam stoi... Czy może mi pani powiedzieć, do kogo on należy?

Patrzyła na mnie przez chwilę i miałem wrażenie, że się lekko zarumieniła.

— Nasi ludzie nigdy tamtą drogą nie chodzą — rzuciła krótko.

— Przecież to najkrótsza droga do Medford — rzekłem.

Potrząsnęła głową.

— Może okazałoby się, że to dłuższa droga. W każdym razie nie chodzimy tamtędy.

Zainteresowało mnie to. Zapobiegliwa jankeska pani domu musi mieć ważne powody, by gardzić czymś, co oszczędza czas.

— Ale przynajmniej zna pani ten dom? — spytałem.

— No tak, widziałam go.

— A do kogo należy?

Roześmiała się i odwróciła wzrok, jakby zdawała sobie sprawę, że dla nieznanego jej słowa mogą mieć posmak wiejskiego zabobonu.

— Myślę, że należy do tych, którzy tam są.

— Ale czy tam ktoś jest? Dom jest zamknięty na cztery spusty.

— To nie ma znaczenia. Oni nigdy stamtąd nie wychodzą i nikt tam nie wchodzi. — I odwróciła się.

Z powagą położyłem rękę na jej ramieniu.

— Chce pani przez to powiedzieć — skonstatowałem — że w tym domu straszy?

Zaczerwieniła się, odsunęła, położyła palec na ustach i pobiegła do domu. Natychmiast zapuściła zasłony w oknach.

Przez kilka dni nieustannie stawała mi w pamięci ta przygoda, przy czym pewną satysfakcję sprawiał mi fakt, że nie mówiłem o niej nikomu. Jeśli dom nie był nawiedzony, nie miało sensu wspomnianie o kaprysach mej wyobraźni — w przeciwnym zaś razie wolałbym sam wychylić ten kielich grozy. Postanowiłem oczywiście udać się tam ponownie i w tydzień później, a było to w ostatni dzień roku, poszedłem tą samą drogą.

Zbliżałem się do domu z przeciwnej strony i znalazłem się przed nim mniej więcej o tej samej, co poprzednio godzinie. Ściemniało się, pułap nieba był

niski i szary, wiatr zawodził nad nagą, twardą ziemią, i unosił w wirach poczerńiałe od mrozu liście. Posepny dom zdawał się gromadzić wokół siebie mrok i osłaniać się nim tajemniczo niczym maską. Nie wiedziałem właściwie, po co tu przyszedłem, ale miałem niejasne przeczucie, że jeśli tym razem gałka da się obrócić i drzwi się otworzą, opanuję strach i pozwolę, aby zamknęły się za mną.

Kim byli owi dziwni mieszkańcy, których miała na myśli młoda kobieta? Co tu widzia-no, co słyszano i co o tym domu opowiadano?

Drzwi były równie, jak przedtem, nieustępliwe; choć uporczywie manipulowałem gałką, nie otworzyło się żadne okno nade mną i nie wychyliła się przez nie żadna błada, obca twarz. Odważyłem się nawet unieść zardzewiałą kołatkę i kilka razy nią uderzyć, ale wydawała tylko tępe, głuche dźwięki, nie budząc echa.

Pogardzamy tym, co jest nam dobrze znane, więc nie wiem, co zrobiłbym za chwilę, gdybym nie dostrzegł w oddali samotnej postaci zbliżającej się tą samą drogą, którą ja sam przyszedłem. Nie chciałem, by ktoś zauważył, że przebywam w pobliżu otoczonego złą sławą domu, więc ukryłem się w gęstym mroku pobliskiego sosnowego lasu, skąd mogłem prowadzić obserwację, sam pozostając nie dostrzeżony. Wkrótce nadchodzący znalazł się nieopodal i zauważyłem, że zmierza wprost ku domowi.

Był to starszy mężczyzna, drobnej budowy, okryty rzucającym się w oczy ogromnym wojskowym płaszczem. Wspierał się na lasce i szedł wolno, z bolesnym wysiłkiem i potykając się, ale z determinacją. Skręcił z drogi na niewyraźną koleinę, a o kilka jardów od domu przystanął i przyglądał mu się w skupieniu, badawczo, jak gdyby liczył okna lub szukał jakichś znanych sobie znaków. Potem zdjął kapelusz i pochylił się powoli, uroczyście, jak gdyby składał ukłon.

Kiedy tak stał z odkrytą głową, widziałem go wyraźnie. Jak już nadmieniałem, był to drobny starzec, ale trudno byłoby powiedzieć, czy z tego, czy z innego świata. Jego głowa przypominała trochę portrety Andrew Jacksona \*. Miał sterczące jak szczotka włosy, szczerpłą i bladą, gładko ogoloną twarz, niezwykle błyszczące oczy, a nad nimi gęste brwi, wciąż jeszcze zupełnie czarne. Jego twarz, podobnie jak płaszcz, sugerowała, że jest to stary żołnierz; wyglądał na emerytowanego wojskowego skromnej rangi, jednak w jego wyglądzie i zachowaniu było więcej ekscentryczności i groteski, niż kojarzy się nam zazwyczaj z pojęciem starego wiarusa.

Złożywszy pokłon, podszedł do drzwi, pogmerał w fałdach płaszcza, znacznie dłuższe-go z przodu niż z tyłu, i wy dobył klucz. Powoli, uważnie wsunął go w zamek, a potem najwi-doczniej go przekręcił. Drzwi

jednak nie otworzyły się natychmiast: najpierw starzec nastawił ucha i stał nasłuchując, po czym spojrział w górę i w dół drogi. Rozproszywszy wątpliwości, spokojnie przyłożył swoje starcze ramię do drzwi i pchał je przez chwilę. Ustąpiły, ukazując absolutną ciemność. Staął ponownie na progu, znowu zdjął kapelusz i wykonał ukłon, a potem wszedł i starannie zamknął drzwi za sobą.

Kimże jest i po co tu przyszedł? Mógłby być bohaterem „Opowieści Hoffmanna”. Zjawia to czy rzeczywistość, mieszkaniec tego domu czy znajomy lub przyjaciel, który przy-szedł w odwiedziny? A kimkolwiek jest, co znaczyły jego tajemnicze pokłony i co zamierza robić w tych ciemnościach?

Opuściłem swe schronienie i przyglądałem się uważnie kilku oknom. W szczelinie żaluzji każdego z nich po kolei ukazywał się nikły blask. Widocznie starzec zapalał światło. Czyżby miał zamiar wydać przyjęcie ucztę dla upiorów? Ciekawość moja rosła, ale zupełnie nie wiedziałem, jak ją zaspokoić. Przyszło mi do głowy, żeby zastukać mocno w drzwi, ale odrzuciłem ten pomysł jako grubiański, a także z obawy, że może prysnąć czar, jeśli to jest czar. Obszedłem dom dokoła i próbowałem, bez użycia gwałtownych metod, otworzyć jedno z niższych okien. Oparło się, ale po chwili lepiej mi się powiodło z innym. Związane jednak z tym było oczywiście pewne ryzyko: mógł mnie ktoś dostrzec z domu albo,



co gorsza, ja sam mogłem zobaczyć coś takiego, że musiałbym żałować, że tu przyszedłem. Lecz ciekawość pobudzała mnie do tego, a ryzyko sprawiało wielką przyjemność.

Przez szparę w żaluzjach ujrzałem pokój oświetlony przez dwie świece w staroświeckich lichtarzach, umieszczonych na półce nad kominkiem. Był to widocznie salonik; zacho-

\* Prezydent USA w latach 1829 – 1837.

wało się w nim całe umeblowanie w pospolitym niegdyś stylu, na które składały się obite włosianką fotele, parę mahoniowych stolików oraz wiszące na ścianie oprawne w ramki reprodukcje. Choć pokój był umeblowany, wyglądał na nie zamieszkania; krzesła i stoliki zajmowały stałe swoje miejsca i nie spostrzegłem żadnych drobnych przedmiotów codziennego użytku. Nie widziałem wszystkiego, domyślałem się tylko, że z mojej prawej strony znajdują się podwójne drzwi. Musiały być otwarte, bo przez nie padało światło z sąsiedniego pokoju.

Czekałem czas jakiś, ale pokój wciąż był pusty. W końcu zdałem sobie sprawę, że na ścianę naprzeciw drzwi pada cień, najwidoczniej cień czyjejś postaci. Był wysoki i dziwny, rzucający przez kogoś, kto siedział absolutnie nieruchomo, zwrócony profilem do drzwi. Zdawało mi się, że rozpoznaję sztywno sterczące włosy i orli nos starca. Jego postać

była dziwnie nieruchoma: na pewno siedział wpatrując się w coś z napięciem.

Obserwowałem ten cień przez długą chwilę, ale ani razu nie drgnął. Jednak w końcu, kiedy moja cierpliwość zaczynała się już wyczerpywać, poruszył się powoli, sięgnął sufitu i znikł. Nie wiem, co bym następnie zobaczył, gdyby nie to, że impuls nie do odparcia kazał mi zasunąć żaluzję. Czy była to delikatność, czy małoduszny lęk? Nie potrafię powiedzieć. Pozostałem wszakże w pobliżu domu, mając nadzieję, że mój znajomy znowu się ukaże.

Nie zawiodłem się, gdyż w końcu wynurzył się z mroku. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy wchodził do domu, a rozstawał się z nim w równie ceremonialny sposób (zauważyłem już poprzednio, że w szczelinach żaluzji zniknęło światło): stanął twarzą do drzwi, zdjął kape-lusz i uroczyście się uklonił. Kiedy się odwrócił, miałem wielką ochotę odezwać się do niego, ale pozwoliłem mu odejść w spokoju. Mogę stwierdzić, że płynęło to po prostu z delikatności, choć zapewne powiecie, że była to delikatność spóźniona. Sądziłem, że ma prawo nie chcieć być obserwowanym, choć przypuszczałem, że mam równie słuszne prawo do przeprowadzenia takich obserwacji, skoro w grę wchodzić mogą duchy.

Przyglądałem mu się nadal, gdy kuśtykał koleiną, a następnie pustą drogą. Potem, w zamyśleniu, udałem się w przeciwnym kierunku.

Kusiło mnie, by iść za nim w pewnym oddaleniu i obserwować, co się z nim stanie, ale uznałem to również za rzecz niedelikatną; co więcej, wyznaję, że miałem ochotę pobawić się trochę swoim odkryciem, niejako zrywać płatek po płatku z tego kwiatu.

Wąchałem później od czasu do czasu ten kwiat, bo jego dziwny aromat mnie odurzał. Przechodziłem znowu koło domu na bocznej drodze, ale nigdy nie spotkałem ani mego starca, ani żadnego innego wędrowca. Nikt tego domu nie obserwował, a ja trzymałem się na wodzy, by o nim nie wspomnieć.

Ktoś ciekawski, mówiłem sobie, może znaleźć sposób, by odkryć mój sekret. Natura-Inie, że cieszyłbym się, gdyby przypadkiem padło na tę sprawę jakieś światło. Choć nie wiedziałem, jak by to się mogło stać. Miałem nadzieję, że spotkam jeszcze starca w wojskowym płaszczu, ale gdy dni mijały, a on się nie pojawiał, przestałem tego oczekiwać. Sądziłem wszakże, że musi mieszkać w okolicy, bo swoją pielgrzymkę odbył pieszo. Gdyby przybywał z daleka, przyjechałby z pewnością staroświecką dwukółką z wysoką budą i złotymi kołami — pojazdem równie szacownym, co groteskowym, jak on sam.

Pewnego dnia spacerowałem po cmentarzu Mount Auburn — instytucji w owym czasie jeszcze w powijakach, terenie pełnym leśnego uroku, teraz zupełnie przezeń zatraconego. Rosło tu więcej klonów

i brzóz niż wierzb i cyprysów, a ci, co tu spoczywali, mieli dużo miejsca. Nie było to miasto umarłych, ale najwyżej wioska, a zadumani wędrowcy mogli snuć się nie dręczeni zbyt natrętnym przypomnieniem naszych dziwacznych roszczeń do pośmiertnej pamięci.

Przyszedłem tutaj, aby cieszyć się pierwszymi zwiastunami wiosny. Był to jeden z tych łagodnych dni końca zimy, kiedy zdrętwiała ziemia wydaje pierwsze westchnienie, będące znakiem wyzwalania się spod czaru snu; słońce, choć spowite we mgły, przygrzewało i mróz uciekał z najgłębszych kryjówek.

Pół godziny już wędrowałem po krętych ścieżkach cmentarza, kiedy nagle dostrzegłem znajomą postać na ławce przy biegnącym od południowej strony zielonym żywopłocie. Nazywam tę postać znajomą, ponieważ zjawiała się nieraz w mojej pamięci i wyobraźni; w rzeczywistości widziałem ją tylko raz. Starzec zwrócony był do mnie tyłem, ale okrywał go ogromny płaszcz, którego nie można było z żadnym innym pomylić. A więc oto jest w końcu mój towarzysz z nawiedzonego domu; oto mam szansę, jeżeli zechcę się do niego zbliżyć.

Zatoczyłem koło i podszedłem do niego z przodu. Gdy byłem na końcu alei, spostrzegłem, że nadchodzi, i siedząc nieruchomo, z rękami wspartymi na lasce, wpatrywał się we mnie spod swych czarnych

brwi. Z daleka te czarne brwi wydawały się przerażające, tylko je widziałem w jego twarzy. Przyjrzawszy mu się bliżej, uspokoiłem się, dlatego że natychmiast pojąłem, iż nikt nie może być tak dziwacznie srogim, jak to zapowiada wygląd mego biednego, starego dżentelmena. Twarz jego była niejako karykaturą żołnierskiej zadzierzystości.

Stanąwszy przed nim, z szacunkiem zapytałem, czy mogę usiąść obok i odpocząć. Bez słowa, gestem pełnym godności, udzielił mi pozwolenia, zająłem więc miejsce koło niego; w tej pozycji mogłem go ukradkiem obserwować.

W porannym słońcu wyglądał równie ekscentrycznie, jak wówczas w niepokojącym mroku. Sztywne bruzdy na jego twarzy zdawały się być wycięte ręką niewprawnego rzeźbiarza. Miał płonące oczy, monstualny nos, zaciśnięte usta, a jednak po chwili, kiedy powoli się odwrócił i uważnie patrzył na mnie, spostrzegłem, że pomimo tej złowrogiej maski jest bardzo łagodnym staruszkim. Pewien byłem, że nawet chętnie by się uśmiechnął, ale widocznie muskuły jego twarzy zbyt zesztyniały — raz na zawsze ułożyły się w inny wyraz.

Zastanawiałem się, czy nie jest obłąkany, ale odrzuciłem tę myśl: skupione spojrzenie jego błyszczących oczu nie było spojrzeniem szaleńca. Twarz wyrażała głęboki, nie udawany smutek; zapewne starzec miał złamane serce, ale umysł zdrów.

Jego ubiór był sfatygowany, ale czysty, choć stary, błękitny płaszcz poznał się ze szczotką przed półwieczem.

Pospiesznie rzuciłem jakąś uwagę na temat wyjątkowo ładnej pogody w tym dniu i zdumiałem się, gdy z tych surowych ust wypłynął w odpowiedzi łagodny, aksamitny głos.

— To bardzo przyjemne miejsce — dorzucił po chwili.

— Lubię spacerować po cmentarzach — oświadczyłem z rozmysłem, pochlebiając so-bie, że uderzyłem w strunę, która wyda dźwięk. I nie zawiodłem się: starzec utkwiał we mnie swoje ciemne, błyszczące oczy i powiedział niezwykle poważnie:

— Spacerować, owszem. Niech pan zażywa teraz jak najwięcej ruchu. Pewnego dnia będzie pan musiał pozostać na cmentarzu w nieruchomej pozycji.

— Tak, to prawda — odrzekłem. — Ale wie pan, podobno niektórzy ludzie zażywają ruchu nawet po tym dniu.

Patrzył wciąż na mnie, lecz na te słowa odwrócił głowę.

— Pan mnie nie zrozumiał? — zapytałem cicho. Nadal patrzył wprost przed siebie. — Niektórzy ludzie, wie pan, spacerują po śmierci — ciągnąłem.

Wreszcie zwrócił się ku mnie i rzucił mi złowieszcze spojrzenie.

— Pan w to nie wierzy — stwierdził po prostu.

— Skąd pan wie, że nie wierzę?

— Bo jest pan młody i niemądry.

Powiedział to bez zgryźliwości, tonem człowieka, który ma za sobą tak ciężkie przeżycia, że wszystko inne wydaje mu się błahostką.

— Z pewnością jestem młody odpowiedziałem.

— Jednak nie sądzę, żebym był, ogólnie biorąc, niemądry. Powiedzmy, że nie wierzę w duchy. Ależ większość ludzi byłaby po mojej stronie.

— Większość ludzi to głupcy! — wybuchnął stary.

Dałem temu spokój i zaczęliśmy rozmawiać o czym innym. Mój towarzysz zachowywał rezerwę; spoglądał na mnie groźnie, dawał krótkie odpowiedzi na moje pytania, ale mimo to odniosłem wrażenie, że nasze spotkanie sprawia mu przyjemność, a nawet stanowi dosyć ważne wydarzenie towarzyskie. Był na pewno samotnikiem i rzadko miewał okazję do pogawędki. Musiał przeżywać kiedyś poważne zmartwienia, które oddaliły go od świata i kazały zamknąć się w sobie, ale towarzyska struna jego staroświeckiej duszy nie została całkowicie zerwana i jestem pewien, iż z zadowoleniem stwierdzał, że potrafi jeszcze na niej grać.

W końcu sam zaczął zadawać pytania. Chciał wiedzieć, czy jestem studentem.

— Studiuję teologię.

— Teologię?

— Tak, chcę zostać duchownym.

Spojrzał na mnie ze szczególną uwagą, a potem znów odwrócił wzrok.

— W takim razie — powiedział w końcu — powinien pan o pewnych rzeczach wie-dzieć.

— Jestem spragniony nauki odparłem. — A jakie rzeczy ma pan na myśli?

Patrzył na mnie przez chwilę, ale nie zwracał uwagi na moje pytanie.

— Podoba mi się pan z wyglądu — oświadczył. — Myślę, że jest pan opanowanym człowiekiem.

— O tak, jestem doskonale opanowany! — wykrzyknąłem, tracąc na chwilę opanowa-nie.

— Sądzę, że jest pan rozumnym młodzieńcem — ciągnął.

— A więc nie wydaję się już panu niemądrym? — spytałem.

— Nie cofam tego, co powiedziałem o ludziach, którzy uważają, że duchy zmarłych nie mogą tu powracać! To głupcy! — gwałtownie uderzał laską w ziemię.

Wahałem się przez chwilę, a potem powiedziałem nagle:

— Pan widział ducha!

Wcale nie wydał się tym wstrząśnięty.

— Ma pan rację, młodzieńcze — powiedział z wielką pewnością. — Dla mnie nie jest to sprawa suchej teorii. Nie potrzebuję szperać w starych



księgach, aby wiedzieć, w co mam wierzyć. Ja wiem! Na własne oczy widziałem ducha zmarłej osoby, który stał tak blisko przede mną, jak pan teraz!

Kiedy to mówił, oczy jego miały taki wyraz, jak gdyby rzeczywiście oglądały dziwy. Zrobił na mnie nieprzeparte wrażenie — zaczynałem mu wierzyć.

— Czy to było straszne? — spytałem.

— Jestem starym żołnierzem! Ja się nie boję!

— Gdzie to było? — chciałem wiedzieć.

Spojrzał na mnie nieufnie i zrozumiałem, że posunąłem się za daleko.

— Proszę mi wybaczyć, że poniecham szczegółów — powiedział. — Nie mam prawa mówić więcej. Powiedziałem panu o tym, ponieważ nie znoszę, gdy się lekko traktuje ten temat. Proszę pamiętać, że spotkał pan bezwzględnie uczciwego starego człowieka, który twierdził... ręką słowem honoru... że widział ducha!

Wstał, jakby uznał, że powiedział już dość. Właściwa mu powściągliwość, duma, obawa, by nie zostać wyśmianym, może nawet wspomnienie złośliwych kpiniek nie byłyby tu bez znaczenia, z drugiej jednak strony, jak przypuszczam, rozwiązała mu język starcza gadatliwość, poczucie samotności, potrzeba zrozumienia przez drugiego człowieka, a zapewne i sympatia dla mnie, do której sam się przyznał. Niemądrą byłoby rzeczą wywierać na niego nacisk. Miałem jednak nadzieję, że się z nim kiedyś

znowu zobaczą.

— Aby nadać większą wagę moim słowom oświadczył — pozwolę sobie podać panu moje nazwisko. Jestem kapitan Diamond, proszę pana. Służyłem w wojsku.

— Spodziewam się, że będę miał przyjemność ponownie spotkać się z panem — rzekłem.

— Ja również, proszę pana! — I wymachując złowrogo laską — choć w najlepszych intencjach — odmaszerował sztywnym krokiem.

Pytałem parę osób, które starannie dobieierałem, czy wiedzą coś o kapitanie Diamondzie, ale nie potrafiły rzucić żadnego światła na jego postać. Nagle uderzyłem się w czoło, stwierdzając, że jestem głupcem, gdyż uprzytomniłem sobie, że zaniedbałem najważniejsze źródło informacji, które mnie nigdy nie zawiodło.

Pewna znakomita osoba, przy której stole zazwyczaj jadałem obiady i która udzielała gościny studentom za tyle to a tyle tygodniowo, miała równie znakomitą siostrę, obdarzoną jednak większym talentem prowadzenia rozmów na różne tematy. Owa siostra, znana jako panna Deborah, była starą panną w pełnym tego słowa znaczeniu. Trochę zdeformowana, nie wychodziła nigdy z domu; całymi dniami przesiadywała przy oknie między ptaszkiem w klatce a kwiatkiem w doniczce i szyła jakieś drobiazgi, tajemnicze opaski i falbanki. Zapewniano mnie, że po

mistrzowsku włada igłą, a prace jej wysoko ceniono. Miała świeżą, drobną, okrągłą twarz, a pomimo kalectwa i ciągłego przebywania w domu, nie traciła nigdy pogody ducha. Była na swój sposób bardzo dowcipna, niezwykle spostrzegawcza i lubowała się w przy-jacielskich pogawędkach. Największą przyjemność sprawiało jej, gdy ktoś (a zwłaszcza, jak myślę, młody student teologii) przysuwał krzesło do jej słonecznego okna i sadowił się tam na kwadransik „rozmowy”. „A więc, proszę pana — zagajała ją zazwyczaj jakąś to okropną teorię wysunęła ostatnio krytyka biblijna?” Udawała bowiem, że ją przerażają racjonalistyczne teorie tego wieku. Sama jednak bardzo lubiła filozofować i przekonany jestem, że była wię-kszą racjonalistką niż którykolwiek ze studentów i że gdyby tylko zechciała, mogłaby wysunąć pytania, przed którymi zdrżałby najzuchwalszy z nas. Ze swego okna widziała całe mia-sto, a raczej cały kraj. Zdobywała wiedzę, siedząc w niskim bujanym fotelu i śpiewając swo-im załamującym się głósiem. Pierwsza się o wszystkim dowiadywała i ostatnia zapominała. Znała wszystkie miejscowe ploteczki i wiedziała wszystko o ludziach, których na oczy nie widziała. Kiedy ją zapytałem, w jaki sposób zdobyła swoją wiedzę, powiedziała z prostotą:

— O, z obserwacji! Niech pan przygląda się wszystkiemu uważnie, a wtedy miejsce, w którym się pan znajduje, będzie bez znaczenia. Może pan nawet

być w najciemniejszej piwni-cy. Trzeba tylko od czegoś zacząć. Jedna rzecz prowadzi do drugiej, a wszystko jest ze sobą powiązane. Zamknijcie mnie w ciemnym pokoju, a po chwili zauważę, że pewne miejsca nie są tak ciemne, jak inne. Później muszę tylko mieć czas, a powiem wam, co prezydent Stanów Zjednoczonych będzie jadł na obiad.

Kiedyś powiedziałem jej komplement: „Pani obserwacje są tak zręczne, jak pani igła, a wnioski tak właściwe, jak pani ściegi”.

Panna Deborah oczywiście słyszała o kapitanie Diamondzie. Mówiono o nim przed laty, ale z jego imieniem związany był pewien skandal.

— Co to za skandal?

— Zabił własną córkę.

— Zabił ją?! — wykrzyknąłem. — Jak to?

— Och, nie z pistoletu ani sztyletem czy też dawką arszeniku. Swoim językiem. Tyle się mówi o kobiecym języku! Przeklął ją... Rzucił na nią jakieś straszliwe przekleństwo i umarła.

— A co ona zrobiła?

— Przyjęła wizytę zakochanego w niej młodzieńca, któremu ojciec wzbronił wstępu do domu.

— Do domu... — powtórzyłem. — Och, tak! Do tego domu, który stoi na wsi o parę mil stąd, przy samotnej bocznej drodze!

Panna Deborah spojrzała na mnie uważnie,

przegryzając nitkę.

— To pan wie coś o tym domu? — spytała.

— Niewiele — odparłem. — Widziałem go. Ale chciałbym, żeby mi pani powiedziała o nim coś więcej.

Panna Deborah okazała niezwykły, jak na nią, brak chęci do rozmowy.

— Nie nazwie mnie pan przesadną, prawda? — spytała.

— Panią? Pani jest kwintesencją zdrowego rozsądku.

— No cóż, każda nitka ma swoje słabe miejsce, każda igła drobinę rdzy. Wolałabym nie rozmawiać o tym domu.

— Nie wyobraża sobie pani, jak to rozbudza moją ciekawość!

— Współczuję panu. Ale bardzo by mnie to zdenerwowało.

— Czy może to pani zaszkodzić? — spytałem.

— Zaszkoziło to jednej z moich przyjaciółek.

— Miss Deborah stanowczo potrząsnęła głową.

— A cóż ta przyjaciółka zrobiła?

— Zdradziła mi sekret kapitana Diamonda, który jej powierzył w wielkiej tajemnicy. To jego dawna flama i dlatego zwierzył się jej w zaufaniu. Zaklinał, żeby nikomu nie mówiła o tym, bo w przeciwnym razie spotka ją coś okropnego.

— I co się stało?

— Umarła.

— Och, wszyscy jesteśmy śmiertelni! — zauważyłem. — Czy ona mu obiecywała dyskrecję?

— Nie traktowała tego poważnie, nie uwierzyła mu. Powtórzyła mi, co jej powiedział, a w trzy dni później dostała zapalenia płuc. W miesiąc później szyla jej ubranie do trumny, tu, w tym miejscu, gdzie teraz siedzę. Od tej pory nigdy nie wspominałam o tym, co wtedy od niej usłyszałam.

— Czy to coś bardzo dziwnego?

— To było dziwne, a zarazem śmieszne. Może przyprawić o dreszcz grozy, a zarazem wzbudzić śmiech. Ale nie wydobędzie pan tego ode mnie. Pewna jestem, że gdybym powiedziała to panu, zaraz wbiłabym sobie w palec igłę, która by się złamała, a ja w dzień potem umarłabym na tężec.

Odszedłem, nie nalegając więcej. Ale co parę dni przychodziłem do niej po obiedzie i siadałem koło jej bujanego fotela. Nie robiłem żadnych aluzji do kapitana Diamonda. Siady-wałem w milczeniu, tnąc wstążkę jej nożyczkami. Wreszcie, pewnego dnia, powiedziała mi, że źle wyglądam. Byłem blady.

— Umieram z ciekawości — oświadczyłem. — Straciłem apetyt. Nie jadam obiadów.

— Niech pan sobie przypomni żonę Bluebearda!

\*

— Komu śmierć pisana, nie ucieknie od niej — odparłem.

Nadal nic nie mówiła, więc w końcu wstałem z melodramatycznym westchnieniem i odszedłem. Kiedy byłem przy drzwiach, zawołała mnie i wskazując mi krzesło powiedziała:

— Nigdy nie miałam twardego serca. Niech pan siada. Jeżeli zginiemy, może zginiemy razem.

A potem pokrótce przekazała mi to, co wiedziała o tajemnicy kapitana Diamonda. Był niesłychanie porywczym człowiekiem i choć bardzo kochał swą córkę, jego wola musiała być dla niej prawem. Sam wybrał jej męża. Jego żona umarła i mieszkali we dwoje w domu, który był jej wianem. Kapitan, zdaje się, nie miał ani szeląga. Pobrawszy się, zamieszkali w tym domu i zajął się gospodarstwem. Ukochanym dziewczyny był młodzieniec, który pochodził z Bostonu i nosił faworyty. Pewnego wieczoru kapitan przyszedłszy do domu zastał ich razem. Zwymyślał młodzieńca i rzucił straszną klątwę na biedną dziewczynę. Młodzieniec zawołał, że ona jest jego żoną. Kapitan spytał ją, czy to prawda, a ona zaprzeczyła. Wtedy w jeszcze

\* Aluzja do opowieści Perraulta (*Contes des Temps, 1697*) o kobiecie, która nie mogąc pokonać ciekawości złamała zakaz męża i wszedłszy do pewnego pokoju znalazła tam zwłoki pomordowanych przez niego poprzednich jego żon (przyp. tłum.).

gorszej furii powtórzył przekleństwo, kazał jej opuścić dom i wyrzekł się jej na zawsze. Dziewczyna zemdląła, ale on wypadł z domu w szalonym gniewie.

Kiedy w kilka godzin później wrócił, dom był pusty. Na stole leżała kartka od młó-dzieńca, w której pisał, że kapitan zabił swą córkę. Zapewniał ponownie, że była jego żoną, i oświadczył, że tylko on ma prawo złożyć jej ciało do grobu. Uwiózł zmarłą w pojeździe. Kapitan napisał mu w odpowiedzi okropny list, oświadczając, że nie wierzy w jej śmierć, ale — żywa czy martwa nie jest już jego córką. W tydzień potem, o północy, zobaczył jej ducha. To, sędzę, go przekonało. Duch pojawiał się kilkakrotnie i w końcu zaczął regularnie nawie-dzać dom. Było to bardzo przykre dla kapitana, gdyż stopniowo jego gniew mijał i ogarniał go żal. Postanowił wreszcie wyprowadzić się i próbował sprzedać lub wynająć dom, ale ta historia stała się już znana, inni widzieli ducha, dom miał złą sławę i nikt nie chciał go nabyć.

Dom wraz z gospodarstwem to było wszystko, co kapitan posiadał, jedyne jego źródło utrzymania; gdyby nie mógł w nim mieszkać ani go sprzedać, nie miałby z czego żyć. Ale duch był bezlitosny, tak jak on kiedyś. Kapitan wytrzymał to przez sześć miesięcy, lecz potem się załamał. Włożył swój stary niebieski płaszcz, wziął laskę i zamierzał iść w świat i żebrac. Wtedy duch zmiękł i zaproponował



kompromis. „Pozostaw dom mnie! — powiedział. — Przeznaczyłem go dla siebie. Opuść go i zamieszkaj gdzie indziej. Żebyś jednak miał z czego żyć, ja zostanę twoim lokatorem, ponieważ nie możesz znaleźć innego. Wynajmę ten dom i będę ci płacić komorne”. I wymienił pewną sumę. Stary człowiek się zgodził i co kwartał udaje się do tego domu, żeby pobrać komorne!

Roześmiałem się, wysłuchawszy tej historii, ale przyznam, że i zadrzałem, gdyż moje obserwacje ją potwierdzały. Czyż nie byłem świadkiem jednej z kwartalnych wizyt kapitana; czyż nie widziałem, jak siedział, patrząc na swą lokatorkę z zaświatów, gdy ta przeliczała pieniądze za komorne? A kiedy odchodził zmęczonym krokiem, czy nie mógł mieć ukrytego w fałdach płaszcza małego woreczka z tak dziwnie zdobytymi pieniędzmi? Nie podzieliłem się tymi refleksjami z panną Deborah, ponieważ postanowiłem, że nie zaniecham obserwacji, i obiecywałem sobie, że będę miał kiedyś przyjemność uraczenia jej moją opowieścią w całej okazałości.

— Czyż nie wiadomo o tym, by kapitan Diamond miał jakieś inne środki utrzymania? — zapytałem.

— Absolutnie nie. Nie sieje, nie orze — duch zapewnia mu utrzymanie. Dom, w którym straszy, to cenna posiadłość.

— A jakimi pieniędzmi duch mu płaci?

— Amerykańskim złotem i srebrem. Jedna rzecz tylko jest w nich szczególna — wszystkie monety wybite były przed śmiercią dziewczyny. Dziwne pomieszanie elementów materialnych i duchowych.

— A czy duch postępuje szczerze, czy komorne jest wysokie?

— O ile wiem, kapitan żyje na przyzwoitej stopie, starcza mu na fajkę i kielicha. Wynajął domek nad rzeką, który stoi bokiem do ulicy i ma ogródek. Tutaj kapitan spędza całe dnie, a usługuje mu czarna kobieta. Przed kilku laty dużo spacerował, był znaną postacią w mieście, wielu ludzi o nim słyszało, ale ostatnio zamknął się w domu, przesiaduje przed kominem i ciekawscy o nim zapomnieli. Przypuszczam, że dziecinnieje, ale ufam, jestem pewna — zakończyła panna Deborah — że nie utraci władz umysłowych ani zdolności poruszania się. O ile mnie dobrze poinformowano, jednym z warunków układu jest ten, że osobiście będzie się zgłaszać po odbiór komornego.

Nie wydawało się prawdopodobne, by któreś z nas miało ponieść jakąś karę za niedyskrecję panny Deborah; dzień po dniu widywałem ją śpiewającą przy pracy, ani mniej ani bardziej czynną niż zwykle. Co do mnie, śmiało prowadziłem dalej swoje obserwacje. Kilka-krotnie spacerowałem na cmentarz, ale zawiodły mnie nadzieje na ponowne spotkanie tam kapitana. Miałem jednak pewne widoki, które

rekompensowały mi to rozczarowanie. Sprytnie wywnioskowałem, że wyprawy starego kapitana po pieniądze przypadają na ostatni dzień kwartału. Pierwszy raz zobaczyłem go trzydziestego pierwszego grudnia, prawdopodobnie więc uda się znów do nawiedzonego domu w ostatni dzień marca. Ten dzień się już zbliżał. Wreszcie nadszedł.

Późnym popołudniem wyruszyłem w drogę do starego domu, przypuszczając, że na te spotkania wyznaczona była godzina zmierzchu. Nie myliłem się. Krążyłem w pobliżu przez pewien czas, przy czym sam czułem się jak niespokojny duch, kiedy kapitan pojawił się tak jak przedtem i w tym samym ubraniu.

Znowu ukryłem się i widziałem, jak wchodzi do domu z zachowaniem tego samego, co poprzednio, ceremoniału. Światło pojawiała się ponownie w szczelinie żaluzji, a ja otworzyłem okno, które wówczas uległo mojej natarczywości. I znów zobaczyłem wielki cień na ścianie, nieruchomy i uroczysty. Ale nie widziałem nic więcej. Wreszcie pojawił się starzec, wykonał swój fantastyczny *salaam* przed domem i wpełzł w mrok.

Pewnego dnia, przeszło miesiąc później, spotkałem go ponownie na Mount Auburn. Powietrze pełne było odgłosów wiosny; powróciły ptaki i szczebiotały o swych zimowych podróżach, łagodny wiatr z zachodu szeleścił wśród świeżej zieleni.

Kapitan siedział na ławce w słońcu, wciąż zakutany w swój obszerny płaszcz. Poznał mnie, skoro tylko się zbliżyłem. Skinął głową jak stary basza dający znak, by mnie ścięto, ale widoczne było, że jest zadowolony ze spotkania ze mną.

— Szukałem tutaj pana niejedną raz — powiedziałem. — Nie zjawia się tu pan często.

— Czego pan chce ode mnie? — zapytał.

— Pragnę mieć przyjemność rozmowy z panem.

Tyle mi dała zesłłym razem.

— Pan uważa, że jestem zabawny?

— Interesujący!

— Nie sądzi pan, że brak mi piątej klepki?

— Że brak panu...? Ależ drogi panie! — zaprotestowałem.

— Jestem jak najbardziej zdrowym na umyśle człowiekiem. Wiem, że tak właśnie mówią wariaci, ale na ogół oni nie mogą tego dowieść. Ja mogę!

— Wierzę panu — odparłem. — Ciekaw jednak jestem, jak można takiej rzeczy do-wieść.

Przez chwilę milczał.

— Powiem panu: kiedyś nieumyślnie popełniłem wielką zbrodnię. Teraz płacę karę całym swoim życiem. Nie uchylam się od tego. Patrzę na to uczciwie; wiem, czym to jest. Nie próbowałem się od tego wykłamać ani wyprosić. Nie uciekłem. Kara jest straszna, ale ją przy-jąłem. Okazałem się filozofem.

Gdybym był katolikiem, wstąpiłbym do zakonu

i resztę życia spędził na postach i mo-dlitwie. Ale to nie byłaby kara, tylko wybieg. Mógłbym roztrzaskać sobie głowę... mógłbym zwariować. Nie zrobiłem tego. Po prostu stanąłem twarzą w twarz, przyjąłem konsekwencje. Jak powiedziałem, są one straszne. Ponoszę je w pewne dni, cztery razy w roku. Jest tak od dwudziestu lat i będzie aż do śmierci. To moja sprawa, mój los.

— To godne podziwu — stwierdziłem — ale budzi też we mnie ciekawość i współczucie.

— Zwłaszcza ciekawość — powiedział ostro.

— No cóż — odrzekłem — gdybym wiedział, co właściwie musi pan znosić, współ-czułbym panu bardziej.

— Wielce zobowiązany. Nie potrzebuję takiego współczucia. Nic by to nie pomogło. Powiem panu coś, ale nie ze względu na mnie, tylko dla dobra pana.

Przerwał na dłuższą chwilę i rozglądał się dokoła, jak gdyby chciał się upewnić, czy ktoś go przypadkiem nie podsłuchuje. Czekałem w napięciu na to, co mi wyjawi, ale spotkało mnie rozczarowanie.

— Czy nadal studiuje pan teologię? — zapytał.

— Och, tak — odparłem, zapewne z odcieniem irytacji. — Tego nie można nauczyć się w pół roku.

— Tak sądzę, póki ma pan tylko swoje książki. Czy zna pan przysłowie: „Gram doświadczenia wart jest funta nauki”? Ja jestem wielkim teologiem.

— Ach, ma pan doświadczenie? — szepnąłem

ze współczuciem.

— Czytał pan o nieśmiertelności duszy, wie pan, że Jonathan Edwards \* i dr Hopkins rozpatrywali tę sprawę drobiazgowo i stwierdzili, że jest to prawda, podając przy tym dokładne źródła, na których się opierali. Ale ja dotykałem tego własnymi rękami!

Tu kapitan wyciągnął przed siebie zaciśnięte w pięści swe starcze dłonie i począł wymachiwać nimi okropnie. — Tak jest lepiej ciągnął — ale drogo za to zapłaciłem. Lepiej, żeby pan nauczył się tego z książek i z pewnością tak będzie. Jest pan dobrym młodzieńcem i nigdy nie będzie pan miał zbrodni na sumieniu.

Odpowiedziałem z pewną dozą młodzieńczej zarozumiałości, że jak sądzę, choć jestem dobrym człowiekiem, przyszłym doktorem teologii, ludzkie namiętności nie są mi obce.

— No tak, ale ma pan miłe, spokojne usposobienie. Ja też... teraz. Ale kiedyś byłem brutalny... bardzo brutalny. Powinien pan wiedzieć, że takie rzeczy się zdarzają. Zabiłem swe własne dziecko.

— Własne dziecko?

— Ten cios powalił ją na ziemię, a ja pozostawiłem ją samą, by umarła. Nie mogą mnie za to powiesić, bo zabiłem ją tylko okropnym słowem, przekleństwem. To stanowi różnicę. Oto jak wspaniałe są prawa! Mogę, proszę pana, zaręczyć, że

jej dusza jest nieśmiertelna. Według naszej umowy spotykamy się cztery razy w roku...

— Czy nie wybaczyła panu?

— Wybaczyła mi, jak wybaczą aniołowie! Tego właśnie znieść nie mogę, tego jej łagodnego spojrzenia. Wolałbym, żeby wbiła mi nóż w serce... O Boże, Boże, Boże!

Kapitan Diamond pochylił głowę i oparł czoło na dłoniach skrzyżowanych na lasce.

Wzruszyło mnie to do głębi, ale jego postawa w tym momencie uniemożliwiała dalszą rozmowę. Nim zdobyłem się na odwagę, by o cokolwiek jeszcze zapytać, powstał z wolna i otulił się płaszczem. Nie przywykł do mówienia o swoich biedach i wspomnienia całkowicie nim zawładnęły.

— Muszę ruszać w drogę — powiedział. — Muszę się wlec dalej.

— Zapewne jeszcze pana kiedyś tu spotkam — powiedziałem.

— Och, mam już zeszywniałe stawy — odpowiedział — i to za daleko dla mnie. Muszę się oszczędzać. Czasami przez miesiąc siedzę na krześle i palę fajkę. Ale chciałbym pana znów zobaczyć.

Urwał i patrzył na mnie przez chwilę, zarazem życzliwie i srogo.

— Może pewnego dnia zapragnę bliskości kogoś o młodej, nie zepsutej duszy. W przy-jaźni zawsze się coś zyskuje. Jak się pan nazywa?

Miałem w kieszeni niewielki tomik „Myśli” Pascala, na którego pierwszej stronie znajdowało się moje nazwisko i adres. Wyjąłem książkę i ofiarowałem memu staremu przyjacielowi.

— Proszę przyjąć tę książkę — poprosiłem. — Bardzo ją lubię i powie ona panu coś o mnie.

Wziął ją i powoli przewracał kartki, a potem patrząc na mnie i krzywiąc twarz w uśmiechu wdzięczności powiedział:

— Nie czytam dużo, ale nie odrzucę pierwszego prezentu, jaki otrzymałem od czasu... moich kłopotów. I ostatniego. Dziękuję panu. — Trzymając książeczkę w ręku odszedł.

Przez parę tygodni mogłem tylko wyobrażać go sobie, samotnie siedzącego w fotelu i palącego fajkę. Nie spotykałem go zupełnie. Wyczekiwałem, aż nadarzy się okazja; ostatniego dnia czerwca, kiedy upłynął następny kwartał, uznałem, że właśnie nadeszła.

W czerwcu zmierzch zapada późno; wypatrywałem go niecierpliwie. Wreszcie u schyłku pięknego letniego dnia ponownie odwiedziłem posiadłość kapitana Diamonda. Wszystko dokoła było zielone, z wyjątkiem ponurego sadu, a dom, przez swój niezgłębiony smutek i szarość, robił równie wstrząsające wrażenie jak pod grudniowym niebem, kiedy go pierwszy raz ujrzałem. Podeszedłszy blisko, zorientowałem się, że zjawiam się za późno.



Zamierzałem bowiem w chwili nadejścia kapitana po prostu stanąć przed nim i śmiało go prosić, żeby pozwolił mi wejść razem z sobą.

Wyprzedził mnie: w oknach już było światło. Nic chciałem, naturalnie, niepokoić go w czasie spotkania z duchem, więc czekałem, aż wyjdzie. Po pewnym czasie światła zgasły, po-tem otworzyły się drzwi i ukazał się kapitan. Tego wieczoru nie kłaniał się domowi, bowiem zaraz po wyjściu ujrzał swego szlachetnego młodego przyjaciela stojącego tuż przy progu, w postawie skromnej, lecz zdecydowanej. Zatrzymał się nagle patrząc na mnie i tym razem straszliwy grymas jego twarzy harmonizował z sytuacją.

— Wiedziałem, że jest pan tutaj — oświadczyłem. — Przyszedłem tu umyślnie.

Wydawał się skonsternowany; rzucił niespokojne spojrzenie na dom.

— Niech mi pan wybaczy, jeśli posunąłem się za daleko — dodałem — ale przecież pan sam mnie ośmielił.

— Skąd pan wiedział, że tu będę?

— Wynioskowałem to. Wyjawiał mi pan połowę swej historii, a drugą połowę sam od-gadłem. Jestem spostrzegawczy i przechodząc tędy zauważyłem ten dom. Wydał mi się tajemniczy. Kiedy mi się pan łaskawie zwierzył, że widział duchy, byłem pewien, że mogło to się zdarzyć tylko tutaj.

— Bardzo pan sprytny! — zawołał starzec. — A co sprowadza pana tutaj dziś wieczór?

Musiałem dać wymijającą odpowiedź:

— Och, często tu przychodzę, lubię patrzeć na ten dom, urzekł mnie.

Obrócił się i spojrzał na dom.

— Na zewnątrz nie ma nic do oglądania.

Najwidoczniej nie wywarł na nim wrażenia osobliwy wygląd domostwa, co mnie zdu-miewało, zwłaszcza że właśnie stałem w zapadającym mroku pod okapem tego posepnego budynku.

— Spodziewałem się, że będę miał okazję zajrzeć do środka. Myślałem, że może spo-tkam pana i że pozwoli mi pan wejść ze sobą. Chciałbym zobaczyć to, co pan tam widzi.

Wydawał się speszony moją zuchwałością, ale chyba nie sprawiła mu przykrości. Poło-żył rękę na moim ramieniu.

— A czy pan wie, co ja tam widzę?

— Przecież, jak pan sam to powiedział, mógłbym poznać to tylko dzięki doświadcze-niu. Chcę doświadczyć tego. Proszę, niech pan otworzy drzwi i wprowadzi mnie do środka.

Kapitan szeroko otworzył swe błyszczące pod czarnymi brwiami oczy, wstrzymał na chwilę oddech, a potem po raz pierwszy i ostatni pozwolił sobie na coś, co miało być wybu-chem śmiechu, a co groteskowo wykrzywiło jego poważną twarz i

odbywało się w całkowitej ciszy.

— Wprowadzić pana do środka? — mruknął. — Nie wszedłbym tam powtórnie, nim nadejdzie pora, nawet za tysiąckrotnie większą sumę. — Wyciągnął rękę z fałd swego płaszcza i pokazał niewielką kupkę monet, zawiniętych w starą jedwabną chustkę do nosa. — Czynię to, co nakazuje umowa, nie mniej, ale i nie więcej.

— Jednak kiedy po raz pierwszy miałem przyjemność rozmawiać z panem, powiedział mi pan, że to nie jest takie straszne.

— Nie mówię, że jest to straszne... teraz. Ale jest to piekielnie nieprzyjemne.

Ten przymiotnik wypowiedział z takim naciskiem, że zacząłem się zastanawiać i wa-hać. W trakcie tego wydało mi się, że słyszę, jak jedna z żaluzji nad nami lekko się porusza. Spojrzałem w górę, lecz wszystko zdawało się być pogrążone w bezruchu. Kapitan także rozmyślał. Nagle odwrócił się w stronę domu.

— Jeżeli chce pan wejść tam sam — powiedział — proszę bardzo.

— A czy pan poczeka tu na mnie?

— Tak, jeśli nie zostanie pan tam długo.

— Ale w domu jest ciemno, choć oko wykol. Kiedy pan tam wchodzi, ma pan światło.

Wsunął rękę w głębiny swego płaszcza i wydobył stamtąd pudełko zapalek.

— Niech pan to weźmie. Dwa lichtarze ze świecami znajdzie pan na stole w hallu. Niech je pan zapali, weźmie po jednej w rękę i idzie przed siebie.

— Gdzie mam iść?

— Wszędzie. Gdziekolwiek. Może pan zaufać duchowi, że pana znajdzie.

Nie będę starał się przeczyć, że w owej chwili serce mi waliło. A jednak, wydaje mi się, że gestem pełnym godności skinąłem na starego kapitana, żeby otworzył mi drzwi. Doszedłem do wniosku, że rzeczywiście jest tam duch. Przyjąłem tę przesłankę i tylko zapewniałem samego siebie, że jeśli jest się wewnątrz przygotowanym i nie będzie to stanowić zaskoczenia, można zachować spokój. Kapitan Diamond przekręcił zamek, gwałtownym ruchem otworzył drzwi i skłonił mi się nisko, kiedy przez nie przechodziłem. Stałem w ciemności i posłyszałem, że drzwi się za mną zamykają. Przez chwilę nie poruszyłem nawet palcami; mężnie patrzyłem w nieprzenikniony mrok. Nie widziałem jednak ani nie słyszałem nic. W końcu zapaliłem zapałkę. Na stole zobaczyłem dwa stare miedziane lichtarze, pokryte już rdzą. Zapaliłem świece i rozpocząłem swoją wyprawę badawczą.

Przede mną wznosiła się szeroka klatka schodowa, zabezpieczona balustradą, pokrytą rzeźbą w delikatnym, a zarazem surowym stylu, tak charakterystycznym dla domów Nowej Anglii.

Postanowiłem wejść tam później i skręciłem do pokoju po prawej stronie.

Był to staroświecki salonik, skromnie umeblowany, zięjący stęchlizną martwoty. Podniosłem wysoko moje obie świece, lecz nie zobaczyłem nic prócz pustych krzeseł i gołych ścian. Za salonikiem znajdował się pokój, do którego zaglądałem z zewnątrz i który łączyły z nim, jak przypuszczałem, dwuskrzydłowe drzwi. I tu także nie stanął przede mną żaden groźny duch. Przeszedłem znowu przez hall i zwiedziłem pomieszczenia po drugiej stronie: jadalnię od frontu, gdzie wielki czworokątny stół pokrywała tak gruba warstwa pyłu, że mógłbym na nim napisać swe imię, i położoną z tyłu kuchnię z wieczyście zimnymi garnkami. Wszystko to było surowe i ponure, ale nie przerażające.

Wróciłem do hallu i podszedłem do podnóża schodów — wejście na nie wymagało nowego wysiłku i podnosząc wysoko świece badałem wzrokiem ciemność. Nagle, w nie dającym się opisać podnieceniu uświadomiłem sobie, że ten mrok jest ożywiony, że się porusza i skupia w jednym miejscu. Powoli — mówię „powoli”, choć w pełnym napięciu oczekiwaniu każda sekunda wydawała mi się wiekiem — przybrał kształt jakiejś wysokiej postaci. Postać ta posunęła się naprzód i stanęła u szczytu schodów.

Szczerze wyznaję, iż orientowałem się już

wtedy, że uczuciu, którego doznaję, uczciwość nakazuje nadać wulgarne miano strachu. Mogę poetycko nazwać je „Przerażeniem”, przez wielkie „P”, w każdym razie było to uczucie, które każe człowiekowi ustąpić. Czułem, jak narasta i staje się absolutnie nie do pokonania, ponieważ zdaje się płynąć nie z mego wnętrza, ale spoza mnie, i być ucieleśnione w ciemnej postaci u szczytu schodów. Próbowałem myśleć rozumnie pamiętam to rozumowanie. Mówiłem do siebie: „Zawsze sądziłem, że du-chy są białe i przejrzyste, a mam przed oczami głęboki cień, gęsty i nieprzenikniony”. Powtórzałem sobie w myślach, że wszystko trwać będzie tylko chwilę i że jeżeli strach ma mnie opanować, powinienem gromadzić wszystkie wrażenia, póki jestem przy zdrowych zmysłach. Cofałem się, krok za krokiem, z oczyma utkwionymi w ową postać, i postawiłem świece na stole. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że właściwą rzeczą byłoby odważnie wejść na schody i stanąć twarzą w twarz z widziadłem, ale nagle zelówki moich butów stały się ciężkie jak z ołowiu. Miałem to, czego chciałem: widziałem ducha.

Starałem się patrzeć uważnie na tę postać, abym mógł ją zapamiętać i potem uczciwie twierdzić, że nie straciłem panowania nad sobą. Pytałem nawet sam siebie, jak długo powinienem tak stać i patrzeć, i kiedy będę mógł z honorem się wycofać. Oczywiście

wszystkie te myśli przebiegały mi przez głowę bardzo szybko, a powstrzymał je następny ruch zjawy... W kolumnie ciemności ukazały się naraz białe ręce i podniosły się na wysokość, na której mogłaby znajdować się głowa. Złączyły się, a następnie rozdzieliły, odsłaniając twarz.

Była zamglona, biała, dziwna — w całym znaczeniu tego słowa upiorna. Przez chwilę postać patrzyła na mnie, potem jedna jej ręka ponownie wolno się podniosła i wymachiwała przed jej twarzą. W geście tym było coś szczególnego; zdawał się oznaczać urazę i odprawę, a jednocześnie miał charakter codzienny i poufały. Poufałość ze strony upiornej Istoty nie wchodziła w moje kalkulacje i nie wydała mi się miłą. Zgodziłem się z kapitanem, że było to „piekielnie nieprzyjemne”.

Opanowało mnie gorące pragnienie, by wycofać się w sposób zdecydowany i, w miarę możliwości, pełen wdzięku. Chciałem okazać się przy tym rycerskim i wydało mi się, że będę takim, jeżeli pogaszę świece. Obróciłem się i skrupulatnie uczyniłem to, a potem skierowałem się ku drzwiom. Przez chwilę szukałem ich po omacku i otworzyłem je. Światło z zewnątrz, choć bardzo już przyćmione, wpadło na chwilę, rozjaśniło zakurzone głębie domu i ukazało mi nieruchomy cień.

Wsparty na swej lasce, kapitan stał na trawie pod jarzącymi się gwiazdami. Patrzył na mnie

uważnie przez chwilę, a potem, nie zadając żadnych pytań, poszedł zamknąć drzwi. Spełniwszy ten obowiązek, przystąpił do drugiego: wykonał uroczysty pokłon niczym kapłan przed ołtarzem, a następnie, nie zwracając już na mnie uwagi, ruszył w drogę.

W kilka dni później przerwałem studia i wyjechałem na letnie wakacje. Byłem nieobecny przez kilka tygodni, w czasie których miałem dosyć czasu, by analizować moje spotkanie ze światem nadprzyrodzonym. Pewną satysfakcję dawała mi myśl, że nie okazałem niegodnego przerażenia, nie zemdlałem ani nie uciekłem. Mimo to czułem się znacznie lepiej, gdy od miejsca tych bohaterских wyczynów dzieliło mnie trzydzieści mil, i przez wiele dni przedkładałem światło dnia nad mrok. Moje nerwy znajdowały się w stanie niezwykłego podniecenia, z czego zdałem sobie dopiero w pełni sprawę, gdy pod wpływem usypiającego morskiego powietrza to podniecenie zaczęło z wolna ustępować.

Kiedy już minęło, podjąłem wysiłek, by spojrzeć na moje przeżycia ze ściśle racjonalnego punktu widzenia. Z pewnością coś widziałem — to nie była moja fantazja. Ale co widziałem? Teraz ogromnie żałowałem, że zabrakło mi odwagi, by podejść bliżej i dokładniej przyjrzeć się zjawie. Ale łatwo tak mówić; żaden człowiek w mojej sytuacji nie odważyłby się uczynić więcej, niż ja uczyniłem. Doprawdy fizyczną



niemożliwością byłoby podejść bliżej. A czy sam zanik moich sił nie był wynikiem działania nadprzyrodzonych mocy? Chyba niekoniecznie, bo ktoś, kto udawałby ducha jeżeli uwierzyłbym w niego — mógłby siać tyle samo spustoszenia, co duch prawdziwy. Dlaczego tak łatwo uznałem za ducha ponurą, powiewającą ręką zjawę? Dlaczego była taka sugestywna? Nie ulega wątpliwości, że prawdziwy czy fałszywy — duch był bardzo inteligentny. O wiele bardziej wolałbym, żeby to był prawdziwy duch; po pierwsze dlatego, że nie miałbym ochoty, aby się okazało, że drżałem i trząsałem się bez powodu, a po drugie — w dzisiejszych czasach fakt, że się widziało autentycznego ducha, dodaje blasku spokojnemu człowiekowi. Dlatego też próbowałem pozo-stawić moją wizję nienaruszoną i nie zastanawiać się nad nią na nowo. Od czasu do czasu jednakże pod wpływem impulsu silniejszego od mojej woli cisnęło mi się na wargi drwiące pytanie: „Przyjmijmy, że była to córka kapitana, jeśli tak, to musiał być jej duch. Ale czy był to tylko jej duch, czy jeszcze coś innego?”

Połowa września zastała mnie zainstalowanego znów w cienistym zakątku teologii; nie spieszyłem się zbytnio z odwiedzeniem nawiedzzonego domu.

Zbliżał się ostatni dzień miesiąca — dla kapitana Diamonda był to koniec jeszcze jednego kwartału. Nie miałem ochoty niepokoić go przy tej okazji, ale

wyznaję, że z wielkim współczuciem myślałem o tym słabym, starym człowieku, który w jesiennym zmierzchu samotnie idzie ciężkim krokiem, by załatwić swą dziwną sprawę. Trzydziestego września, w południe, usypiałem nad ciężkim tomiszczem, kiedy nagle usłyszałem ciche stukanie do drzwi. Odpowiedziałem zaproszeniem do wejścia, ponieważ jednak nie odniosło to skutku, podszedłem do drzwi i otworzyłem je. Przede mną stała niemłoda już Murzynka w czerwonym turbanie, okryta białą chustą. W milczeniu, z wyrazem najwyższej powagi i godności, tak charakterystycznym dla starszych przedstawicielek jej rasy, przyglądała mi się uważnie. Stałem, zdziwiony, aż wreszcie z ogromnej swej kieszeni wyciągnęła jakąś książeczkę. Były to „Myśli” Pascala, które ofiarowałem kapitanowi Diamondowi.

— Proszę pana — odezwała się łagodnym głosem czy pan zna tę książeczkę?

— Doskonale — odparłem. — Moje nazwisko jest na pierwszej stronie.

— To nazwisko pana, nie kogoś innego?

— Jeśli pani chce, napiszę swoje nazwisko, aby mogła je pani porównać.

Milczała przez chwilę, a potem rzekła z godnością:

— To na nic się nie zda. Nie umiem czytać. Ale wystarczy mi pana słowo. Przychodzę od

dżentelmena, któremu pan dał tę książeczkę. Powiedział mi, żebym przyniosła ją jako dowód... jako dowód... tak to nazwał. Leży chory i chce się widzieć z panem.

— Kapitan Diamond jest chory! — zawołałem.  
— Czy to coś poważnego?

— Jest bardzo chory — już odchodzi.

Wyraziłem żal i współczucie i zaofiarowałem się iść do niego natychmiast, jeżeli jego czarna wysłanniczka wskaże mi drogę. Z szacunkiem wyraziła zgodę i po chwili szedłem za nią pełnymi słońca ulicami, czując się niemal jak jakaś postać z „Bajek z tysiąca i jednej no-cy”, prowadzona przez abisyńską niewolnicę. Moja przewodniczka skierowała swe kroki ku rzece i zatrzymała się przed skromnym żółtym domkiem przy jednej z ulic do niej schodzą-cych. Pospiesznie otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka.

Wkrótce znalazłem się przed obliczem mego starego przyjaciela. Zastałem go w łóżku, w zaciemnionym pokoju; widać było, że jest bardzo słaby. Leżał na wznak na poduszce i pa-trzył wprost przed siebie. Włosy miał zjeżone jeszcze bardziej niż zwykle, a jego intensywnie ciemne oczy błyszczały gorączką. Mieszkanie było ubogie, ale bardzo czyste; mogłem więc stwierdzić, że moja ciemna przewodniczka jest oddaną sługą. Kapitan, blady i nieruchomy na białej pościeli, przypominał jakąś

surową rzeźbę na gotyckim grobowcu. Patrzył na mnie w milczeniu. Moja towarzyszka wyszła, pozostawiając nas samych.

— To pan — powiedział wreszcie — to pan, dobry młodzieńcze. Wszak nie myślę się, prawda?

— Nie, nie myli się pan; mam nadzieję, że jestem dobrym człowiekiem. Ale przykro mi bardzo, że pan choruje. W czym mógłbym panu pomóc?

— Jestem bardzo, bardzo chory. Strasznie bołą mnie moje biedne stare kości. — Jęcząc okropnie, starał się ku mnie obrócić.

Zapytałem go, na co choruje i od jak dawna pozostaje w łóżku, ale prawie mnie nie słu-chał; widać było, że niecierpliwi się i chce mówić o czymś innym. Schwycił mnie za rękaw, przyciągnął ku sobie i wyszeptał pośpiesznie:

— Mój czas się zbliża!

— Och, mam nadzieję, że jeszcze nie! — odpowiedziałem, nie zrozumiawszy go. — Mam nadzieję, że wkrótce stanie pan na nogi.

— Bóg jeden wie! — powiedział. — Ale nie mówiłem o śmierci, jeszcze nie. Chciałem powiedzieć, że powinienem iść do tego domu. To dzień wypłaty komornego.

— Ach, rzeczywiście. Ale pan nie może tam iść!

— Nie mogę. To straszne! Stracę pieniądze, a nawet jeśli umieram, są mi potrzebne. Chcę zapłacić doktorowi. Chcę być pochowany jak uczciwy

człowiek.

— To dzisiejszego wieczoru?

— Dzisiejszego wieczoru dokładnie o zachodzie słońca.

Leżał, utkwivszy we mnie wzrok, ja odwzajemniałem jego spojrzenie i nagle zrozumiałem, co go skłoniło do posłania po mnie. Na myśl o tym zachnąłem się w duchu. Chyba jednak nie było tego widać po mnie, bo kapitan mówił dalej tym samym tonem:

— Nie mogę stracić tych pieniędzy, ktoś inny musi po nie pójść. Prosiłem Belinę, ale ona nie chce nawet słyszeć o tym.

— Pan sądzi, że te pieniądze będą wypłacone komu innemu?

— Trzeba przynajmniej spróbować. Zawsze przychodziłem sam, więc nie wiem. Ale jeśli jej pan powie, że jestem bardzo chory, że bolą mnie stare kości, może panu zaufa. Przecież nie zechce, bym umarł z głodu.

— A więc chciałby pan, żebym poszedł zamiast niego?

— Był pan tam już raz, wie pan, jak tam jest. Czy pan się boi?

Wahałem się.

— Proszę o chwilę czasu do namysłu — odparłem — a potem odpowiem panu.

Spojrzenie moje błędziło po pokoju i padało na

różne przedmioty, skromne i podni-szczone, świadczące o u bóstwie właściciela. Spłowiałe i nieliczne, zdawały się apelować do mnie o współczucie. A tymczasem kapitan mówił dalej słabym głosem:

— Sądzę, że ona panu zaufa, tak jak ja panu zaufałem. Spodoba się jej pańska twarz; zrozumie, że pan nikomu nie wyrządzi krzywdy. To dokładnie sto trzydzieści trzy dolary. Niech pan je schowa w bezpieczne miejsce.

— Zgoda — powiedziałem w końcu — pójdę i, o ile nic nie stanie na przeszkodzie, przed ósmą wieczór będzie pan mieć te pieniądze.

Sprawiło mu to wielką ulgę. Ujął moją dłoń i lekko ją uściśnął: wkrótce wyszedłem. Staralem się przez resztę dnia nie myśleć o wieczornym zadaniu, ale oczywiście o niczym innym nie mogłem myśleć. Nie przeczę, że byłem zdenerwowany: opanowało mnie wielkie podniecenie i na przemian żywiłem to nadzieję, że tajemnica może nie jest aż tak głęboka, to obawy, że może okazać się zbyt powierzchowna. Godzina wlokła się za godziną, a kiedy po południu zaczęło się ściemniać, wyruszyłem ze swoją misją.

Po drodze wstąpiłem do skromnego mieszkania kapitana, aby dowiedzieć się, jak się czuje, i otrzymać ostatnie polecenia, jakich może będzie chciał mi udzielić. Drzwi otworzyła mi stara Murzynka, tajemniczo spokojna i poważna. W odpowiedzi na

moje pytania poinformowała mnie, że stan kapitana jest bardzo kiepski, że pogorszyło mu się od rana.

— Musi się pan pospieszyć — powiedziała — jeżeli chce pan wrócić, zanim on odejdzie.

Spojrząwszy na nią upewniłem się, że wie o mojej projektowanej wyprawie, choć nie zdradził mi tego żaden błysk w jej nieprzeniknionych czarnych oczach.

— Ale dlaczego kapitan Diamond miałby odejść? — zapytałem. — Z pewnością jest bardzo słaby, ale nie rozpoznaję u niego żadnej konkretnej choroby.

— Jego chorobą jest starość.

— Nie jest przecież taki stary: ma najwyżej sześćdziesiąt siedem lub osiem lat.

Milczała przez chwilę.

— Jest wyniszczony i wyczerpany, nie może już dłużej tego znieść.

— Czy mógłbym zobaczyć się z nim na chwilę? — zapytałem.

Wprowadziła mnie do pokoju.

Kapitan leżał na łóżku w takiej samej pozie, jak wtedy kiedy odchodziłem, tylko oczy miał zamknięte. Stan jego był „bardzo kiepski”, jak to określiła Belinda, i puls bił mu bardzo słabo. Dowiedziałem się jednak, że po południu był doktor i mówił, że stan kapitana jest zadowalający.

— Nie wie, co się dokoła niego dzieje —

stwierdziła krótko Belinda.

Starzec lekko się poruszył, otworzył oczy i po chwili mnie rozpoznał.

— Właśnie tam idę, wie pan — powiedziałem. — Idę po pańskie pieniądze. Czy chciałby mi pan coś powiedzieć?

Uniósł się na poduszkach z wolna, z bolesnym wysiłkiem, zdawał się jednak mnie nie rozumieć.

— Dom, wie pan — rzekłem. — Pańska córka.

Przez chwilę wolno przecierał czoło i w końcu dotarł do niego sens moich słów.

— Ach tak — wyszeptał. — Ufam panu. Sto trzydzieści trzy dolary. W starych mone-tach... Wszystko w starych monetach. — Potem dodał energiczniej i z rozjaśnionymi oczami: — Proszę, traktować ją z szacunkiem... bardzo uprzejmie. Jeżeli nie... jeśli nie... — tu głos mu ponownie odmówił posłuszeństwa.

— Och, na pewno będę uprzejmy — obiecałem z wymuszonym uśmiechem. — Ale jeśli nie...?

— Jeśli nie, dowiem się o tym! — powiedział z wielką powagą.

Wyszedłem i ruszyłem w drogę, w miarę zdecydowanym krokiem. Kiedy znalazłem się przed domem, złożyłem mu, za wzorem kapitana, ukłon, by go sobie zjednać. Wyliczyłem czas mojego spaceru, tak bym mógł wejść bez zwłoki. Noc już zapadła. Przekręciłem klucz, otworzyłem drzwi i zamknąłem



je za sobą. Zapaliłem zapałkę, odnalazłem stojące na stole przy wejściu dwa lichtarze, które służyły mi poprzednio. Do obu świec przyłożyłem zapałkę, uniosłem wysoko lichtarze i wszedłem do salonu. Był pusty i pozostał pusty, choć czekałem przez chwilę. Potem obejrzałem inne pokoje na parterze, ale nie stanęła przede mną żadna ciemna postać ani nie powstrzymała mych kroków. W końcu wróciłem do hallu i zastanawiałem się, czy wejść po schodach na piętro.

Klatka schodowa była poprzednio sceną mojej porażki, więc zbliżałem się do niej z głęboką nieufnością. Zatrzymałem się u podnóża schodów i, wsparty ręką o poręcz, patrzyłem w górę. Trwałem w pełnym napięciu oczekiwaniu i nie zawiodłem się. W ciemnościach nade mną zaczęła się zarysowywać ciemna postać — ta sama, którą widziałem poprzednio. To nie było złudzenie, ale czyjaś postać — ta sama. Dałem jej czas, by przybrała wyraźny kształt. Twarz miała zakrytą; patrzyła na mnie. Wtedy z rozmysłem powiedziałem głośno:

— Przychodzę zamiast kapitana Diamonda, na jego prośbę. Jest bardzo chory. Nie może wstać z łóżka. Gorąco proszę panią, by wypłaciła pieniądze mnie, a ja zaniósę mu je natychmiast.

Postać stała nieruchomo, nie dając mi żadnego znaku.

— Kapitan Diamond przyszedłby sam, gdyby

mógł — dodałem po chwili błagalnym tonem — ale absolutnie nie może.

Wtedy owa postać odsłoniła twarz ukazując białą, przymgloną maskę, a potem zaczęła powoli schodzić ku mnie. Instynktownie ustąpiłem jej pola i wycofałem się aż do drzwi frontowego salonu. Z oczyma w niej utkwionymi, posuwając się tyłem, przekroczyłem jego próg, zatrzymałem się pośrodku pokoju i postawiłem na stole lichterze. Postać zbliżała się: miała figurę wysokiej, młodej kobiety, osłoniętą czarną, mglistą peleryną. Kiedy podeszła, zobaczyłem, że ma ludzką twarz, choć niezwykle bladą i smutną. Staliśmy wpatrując się w siebie; moje podniecenie znikło, byłem tylko bardzo zaciekawiony.

— Czy choroba mego ojca jest niebezpieczna?  
— spytała zjawa.

Na dźwięk jej głosu, drżącego, łagodnego, na wskroś kobiecego, rzuciłem się ku niej; ogarnęło mnie znowu podniecenie. Wciągnąłem głęboko oddech i coś wykrzyknąłem, pojąłem bowiem, że przede mną stoi nie bezcielesny duch, ale piękna kobieta — bezczelna aktorka. W reakcji na moją łatwowierność opanowało mnie nieprzeparte pragnienie, by chwy-cić długi welon, który okrywał jej głowę. Szarpnąłem nim gwałtownie, prawie go zupełnie ściągnąłem i stałem patrząc na wysoką, przystojną kobietę, mającą około trzydziestu pięciu

lat. Jednym spojrzeniem objąłem ją całą: jej długą czarną suknię, bladą, wyniszczoną smutkiem twarz, wymalowaną, by wydawała się jeszcze bledsza, piękne oczy koloru oczu jej ojca. Dostrzegłem w nich oburzenie, wywołane moim postępkami.

— Chyba mój ojciec nie przysłał tu pana po to, by mnie obraził — zawołała i odwróciwszy się nagle chwyciła świecę i skierowała ku drzwiom. Zatrzymała się w nich, ponownie spojrzała na mnie, zawahała, a potem wyciągnęła z kieszeni sakiewkę i rzuciła ją na podłogę.

— Ma pan swoje pieniądze — powiedziała wyniośle.

Stałem tam, targany zmiennymi uczuciami zdziwienia i wstydu. Widziałem, jak wyszła do hallu. Wtedy podniosłem sakiewkę. W następnym momencie usłyszałem głośny krzyk i odgłos upadającego przedmiotu. Kobieta, zataczając się, wbiegła do pokoju. Nie miała w ręku świecy.

— Mój ojciec... mój ojciec! — wołała. Rzuciła się ku mnie. Wargi miała rozchylone i rozszerzone źrenice.

— Pani ojciec... gdzie? — dopytywałem się.

— W hallu, koło schodów!

Postąpiłem krok w tym kierunku, ale schwyciła mnie za ramię.

— Jest w bieli — wołała — w koszuli. To on!

— Pani ojciec jest w swoim domu, w łóżku. Jest

bardzo chory.

Utkwiła we mnie badawcze spojrzenie.

— Jest umierający?

— Mam nadzieję, że nie — wykrztusiłem.

Jęknęła głośno i zakryła twarz dłońmi:

— O, Boże, widziałam ducha! — wykrzyknęła.

Trzymała mnie wciąż za ramię; wyda-wała się zbyt przerażona, by mnie puścić.

— Jego ducha? — powtórzyłem w zdumieniu.

— To kara za moją długotrwałą głupotę — mówiła.

— Ach — powiedziałem — to kara za moją niedelikatność... Za mój gwałtowny postępek!

— Niech mnie pan stąd zabierze, zabierze! — wołała, wciąż trzymając się kurczowo mojego ramienia.

— Nie tędy! — krzyknęła, gdy skierowałem się w stronę hallu i frontowych drzwi. — Nie tędy, na miłość boską! Tymi drzwiami, tylnym wejściem.

Pochwyciwszy świecę ze stołu, przeprowadziła mnie przez inny pokój na tyły domu. Tutaj, z pomieszczenia będącego zapewne zmywalnią naczyń, prowadziły drzwi na ogród. Przekręciłem zardzewiały zamek i znaleźliśmy się w chłodnym powietrzu, pod gwiazdami. Towarzyszka moja poprawiła swój czarny strój i przez chwilę stała niezdecydowana. Byłem w najwyższym stopniu wstrząśnięty, ale najsilniej odzywała się we mnie ciekawość, kim jest ta kobieta.

Podniecona, blada, malownicza, wydawała się w pierwszych blaskach wieczoru bardzo piękna.

— Przez te wszystkie lata grała pani niezwykle komedię — odezwałem się.

Spojrzała na mnie smutno; zdawało się, że nie ma ochoty udzielić mi odpowiedzi.

— Przyszedłem tu w najlepszej wierze — ciągnąłem. — Zeszłym razem... przed trzema miesiącami.., pamięta pani? Bardzo mnie pani przestraszyła.

— Tak, to była niezwykle gra — odpowiedziała w końcu. — Ale nie miałam innego wyjścia.

— Czyż nie przebaczył pani?

— Jako zmarłej tak. Były w moim życiu sprawy, których nie mógł mi wybaczyć.

Zawahałem się, a potem zapytałem:

— A gdzie pani mąż?

— Nie mam męża... Nigdy nie miałam.

Uczyniła gest kładący kres dalszej rozmowie i szybko ruszyła naprzód. Kiedy okrążyli-śmy razem dom, kierując się ku drodze, wciąż szeptała: „To był on, to był on”.

Kiedy doszliśmy do drogi, zatrzymała się i spytała, w którą stronę się udam. Wskazałem kierunek, skąd przyszedłem, a ona rzekła:

— Bo ja w przeciwną stronę. Czy pójdzie pan do domu mego ojca?

— Prosto do jego domu — odparłem.

— Czy da mi pan jutro znać, co pan tam zastał?

— Z przyjemnością. Ale jak mogę skontaktować się i panią?

Zakłopotana, rozejrzała się dokoła.

— Niech pan napisze kilka słów — powiedziała — i położy kartkę pod tym kamieniem — wskazała na jedną z płytek obrzeżających starą studnię. Obiecałem spełnić jej życzenie i wtedy odeszła mówiąc:

— Wiem, dokąd iść. Wszystko jest zaplanowane. To dawna historia.

Odeszła szybkim krokiem, a kiedy doszła do zaciemnionej części drogi, czarne powie-wne skrzydła jej peleryny nadały jej ten sam widmowy charakter, jak wtedy gdy po raz pierwszy pojawiła się przede mną.

Patrzyłem za nią, aż stała się niewidzialna, a wtedy i ja rozstałem się z tym miejscem.

Niemal biegiem wróciłem do miasta i udałem się wprost do żółtego domku nad rzeką. Pozwoliłem sobie wejść bez pukania i nie napotykając przeszkód skierowałem się do pokoju kapitana. Na niskiej ławce przed drzwiami siedziała ze skrzyżowanymi rękami czarna Belin-da.

— Jak się czuje? — zapytałem. — Umarł?! — krzyknąłem.

Podniosła się z ławki z jakimś tragicznym chichotem.

— Jest teraz takim samym duchem, jak inne.

Wszedłem do pokoju, gdzie leżał stary kapitan, już na zawsze znieruchomiały i cichy. Tego wieczoru skreśliłem kilka linijek, które miałem zamiar umieścić pod kamieniem przy studni, ale nie było mi przeznaczone dotrzymać tej obietnicy.

W nocy źle spałem, w czym nie było nic dziwnego, i chcąc się uspokoić, wstałem z łóżka, aby się przejść po pokoju. Przechodząc koło okna, ujrzałem czarną łunę w północno-zachodniej stronie nieba. Na wsi płonął jakiś dom i widać było, że pali się szybko. Znajdowało się to w tej samej stronie, co scena mojej wieczornej przygody i, kiedy tak stałem patrząc na szkarłatny horyzont, nagle przypomniałem sobie fakt, który mną wstrząsnął. Zgasilem świecę, oświetlającą mnie i mojej towarzyszce drogę do drzwi, ale nie pomyślałem o tej drugiej świecy, którą kobieta zabrała do hallu i w przerażeniu upuściła nie wiadomo gdzie.

Nazajutrz wyruszyłem niosąc swój list i skręciłem w znaną mi boczną drogę. Dom, w którym straszło, był masą zwęglonych bali i dymiących popiołów; pokrywa studni została zdjęta przez tych nielicznych sąsiadów, którzy mieli odwagę walczyć z ogniem roznieconym — jak wierzyli — przez demony. Obluzowane kamienie były porzucane, a ziemia zdepta-na i pełna kałuż.

Edith Wharton

## Świat grozy

Zdarzenie to, dziwne i niezrozumiałe, z pozoru wydawało się całkiem naturalne — przynajmniej w owym czasie. A jednak z biegiem lat, jako że nie było żadnego innego świa-dka prócz samej Sary Clayburn, relacje o nim stały się tak przesadzone, a częstokroć nawet tak absurdalnie nieścisle, że zachodzi konieczność, aby ktoś, kto miał jakikolwiek związek z tą sprawą, chociaż nie był przy tym obecny — powtarzam: moja kuzynka była wówczas (czy też tak sądziła) w domu zupełnie sama — spisał tych kilka znanych faktów.

W owym czasie często bywałam w Whitegates (jak zawsze nazywano tę posiadłość). W istocie



byłam tam też na krótko przed i prawie tuż po dziwnych wypadkach, jakie rozegrały się w ciągu tych trzydziestu sześciu godzin. Jim Clayburn i jego żona byli moimi kuzynami i z tego właśnie powodu, jak również z powodu naszej zażyłości, obie rodziny utrzymują, że to właśnie ja zdolna jestem zebrać do kupy wszystkie fakty — o ile w ogóle można je nazwać faktami. Spisałam zatem, najzrozumialej jak potrafię, główny wątek rozmaitych rozmów, jakie przeprowadziłam z mą kuzynką — a nieczęsto była ona w stanie o tym rozmawiać — na temat owego tajemniczego weekendu.

Czytałam kiedyś w książce pewnego modnego eseisty, że duchy zniknęły z naszych domów wraz z pojawieniem się światła elektrycznego. Co za nonsens! Pisarz ów, mimo że z upodobaniem para się — w literaturze tematyką nadprzyrodzoną, nie ma o tych sprawach bla-dego pojęcia. Z dwóch scenerii starego zamczyska z wieżyczkami strzelniczymi, gdzie pełnią straż bezgłowe ofiary, podzwaniając łańcuchami, oraz współczesnego komfortowego domu podmiejskiego z lodówką i centralnym, w którym jednak od razu czuje się, że jest coś nie tak — wystarczy mi ta druga, aby wywołać dreszcz grozy! Czy zwróciliście może uwagę na fakt, że to przeważnie nie nadwrażliwym i obdarzonym bujną wyobraźnią osobnikom ukazują się duchy, ale właśnie opanowanym, rzeczowym ludziom, którzy w duchy

nie wierzą i są przekonani o tym, że nie mieliby nic przeciwko temu?

A więc, jak już powiedziałam, chodzi o Sarę Clayburn i jej dom. Dom pomimo starości — sędzę, że postawiony został około roku 1780 — był nie zabudowany, przestronny, wysoki; wyposażony zaś w centralne, elektryczność i wszystkie nowoczesne wygody. Jego właścicielka — no, cóż, była bardzo podobna do swego domu. Właściwie nie jest to dosłownie opowiadanie o duchach, a te analogie mają na celu pokazanie, jakiego typu kobietą jest moja kuzynka i jak niewiarygodne wydaje się, że to, co zdarzyło się w Whitegates, spotkało właśnie ją. .

Kiedy Jim Clayburn zmarł, cała rodzina sądziła, że skoro Clayburnowie nie mieli dzieci, wdowa po nim opuści majątek i przeniesie się do Nowego Jorku albo Bostonu — w każdym razie tam, gdzie jest większa różnorodność towarów kolonialnych, a także wielu krewnych i przyjaciół; znalazłaby dla siebie miejsce tu czy tam. Lecz Sara Clayburn rzadko robiła to, czego spodziewali się po niej inni, a w tym przypadku postąpiła dokładnie odwrotnie: została w Whitegates.

— Co, mam porzucić ten stary dom, zerwać rodzinne więzy? Wyjechać, żeby zamknąć się niczym w klatce, z pękiem ptasiego ziela, w jakimś ciasnym mieszkanku w jednym z tych nowoczesnych drapaczy chmur na Lexington Avenue? Zamienić solidną

pieczeń baranią na filet rybi? O, nie, pięknie dziękuję! Tu jest moje miejsce i tu pozostanę, dopóki nie odziedzi-czy po mnie majątku najbliższy krewny Jima — ten tępawy, otyły wyrostek od Presleyów... Dobrze, nic mówmy o nim. Ale wiesz co? Długo będzie musiał na to czekać.

I rzeczywiście, ta krzepka, zdecydowana kobieta, mająca w chwili śmierci męża ledwie po czterdziestce, była dla tęgiego chłopaka Presleyów godnym przeciwnikiem: w kilka lat później zjawiła się na jego pogrzebie w stosownej żałobie, skrywając lekki uśmiech pod woalką.

Whitegates był to miły, gościnny dom, położony na wzgórzu, skąd roztaczał się widok na majestatyczne meandry rzeki Connecticut. Znajdował się jednak w odległości pięciu czy sześciu mil od Norrington, najbliższego miasta, i jego usytuowanie z pewnością byłoby uznane za zbyt odległe i odludne dla dzisiejszej służby. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że Sara Clayburn odziedziczyła po swej teściowej dwoje czy troje służących, gotowych na każde jej skinienie; zdawali się oni być w równym stopniu częścią rodzinnej tradycji, co dach, pod którym żyli. Nigdy nie słyszałam od Sary, by miała jakiegokolwiek kłopoty z zarządzaniem domem.

W czasach kolonialnych dom miał kształt kwadratu, cztery przestronne pokoje na parterze, rozdzielający je korytarz z dębową podłogą, typowy

pawilon kuchenny z tyłu i pokaźnych rozmiarów strych. Ale gdy zainteresowanie „kolonią” zaczęło ożywać na nowo, na początku lat osiemdziesiątych dziadkowie Jima dobudowali jeszcze dwa skrzydła, pod kątem prostym do południowego frontu, tak że dawny „krąg” przed frontowymi drzwiami stał się trawiastym dziedzińcem, zamkniętym z trzech stron, z ogromnym wiązem rosnącym pośrodku. I tak stary dom przekształcił się w przestronną rezydencję, w której trzy kolejne generacje Clayburnów zaznawały hojnej gościnności. Architekt respektował charakter starej budowli: powiększenie uczyniło dom wygodniejszym, nie ujmując mu nic z jego naturalnej prostoty.

Wokół rozciągał się pokaźny majątek ziemski, na którym Jim Clayburn, podobnie jak jego przodkowie, gospodarował, nie bez korzyści dla siebie, odgrywając zarazem liczącą się rolę w polityce stanowej. O Clayburnach zawsze mówiono, że wywierają „korzystny wpływ” w okręgu, a mieszkańcy Norrington byli zadowoleni, że Sara nie zamierza wyjechać. — „Chociaż musi się czuć taka samotna zimą na samym szczycie wzgórza” — mawiali, gdy dni stawały się krótsze, a pierwsze zasypy śniegu zaczynały się gromadzić pod poczwórnym rzędem wiązków, rosnących na błoniach.

A zatem, kiedy już macie wystarczająco jasny obraz Whitegates i rodu Clayburnów których łączyło

z ich starą siedzibą dające poczucie bezpieczeństwa zamięłowanie do ładu oraz dostojęństwo — ja usunę się teraz w cień i opowiem całą tę historię nie słowami mojej kuzynki, zbyt chaotycznymi i nie dopowiedzianymi, lecz odtworzę przebieg wypadków w kolejności na podstawie jej półwyznań i nerwowych niedomówień. Tak więc, o ile to się w ogóle zdarzyło, co pozostawiam wam do oceny sądzę, że wypadki miały przebieg następujący...

## I

Ranek był przejmująco chłodny. Siekł deszcz ze śniegiem, chociaż był to dopiero koniec października. Ale w południe blade słońce wyrzuciło na chwilę zza kłębiących się postrzępionych chmur i skusiło Sarę Clayburn do wyjścia na dwór. Była dziarskim piechurkiem i z zamięłowaniem udawała się o tej porze roku na wędrowną — trzy czy cztery mile gościńcem wiodącym przez dolinę, skąd wracała na skrót przez las Shaker. Zrobiła więc swą zwyczajową rundę i szła właśnie główną aleją w stronę domu, kiedy naraz zrównała się ze skromnie odzianą kobietą idącą w tym samym kierunku. Gdyby nie to, że miejsce jest tak odludne — droga do Whitegates pod wieczór, jesienią nie należała bynajmniej do

uczęszczanych — pani Clayburn z pewnością nie zwróciłaby na kobietę uwagi, gdyż nie należała ona do osób rzucających się w oczy.

Dogoniwszy nieproszonego gościa, kuzynka moja zdziwiona była odkryciem, że jest to obca jej osoba dziewczeczka Whitegates szczyła się tym, że zna, przynajmniej z widzenia, większość swych sąsiadów. Zapadł już zmierzch i twarz kobiety była ledwie widoczna w mroku, ale pani Clayburn mówiła mi, że pamięta, iż było to osoba w średnim wieku, pospolita i dość blada.

Sara pozdrowiła ją i zapytała:

— Czy idzie pani do Whitegates?

— Tak, proszę pani odparła nieznajoma z akcentem, który dawniej w Connecticut Valley nazywano „obcym”, ale który mógłby ujść uwadze kogoś przywykłego do dzisiejszej różnorodności mowy.

— Nie, nie potrafiłabym określić, skąd pochodzi — zwykła mawiać Sara Clayburn — ale uderzyło mnie to, że wcale jej nie znam.

Uprzejmie zapytała kobietę o cel wizyty, a ta odparła:

— Muszę się zobaczyć z jedną z dziewcząt.

Odpowiedź była na tyle oczywista, że pani Clayburn kiwnęła tylko głową i skrzyła w głąb ogrodu. Więcej już tego dnia jej nie widziała. Zaś w pół godziny później zdarzył się wy-padek, który

całkowicie wymazał z jej pamięci obraz nieproszonego gościa. Rzeško, zważym krokiem zbliżała się do domu, kiedy naraz, poślizgnąwszy się na zamarzniętej kałuży, skręciła nogę w kostce i oto leżała bezradnie na ziemi, nie mogąc się podnieść.

Price, kamerdyner, i pokojówka Agnes — surowa, stara Szkotka, którą Sara odziedziczyła w spadku po teściowej, wiedzieli, co do nich należy. Bezzwłocznie położyli swą panią na kanapie i wezwali doktora Selgrove'a z Norrington.

Lekarz polecił przenieść panią Clayburn do łóżka, obejrzał i zabandażował nogę, kręcąc przy tym głową z dezaprobatą: obawiał się, że jest złamana. Uznał jednak, że jeśli pacjentka przyrzeknie, iż nie będzie wstawać ani ruszać nogą, można oszczędzić jej przykrości zakładania gipsu. Pani Clayburn przystała na to, zwłaszcza że doktor ją ostrzegł, iż każde nierozważne poruszenie może przedłużyć tylko czas leżenia w łóżku. Naturze tak niecierpliwej i energicznej jak Sara perspektywa ta wydawała się nie do zniesienia. Irytowała się na samą siebie, że okazała się taką niezdara. Ale cóż, stało się. Od razu też pomyślała o tym, że będzie miała wreszcie okazję przejrzeć rachunki i zaległą korespondencję. I tak, pogodzona z losem, ułożyła się w łóżku.

— Niewiele pani traci kładąc się na kilka dni. Zaczyna padać śnieg i wygląda na to, że rozpada się

na dobre — zauważył doktor spojrzawszy w okno podczas zbierania swych przyborów. — Nieczęsto zdarza się śnieg o tak wczesnej porze roku, ale cóż, zima musi kiedyś nadejść — zakończył sentencjonalnie.

W drzwiach odwrócił się i jeszcze zapytał:

— Może przysłać pani z Norrington pielęgniarkę? Nie po to, by panią pielęgnować, niewiele jest tu do zrobienia do czasu mej następnej wizyty, ale mieszka pani sama na tym odludziu, a zaczyna się zima, więc pomyślałem, że może...

Sara Clayburn się roześmiała:

— Sama? A moja wierna służba? Zapomina pan, doktorze, że już niejedną zimę spędziłam tu z nimi sama. Dwoje z nich służyło w tym domu jeszcze za życia mej teściowej.

— No tak — zgodził się doktor Selgrove. — Pod tym względem jest pani w lepszej sytuacji niż większość z nas. Hm, chwileczkę, już sprawdzam... Dziś jest sobota. Poczekamy, aż minie zapalenie, a potem zrobimy rentgen. W poniedziałek, zaraz z samego rana, przyjdę tu z aparatem. Gdybym potrzebny był pani wcześniej, proszę do mnie zadzwonić.

I wyszedł.



## II

Z początku ból nie był silny, ale po północy stał się dotkliwy. Jak większość cieszących się dobrym zdrowiem, aktywnych ludzi, pani Clayburn była złą pacjentką. Nieprzywykła do cierpienia, nie umiała go znosić. Godziny bezsenności i bezruchu zdawały się wlec bez końca. Agnes przed pójściem spać zrobiła wszystko, co w jej mocy, dla wygody swej pani. Postawiła w zasięgu jej ręki dzbanek lemoniady, a także (Sara uznała to później za dziwne) upierała się, że przyniesie tacę z kanapkami i termos z herbatą. „Na wypadek gdyby była pani głodna” — powiedziała.

— Dziękuję ci, ale nigdy nie jadam w nocy. Z pewnością i tym razem nie będę głodna, najwyżej spragniona. Czuję, że mam gorączkę.

— Tu jest lemoniada, proszę pani.

— Wystarczy. Zabierz, proszę, te kanapki. — Sara nie cierpiała widoku niepotrzebnych resztek jedzenia w swym pokoju.

— Dobrze, proszę pani, ale może...

— Proszę to sprzątnąć — powtórzyła Sara Clayburn z irytacją w głosie.

— Tak, proszę pani. — Ale gdy Agnes wyszła z pokoju, Sara usłyszała, że pokojówka stawia cicho tacę na stole za portierą osłaniającą drzwi.

— Uparta, stara gęś! — pomyślała, niemile dotknięta uporem starej kobiety.

Sen ją opuścił i nie wracał. Długie, ponure godziny dłużyły się jej coraz bardziej. Jak późno wstaje świt w listopadzie!

— Gdybym chociaż mogła poruszyć nogą — sarknęła. Leżała bez ruchu i wyteżęła słuch w oczekiwaniu na pierwsze odgłosy krzątania się służby. W Whitegates wstawało się wcześnie, a pani domu sama świeciła przykładem. Z pewnością już wkrótce pojawi się któraś ze służących. Miała ochotę zadzwonić na pokojówkę, ale powstrzymała się: Agnes późno położyła się spać, a dziś jest niedziela, kiedy to służbie domowej należało się trochę więcej wolnego czasu.

„To głupie z mojej strony — pomyślała niecierpliwie — że nie pozwoliłam jej zostawić herbaty przy łóżku. A może by tak wstać i przynieść sobie?”

W porę przypomniała sobie jednak ostrzeżenie lekarza i nie ośmieliła się poruszyć. Wszystko, byle tylko nie narażać się na ryzyko przykucia do łóżka...

Dało się słyszeć bicie zegara ściennego. Jak głośno rozbrzmiewa w śnieżnej ciszy! Raz-dwa-trzy-cztery-pięć...

Co? Tylko pięć uderzeń? A więc jeszcze trzy godziny z kwadransem, nim usłyszy poruszenie klamki u drzwi... Zapadła w niespokojny sen.

Obudził ją ponownie jakiś dźwięk. To znów zegar ścienny. Nadśłuchiwała. Pokój był wciąż pogrążony w głębokich ciemnościach i słycać było tylko sześć uderzeń zegara... Pomyślała o tym, by coś zadeklamować w myślach, żeby móc zasnąć, ale rzadko czytywała poezję, a mając z natury zdrowy sen, nie potrafiła sobie przypomnieć tradycyjnych sposobów na bezsenność. Noga ciążyła jej jak z ołowiu. Bandaże okropnie cisnęły — widocznie kostka spuchła...

Leżała ze wzrokiem wbitym w ciemne okna, wypatrując brzasku. Wreszcie ujrzała sączące się przez żaluzje blade światło poranka. Przedmioty znajdujące się między oknem a łóżkiem kolejno, jeden po drugim, odzyskiwały swe kontury; zdawały się przemieszczać po Bóg wie jakich potajemnych nocnych przenosinach. Czy ktoś mieszkający w starym domu mógłby uwierzyć, że meble stoją w nim nieporuszone przez całą noc? Pani Clayburn nieomal uzmysławiała sobie, jak mały stolik o smukłych nóżkach wślizguje się pospiesznie z powrotem na swoje miejsce.

„Wie, że zaraz nadejdzie Agnes, i boi się” — przyszła jej do głowy dziwaczna myśl. Widać bezsenna noc pobudziła jej wyobraźnię...

Upłynęły, jak się jej zdawało, całe wieki, nim zegar wreszcie wybił ósmą. Został jeszcze kwadrans. Śledziła wzrokiem wskazówkę małego zegara koło

łóżka, obracającą się wolno wokół tarczy. Dziesięć minut... pięć... już tylko pięć! Agnes jest punktualna jak prze-znaczenie... za dwie minuty już tu będzie. Dwie minuty upłynęły, lecz Agnes się nie pojawiła. Biedna Agnes! Jaka zmęczona i blada była wczoraj wieczorem. Z pewnością zasnęła — albo może się źle czuje i przyśle kogoś w zastępstwie. Pani Clayburn czekała.

Czekała pół godziny, potem sięgnęła po dzwonek u wezglowia. „Biedna stara Agnes! Czuję się winna, że ją budzę”. Lecz Agnes nie nadchodziła. Po dłuższej przerwie pani Clayburn, teraz już zniecierpliwiona, zadzwoniła po raz drugi. Jeden dzwonek, drugi, trzeci — wciąż bez echa. „Widać nie ma prądu” — powiedziała sobie. Można to sprawdzić zapalając nocną lampkę przy łóżku. (Jak to wspaniale, że pokój jest wyposażony we wszystkie praktyczne urządzenia!) Zapaliła lampkę, która się nie zaświeciła. Nie ma prądu. Ponieważ jest niedziela, nic się nie da zrobić do poniedziałku. O ile się nie okaże, że to przepalone są korki, które Price może wymienić. Za chwilę pewnie ktoś się zjawi.

Była już dziewiąta, kiedy wreszcie pani Clayburn dopuściła do siebie myśl, że coś się musiało stać w domu. Poczowała niepokój, ale nie byłaby sobą, gdyby go zaraz nie stłumiła. Żeby tak telefon był w pokoju, a nie na półpiętrze! Obliczała w myślach odległość, jaką musiałyby pokonać, mając żywo w

pamięci zalecenia doktora Selgrove'a. Zastanawiała się, czy dotarłaby tam ze zwichniętą nogą. Groźba założenia gipsu jest przerażająca, ale musi się do-stać do telefonu bez względu na następstwa.

Otuliła się szlafrokiem, odnalazła kij, który zabierała na swe wędrówki, i opierając się na nim ciężko, pokuśtykała do drzwi. W sypialni troskliwa Agnes opuściła i przytwierdziła żaluzje, nie było tam widniej niż o świcie, ale na korytarzu chłodna biel śnieżnego poranka działała niemal uspokajająco. To, co tajemnicze — i przerażające — wiązało się z ciemno-ścią. Oto znów nastąpił zwyczajny, prozaiczny poranek, płosząc wszelkie strachy.

Pani Clayburn rozejrzała się wokół, nastawiając uszu. Cisza. Głęboka nocna cisza w biały dzień w domu, w którym — jak można się było domyślać — kilkoro osób ze służby krząta się przy pracy. To bardzo dziwne... Spojrzała przez okno, spodziewając się ujrzeć kogoś na podwórku lub zmierzającego główną aleją ku domowi. Ale nie było widać nikogo, tylko śnieg zdawał się panować niepodzielnie w tym królestwie ciszy: bezgłośny, nieprzerwa-ny. Padał wciąż z jednostajną regularnością, otulając świat warstwami białego aksamitu, co potęgowało jeszcze ciszę wewnątrz domu. Bezgłośny, niemy świat. Czy ludzie są pewni, że tego właśnie pragną? Absolutnej ciszy? Niechby doświadczyli tego na własnej skórze w tym pustym wiejskim domu na odludziu podczas

listopadowej zadymki!

Pokuśtykała przez korytarz do telefonu. Podnosząc słuchawkę spostrzegła, że drży jej ręka.

Zadzwoniła do spiżarni. Żadnej odpowiedzi. Zadzwoniła jeszcze raz. Cisza znów cisza! Zdawała się nawarstwiać niczym śnieg na dachu i w rynsztokach. Cisza. Ilu z jej znajomych ma w ogóle pojęcie, czym jest cisza — jak głośno dźwięczy w uszach, kiedy się naprawdę w nią wsłuchać?

Znów czekała. Potem zadzwoniła na „centralkę”. Nikt nie odpowiadał. Próbowwała trzykrotnie. Potem znów do spiżarni... A więc telefon, tak jak i prąd, został wyłączony. Któż to tam, na dole, odizolował ją od całego świata? Serce zaczęło jej walić jak młotem. Na szczęście obok aparatu stał fotel. Usiadła na nim, by odzyskać siły — a może odwagę?

Pokoje Agnes i gospodyni znajdowały się nie opodal. Trzeba będzie tam pójść, kiedy już zbierze siły. Czy starczy jej odwagi? Ależ tak, oczywiście. Zawsze uważano ją za dzielną kobietę, sama się za taką uważa. Tylko ta cisza...

Przyszło jej na myśl, że z okna łazienki, znajdującej się tuż obok, mogłaby dojrzeć komin kuchenny. O tej porze powinien z niego lecieć dym. Gdyby tak było w istocie, nie bałaby się już tak bardzo iść dalej. Dotarła do łazienki i wyjrzawszy przez okno stwierdziła, że komin nie dymi. Jeszcze

dotkliwiej odczuła swą samotność. Cokolwiek stało się tam, na dole, musiało się wydarzyć, zanim rozpoczęła się poranna krzątania. Kucharz nie miał czasu rozpaść w piecu, służba nie przystąpiła jeszcze do pełnienia swych obowiązków. Sara Clay-burn osunęła się na najbliższe krzesło, zmagając się ze złymi przeczuciami. Co jeszcze odkry-je, jeśli będzie kontynuować swój obchód?

Ból utrudniał poruszanie, ale odczuwała go jedynie o tyle, o ile uniemożliwiał jej po-śpiech. Bez względu na to, ile ją to będzie kosztowało cierpienia, musi dowiedzieć się, co się dzieje — lub działo — na dole. Najpierw trzeba będzie pójść do pokoju Agnes. A jeśli okaże się pusty? No cóż, jakoś poradzi sobie z zejściem po schodach.

Posuwając się powoli przez korytarz, dla utrzymania równowagi oparła się o kaloryfer. Był lodowaty. Dotychczas zimą w tym wzorowo utrzymanym domu centralne, chociaż przykręcane na noc, nigdy nie było wyłączane, i do ósmej rano przyjemne, łagodne ciepło rozchodziło się po pokojach. Teraz lodowaty chłód żeberka kaloryfera przeraził ją. To szofer doglądał zawsze ogrzewania — a więc i on także wmieszany jest w tę tajemnicę, podobnie jak służba domowa. A to tylko pogarsza całą sprawę.

### III

Przystanąła pod drzwiami pokoju Agnes i zapukała. Nie spodziewała się wcale odpowiedzi i odpowiedzi nie było. Otworzyła więc drzwi i weszła do środka. W pokoju było ciemno i chłodno. Pani Clayburn podeszła do okna i podniosła żaluzje, potem rozejrzała się wokół, żywiąc niejasne obawy przed tym, co może ujrzyć. Pokój był pusty, ale nie to ją przeraziło, lecz jego niezakłócony, pedantyczny porządek. Żadnego śladu, że ktoś się niedawno ubierał czy też kładł do snu poprzedniego wieczora. Łóżko było starannie zasłane.

Sara Clayburn oparła się o ścianę. Potem podeszła do szafy i otworzyła ją na oścież. Agnes trzymała tu swoje suknie — wisiały równiutko w rzędzie. Na półce powyżej leżały nieliczne i niemodne kapelusze, poprzerabiane ze starych kapeluszy jej chlebodawczyni. Pani Clayburn, która znała je wszystkie, zajrzała na półkę i stwierdziła, że jednego brakuje. Podobnie jak ciepłego zimowego palta, które podarowała swej pokojówce zeszłej zimy.

A zatem kobieta wyszła z domu. I to bez wątpienia poprzedniego wieczora, ponieważ łóżko było zasłane, a przybory do mycia i ubrania nie ruszane. Agnes, która nigdy nie wyściubiła nosa z domu po zmroku, która miała w pogardzie kino,



podobnie jak radio, i nigdy nie dała się przekonać, że te małe, niewinne rozrywki są w życiu niezbędne — opuściła dom w śnieżną zimową noc, podczas gdy jej pani leży w łóżku cierpiąca i pozbawiona pomocy!

Dlaczego wyszła? Dokąd? Czy to już poprzedniego wieczora, gdy pomagała rozebrać się swej pani, wysłuchując jej poleceń i starając się zapewnić jej maksymalną wygodę — czy to już wtedy planowała tę potajemną wycieczkę? A może coś tajemniczego, przerażającego, czego śladów wciąż szukała po omacku — wydarzyło się później tego wieczora, ściągając pokojówkę na dół, a potem na dwór w mroźną noc? Może któryś z ludzi w garażu — gdzie mieszkali szofer i ogrodnik nagle zachorował i ktoś przybiegł po Agnes? Tak, to mogłoby wyjaśnić całą zagadkę... Mimo to wiele jeszcze pozostaje do wyjaśnienia.

Tuż za pokojem Agnes znajdowała się garderoba, zaraz obok — pokój gospodyni. Sara Clayburn podeszła do drzwi i zapukała.

— Mary! — Żadnej odpowiedzi.

Weszła do środka. Wewnątrz panował taki sam nieskazitelny porządek jak u Agnes. I tutaj łóżko było zasłane. Zatem obie kobiety wyszły razem. Ale dokąd?

Cisza, coraz bardziej głucha i lodowata, przygniatała ją swym ciężarem. Nigdy dotąd nie uważała swego domu za duży, teraz jednak w ten

zimowy, śnieżny poranek dom wydawał się olbrzymi, pełen złowieszczych zakamarków, gdzie nie śmiała zajrzeć.

Obok pokoju gospodyni znajdowały się kuchenne schody. Tędy wiodła najkrótsza droga na parter. Każdy krok potęgował ból, ale postanowiła zawrócić długim korytarzem i zejść na dół schodami od frontu. Nie wiedziała, dlaczego to robi, lecz czuła się w tym momencie niezdolna do logicznego rozumowania i wołała słuchać instynktu.

Niejeden raz przemierzała parter sama wczesnym rankiem, szukając źródła niezwykłych hałasów nocnych, lecz teraz to nie myśl o hałasach budziła w niej lęk, ale ta niewzruszona, złowroga cisza i wrażenie, że nawet teraz, w pełni dnia, dom nadal zachował swą dziwną, nocną tajemniczość i obserwuje ją uważnie; że zakłócając ciszę tych pustych, schludnych pokoi, być może przeszkadza w jakichś niewidzialnych misteriach, do których istocie z krwi i kości lepiej się nie mieszać.

Szerokie dębowe schody były starannie wyfroterowane i tak śliskie, że musiała kurczowo trzymać się poręczy i posuwać w dół powolutku, krok za krokiem. Gdy tak schodziła, cisza schodziła wraz z nią — jeszcze głębsza, wszechogarniająca. Zdawało się, że idzie za nią krok w krok. Była to cisza, jakiej jeszcze nie знаła: nie cienka bariera między uchem a napływającym z oddali cichym szmerem życia

toczącego się gdzieś tuż obok, lecz gęsta, nieprzenikniona materia, jakby ustało wszelkie życie i wszelki ruch na ziemi.

Właśnie to uczucie przejmowało ją lękiem — wrażenie, że cisza nie ma granic, że poza nią nic już nie ma. Tymczasem doszła do podnóża schodów i pokuśtykała przez hall w stronę salonu. Wiedziała, że cokolwiek tam zastanie, będzie martwe i nieme. Ale cóż to może być? Martwe ciała jej sług zniesione na dół przez jakiegoś mordercę-maniaka? A jeśli teraz na nią przyjdzie kolej — jeśli ten człowiek czyha na nią, ukryty za ciężką portierą w pokoju, do kórego ona właśnie ma zamiar wejść? Musi stawić czoło niebezpieczeństwu, jakie się tam przy-czaiło. Odwaga ją opuściła, ale nie ma nic gorszego niż nadal pozostać uwięzioną w tym odciętym od świata przez śnieżne zasy domu i nie wiedzieć nawet, czy jest w nim sama, czy nie. „Muszę się dowiedzieć, muszę” — powtarzała jak refren.

Zimne światło z dworu wypełniało wnętrze salonu. Żaluzje nie były opuszczone ani zasłony zaciągnięte. Pani Clayburn rozejrzała się. Salon był pusty, każda rzecz znajdowała się na swoim miejscu. Jej fotel stał przysunięty do kominka, a w wygasłym palenisku zebrał się stos popiołu — pozostałość po ogniu, przy którym grzała się przed owym fatalnym spacerem. Nawet pusta filiżanka po kawie stoi wciąż na stole koło fotela. Najwidoczniej służba nie

wchodziła do salonu, odkąd pani Clayburn go opuściła poprzedniego dnia zaraz po lunchu.

I wtedy nagle ogarnęło ją przeświadczenie, że w takim samym stanie, w jakim znalazła salon, zastanie również i resztę domu — wszędzie chłód, pustka i nieskazitelny porządek. Niczego poza tym nie znajdzie, niczego nie odkryje. Nie czuła już więcej strachu przed mogą-cym na nią czyhać gdzieś w tej głuchej ciszy jakimś pospolitym niebezpieczeństwem. Miała pewność, że jest samiuteńka w całym domu. Usiadła, by dać odpocząć obolałej nodze.

Na parterze znajdowały się jeszcze inne pomieszczenia. Postanowiła zajrzeć kolejno do każdego z nich, ale już z góry wiedziała, że nie znajdzie w nich rozwiązania zagadki. Wyczu-wała to w intensywności ciszy, jaka ją otaczała, a której nie zakłócał najłżejszy nawet szmer. Tylko zimny, gęsty śnieg padał wciąż nieprzerwanie.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, nim ośmieliła się kontynuować inspekcję. Nie czuła już bólu, ale zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej opierać ciężaru ciała na chorej nodze, dlatego posuwała się bardzo powoli, opierając się o każdy mebel, jaki napotkała po drodze. Na parterze żaluzje nie były opuszczone ani zasłony zaciągnięte, szła więc naprzód bez prze-szkód, z pokoju do pokoju — do biblioteki, saloniku, jadalni. Wszystko było na swoim miej-scu. W jadalni stół był nakryty do kolacji

z poprzedniego wieczora: kandelabry z pogaszonymi świecami odbijały się w ciemnym, mahoniowym blacie. Sara Clayburn nie należała do osób, które dzióbnią gotowane jajko na tacce, nawet gdy są same przy stole, ale zawsze scho-dziła do jadalni, aby zjeść „jak na cywilizowanego człowieka przystało”.

Pozostały jeszcze pomieszczenia od tyłu. Z jadalni przeszła do spiżarni. Tu też wszystko było w nienagannym porządku. Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz, gdzie podłoga przykryta była gustownym linoleum. Wszędzie towarzyszyła jej głęboka cisza: szła czujnie przy jej boku, jak gdyby Sara była jej więźniem i jakby zamierzała się na nią rzucić, gdyby pani Clayburn próbowała uciekać. Pokuśtykała w kierunku kuchni.

Zanim tam weszła, oparła się na chwilę o framugę okna na korytarzu. „Zupełnie jak *Mary Celeste* — pomyślała. — *Mary Celeste* na *terra firma* — przypomniała sobie nagle z dzieciństwa nigdy nie zbadaną zagadkę morskiej katastrofy. Nikt nigdy się nie dowiedział, co stało się na pokładzie *Mary Celeste*. I z pewnością nikt się też nigdy nie dowie, co stało się w jej domu. Nawet ona sama.

Na tę myśl utajony dotąd strach obezwładnił ją na nowo. Czuła lodowaty chłód parali-żujący jej ciało i przeszywający serce. Do tej pory nie wiedziała, czym jest prawdziwy strach. Tak jak prawdopodobnie większość ludzi. To uczucie było z niczym

nieporównywalne...

Była tak pochłonięta swymi myślami, że nie zdawała sobie sprawy, jak długo stoi bez ruchu. Nagle nowy impuls pchnął ją naprzód. Weszła do zmywalni naczyń. Była tu po raz pierwszy, gdyż w ścianie znajdowało się okienko, przez które można było zajrzeć do kuchni nie będąc widzianym. Jakiś podświadomy instynkt podszeptał jej, że właśnie w kuchni znajdzie klucz do całej tajemnicy. Czuła, że cokolwiek zdarzyło się w domu, musi mieć swe źródło i koncentrować się w kuchni.

W zmywalni naczyń, tak jak się tego spodziewała, wszystko lśniło czystością. Nikt z domowników nie został zniemacka zaskoczony, nigdzie żadnych śladów popłochu czy zamieszania. „Wygląda na to, że z góry wiedzieli o tym, co się ma stać” — pomyślała. Podniosła wzrok na ścianę na wprost drzwi i spostrzegła, że okienko jest podniesione. I wówczas, gdy podeszła bliżej, cisza została przerwana. Z kuchni dochodził męski głos — cichy, ale dobitny; głos — którego przedtem nigdy nie słyszała.

Zamarła ze strachu. Ale to uczucie znów jest inne. Poprzednio jej strach był nierealny, oparty na domysłach — upiorna emanacja otaczającej ją ciszy. Teraz był to zwyczajny, zrozumiały lęk przed napadem. Boże, czemuż nie pamiętała o rewolwerze; po śmierci męża trzymała jego broń w szufladzie w

swoim pokoju.

Chciała się dyskretnie wycofać, ale w połowie drogi kij wyslizgnął się jej z rąk i z hała-sem upadł na podłogę. Łomot zdawał się jeszcze rozbrzmiewać echem w pustce wokół niej, a Sara Clayburn wciąż stała jak wryta. Teraz, kiedy już zdradziła swą obecność, ucieczka była-by bezcelowa. Ktokolwiek znajduje się tam, za kuchennymi drzwiami, za moment już tu będą-dzie...

Ku jej najwyższemu zdumieniu głos nie zamilkł. Tak jakby ani mówiący, ani jego rozmówcy nie usłyszeli jej wcale. Niewidzialny nieznajomy mówił tak cicho, że nie mogła go zrozumieć, lecz ton jego głosu był porywczy, niemal groźny... W następnej chwili zdała sobie sprawę, że mężczyzna mówi w obcym, nie znanym jej języku. Znów przemogła w sobie lęk, pragnąc za wszelką cenę dowiedzieć się, jaka to niewidoczna dla niej — scena rozgrywa się tuż obok, za zamkniętymi drzwiami. Podkraśla się do okienka i ostrożnie zajrzała do kuchni. Było tu schludnie i... pusto jak wszędzie. Na starannie uprzątniętym stole stało przenośne radio. Głos, który słyszała, płynął z aparatu...

Pani Clayburn musiała zasłabnąć, w każdym razie czuła się taka słaba i oszołomiona, że ledwie pamięta, co zaszło potem. Po omacku trafiła do spiżarni, gdzie natknęła się na butelkę brandy czy whisky — teraz już nie pamięta. Odnalazła szklanek,

naląła sobie mocnego trunku i podczas gdy ożywczy napój krążył w jej żyłach, udało jej się po Bóg wie ilu odpoczynkach po drodze dotrzeć przez opustoszały parter schodami w górę i potem przez korytarz do swego pokoju. Tam najwidoczniej upadła na progu zemdlona...

Pamięta, że kiedy przyszła do siebie, jej pierwszą czynnością było zamknięcie drzwi na klucz, a drugą odnalezienie rewolweru. Broń była nie nabita, ale Sara Clayburn znalazła kilka nabojów i udało jej się naładować rewolwer. Po czym przypomniała sobie, że Agnes wychodząc od niej poprzedniego wieczora nic chciała zabrać z powrotem tacy z kanapkami i herbatą. Rzuciła się na nie z wilczym apetytem. Zauważyła też ze zdumieniem, że obok termosu stoi butelka brandy. A więc wyjście Agnes było z góry zaplanowane! Pokojówka wiedziała, że jej pani, która nie bierze do ust alkoholu, może go potrzebować przed jej powrotem. Wlała trochę brandy do herbaty i wypła duszkiem.

Potem udało jej się rozpalić ogień w kominku i, ogrzawszy się, wróciła do łóżka, przykrywając się wszystkimi kocami, jakie miała pod ręką. Popołudnie minęło w oszołomieniu bólem; z oszołomienia tego od czasu do czasu wynurzał się mglisty kształt strachu przed tym, że będzie tak leżeć sama, bez opieki, aż umrze z zimna i przerażenia. Była przekonana, że dom jest pusty — od piwnicy aż po dach. Nie umie



powiedzieć, skąd brała się ta pewność, ale czuła to po owym szczególnym rodzaju ciszy — ciszy, która nie odstępowała jej ani na krok, a teraz spowija niczym całun. Była przeświadczona o tym, że gdyby gdzieś obok znajdowała się jakaś ludzka istota, choćby nawet milcząca i skryta, ta cisza musiałaby zostać strzaskana, tak jak pęka szyba, gdy ciśnie się w nią kamieniem.

#### IV

— Już lepiej? — zapytał doktor, prostując zgięte plecy. Potrząsnął głową z dezaprobatą. — Zdaje się, że nie stosowała się pani do zaleceń doktora Selgrove'a, prawda? Wstawiała pani, czyż nie tak? Doktor na pewno uprzedzał panią, że trzeba leżeć spokojnie aż do nastę-pnej wizyty.

Sara Clayburn знаła mówiącego jedynie ze słyszenia. Doktor Selgrove został wezwany tego ranka do swego starego pacjenta w Baltimore; poprosił więc młodego człowieka, który dopiero rozpoczynał swą karierę w Norrington, żeby go zastąpił. Przybysz był nieśmiały i jednocześnie poufały, co często zdarza się osobom nieśmiałym. Pani Clayburn niezbyt się podobał. Zanim jednak zdążyła mu to okazać tonem swej odpowiedzi (a była

ongiś mistrzynią w wyrażaniu rozmaitych odcieni dezaprobaty), usłyszała głos Agnes — tak, Agnes! Tej samej co zwykle, schludnej i surowej jak zawsze:

— Pewnie pani Clayburn wstawiała w nocy z łóżka, zamiast na mnie zadzwonić — powiedziała surowo.

Tego już było za wiele! Pomimo dotkliwego bólu Sara Clayburn roześmiała się:

— Zadzwonić na ciebie? Może mi powiesz jak, skoro nie ma prądu.

— Nie ma prądu? — Agnes po mistrzowsku odegrała zdziwienie. Nacisnęła dzwonek u wezglowia łóżka i ostry dzwonek wtargnął w ciszę pokoju. — Wczoraj wieczorem sprawdza-łam, czy dzwonek działa, proszę pani. Raczej położyłabym się spać w garderobie obok, niż zostawiła tu panią samą bez pomocy.

Sara leżała bez słowa, oniemiała, ze wzrokiem wbitym w pokojówkę.

— Wczoraj wieczorem? Ależ wczoraj wieczorem byłam samiuteńka w całym domu!

Twarz Agnes nawet nie drgnęła. Pokojówka złożyła z rezygnacją ręce na nieskazitelnie świeżym fartuszk.

— Może skutek bólu straciła pani rozeznanie. Spojrzała pytająco na lekarza, ten skinął głową.

— Ból musiał być dotkliwy — potwierdził.

— Owszem — odparła Sara Clayburn — ale to

nic w porównaniu z koszmarem, jaki przeżyłam pozostawiona bez opieki od przedwczoraj, zupełnie sama, w pustym domu z wyłączonego centralnym i prądem, nie działającym telefonem.

Lekarz popatrzył na nią z wyraźnym zdumieniem. Ziemista twarz Agnes nabrała lekkich rumieńców, co jednak było jedynie oznaką oburzenia na tak niesprawiedliwy zarzut.

— Ależ proszę pani, przecież sama napaliłam w kominku wczoraj wieczorem: proszę popatrzeć, ogień się jeszcze tli. Właśnie go miałam rozniecić, kiedy nadszedł doktor.

— To prawda — potwierdził doktor. — Zastałem ją klęczącą przed kominkiem.

Sara Clayburn znów się roześmiała. Doprawdy pomysłowo utkana sieć kłamstw. Czuła jednak, że gdyby chciała, mogłaby ją przerwać.

— Ja sama rozpałam ogień. Nie było nikogo, kto by się tym zajął — oznajmiła, zwracając się do lekarza, ale nie spuszczać wzroku z twarzy pokojówki. — Dwukrotnie wstawałam, by dołożyć węgla, bo w domu było zimno jak w grobie. Centralne musiało już być wyłączone w sobotę po południu.

To niesłychane oświadczenie wywołało jedynie na twarzy Agnes wyraz uprzejmego zatroskania. Doktor najwyraźniej był zakłopotany, że został wmieszany w niezrozumiały spór, którego nie miał czasu rozsądzić. Powiedział, że przywiózł ze sobą

aparatus rentgenowski, ale noga jest zbyt spuchnięta i nie można jej w takim stanie prześwietlić. Przeprasił panią Clayburn za pośpiech, musi jednak jeszcze odwiedzić pacjentów doktora Selgrove'a, nie mówiąc o własnych. Obiecał wrócić wieczorem, by sprawdzić, czy można już zrobić prześwietlenie, a także — czego najwyraźniej się obawiał — czy nie trzeba będzie założyć gipsu. Potem, wręczwszy Agnes receptę, wyszedł.

## V

Tego popołudnia Sara wezwała mnie telefonicznie. Przyjechałam do Whitegates następnego dnia. Moja kuzynka, blada i podniecona, wskazała mi tylko gestem swą nogę w gipsie i podziękowała, że zechciałam dotrzymać jej towarzystwa. Wyjaśniła, że doktor Selgrove podczas swego pobytu w Baltimore nagle zachorował i nie będzie go przez kilkanaście dni, jednak młody człowiek, który go zastępuje, wydaje się osobą kompetentną. Sara nie wspomniała nic o dziwnym zdarzeniu, jakie tu opisałam, ale od razu się domyśliłam, że przeżyła szok, którego sam wypadek, aczkolwiek bolesny, nie mógł wywołać.

Wreszcie pewnego wieczoru opowiedziała mi o

swych przeżyciach, tak wiernie — jak zachowały się w jej pamięci i jak je tu powyżej opisałam. Nie wspominała o tym w pier-wszych tygodniach mego pobytu w Whitegates, kiedy to zmuszona była dzielić swój czas pomiędzy leżeniem w łóżku i na kanapie. Podczas tych nie kończących się tygodni — jak mi później powiedziała — przemyślała całą sprawę i uznała ją definitywnie za skończoną. Cho-ciaż wrażenia owych trzydziestu sześciu godzin żywo tkwiły w jej pamięci, ich groza nieco już przybladła. Postanowiła więc ostatecznie nie wracać więcej do tej kwestii ani w rozmo-wach z Agnes, ani z resztą służby.

Choroba doktora Selgrove'a okazała się nie tylko poważna, ale i przewlekła. Mówiono, że jak tylko wydobrzeje, uda się w podróż do zachodnich Indii. Praktyki w Norrington nie podejmie aż do przyszłej wiosny. Doktor Selgrove — z czego moja kuzynka zdawała sobie doskonale sprawę — był jedyną osobą, która mogłaby potwierdzić, że między jego wizytą u pani Clayburn a odwiedzinami jego następcy upłynęło trzydzieści sześć godzin. Ten ostatni, nieśmiały młody człowiek, obarczony naraz dodatkowym brzemieniem, kiedy zdobyłam się na krótką, prywatną rozmowę z nim, powiedział mi, że doktor Selgrove dając mu w pośpie-chu instrukcje odnośnie pani Clayburn ograniczył się do krótkiej notatki: „Noga skrećona w kostce. Konieczny rentgen”.

Znając autorytatywny charakter mej kuzynki, byłam zdziwiona jej postanowieniem nieporuszania w rozmowie ze służbą tematu owego dziwnego weekendu. Przemyślawszy to jednak sobie, doszłam do wniosku, że ma rację. Cała służba zachowywała się tak samo, jak przedtem: byli sprawni, oddani, pełni szacunku i uczciwi. Była od nich zależna i czuła się z nimi jak w rodzinie, najwidoczniej więc wołała puścić całą sprawę w niepamięć. Miała abso-lutną pewność, że coś dziwnego zdarzyło się w jej domu, ja zaś bardziej niż kiedykolwiek byłam przeświadczona o tym, że przeżyła szok, którego przyczyną bynajmniej nie był wypadek. W końcu zgodziłam się z nią, że wypytywanie nowego doktora ani służby nic nie da.

W Whitegates przebywałam z przerwami przez całą zimę i lato. Kiedy w początku października wracałam do Nowego Jorku, zostawiłam swą kuzynkę w dobrym zdrowiu i pogo-dnym nastroju. Doktor Selgrove został wysłany latem na kurację do Szwajcarii i ta kolejna zwłoka w jego powrocie do Norrington zdawała się zacierać w pamięci Sary wspomnienia owego tajemniczego weekendu. Życie jej płynęło spokojnie dawnym trybem. Zostawiałam ją bez obaw, nie wracając już myślą do tej zagadkowej historii, od której już minął prawie rok.

Znalazłam się zatem sama w niewielkim mieszkanku w Nowym Jorku. Ledwie się tam

ulokowałam, gdy kiedyś bardzo późnym wieczorem — było to ostatniego dnia października — usłyszałam nagle dzwonek do drzwi. Służąca miała akurat wychodne, sama więc poszłam otworzyć i ku swemu najwyższemu zdziwieniu ujrzałam na progu Sarę Clayburn. Była szczerze otulona płaszczem, kapelusz miała nasunięty na czoło, a twarz tak bladą i zmizerowaną, że od razu zrozumiałam, iż musiało się jej przydarzyć coś złego.

— Saro! — wykrztusiłam nie wiedząc, co mówić — skąd się tu wzięłaś, na Boga, o tej porze?

— Z Whitegates. Spóźniłam się na ostatni pociąg, więc przyjechałam taksówką.

Weszła i usiadła na ławeczce przy drzwiach. Widać było, że ledwie trzyma się na nogach. Usiadłam obok, obejmując ją ramieniem.

— Na litość Boską, co się stało?

Patrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem.

— Zatelefonowałam do Nixona i wynajęłam taksówkę. Podróż zajęła mi pięć godzin z kwadransem. — Rozejrzała się po mieszkaniu. — Czy mogę u ciebie zanoć? Bagaż zostawiłam na dole.

— Możesz zostać, jak długo zechcesz. Wyglądasz na chorą...

Potrząsnęła głową.

— Nic mi nie jest. Nie jestem chora, ale przerażona. Śmiertelnie przerażona — powtórzyła

szeptem.

Głos jej brzmiał tak niesamowicie, a ręce, które ścisakałam w swoich, były tak zimne, że pomogłam jej wstać i zaprowadziłam ją prosto do niewielkiego pokoju gościnnego. Moje mieszkanie znajdowało się w staromodnym, niewysokim budynku, a ja byłam w bliższych stosunkach z obsługą domu, niż jest to możliwe w tych nowoczesnych wieżach Babel. Zadzwońiłam więc na dół, prosząc, by przyniesiono bagaż mej kuzynki, sama zaś nalałam go-rącej wody do termoforu, ogrzałam pościel i od razu położyłam Sarę do łóżka. Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak potulnej i posłusznej, i to zaniepokoiło mnie bardziej niż jej bladość. Nie należała do osób, które dadzą się zapakować do łóżka jak dziecko, a przecież posłuchała mnie bez słowa sprzeciwu, jakby zdawała sobie sprawę, że jest u kresu wytrzymałości.

— Jak tu dobrze! — powiedziała już spokojnym tonem, gdy owinęłam ją kołdrą i wygładziłam poduszki. — Nie zostawiaj mnie jeszcze, dobrze?

— Tylko na chwilkę, zrobię ci filiżankę herbaty — uspokoiliam ją. Zostawiłam drzwi na korytarz otwarte, żeby mogła słyszeć, jak krzątam się w kuchni. Kiedy przyniosłam herbatę, wypila ją z wdzięcznością. Twarz jej lekko poróżowiała. Przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu. Wreszcie podjęła:

— Widzisz, mija właśnie rok...



Powinłam była ją skłonić do odłożenia tej historii do rana, ale z błysku jej oczu wyczytałam, że zdecydowała się raz na zawsze uwolnić od tego ciężaru i póki tego nie uczyni, póty byłoby bezcelowe proponowanie jej tabletki na sen, którą dla niej naszykowałam.

— Rok od czego? — zapytałam niemądrze, nie skojarzywszy jeszcze jej nagłego przyjazdu z zeszłorocznymi wypadkami w Whitegates.

Popatrzyła na mnie zdziwiona.

— Rok od kiedy spotkałam tę kobietę. Nie pamiętasz? Nieznajomą kobietę idącą główną aleją tego popołudnia, kiedy skręciłam nogę. Nie myślałam o niej aż do tej chwili i oto znów ją spotkałam w przeddzień Święta Zmarłych.

Odparłam, że pamiętam.

— No więc, dziś właśnie jest wigilia Wszystkich Świętych, prawda? Nie znam się tak, jak ty, na kościelnych świętach.

— Rzeczywiście. Dziś jest przeddzień Święta Zmarłych.

— Tak właśnie przypuszczałam... A więc dziś po południu wyszłam na swą codzienną przechadzkę. Było już dość późno, bo wcześniej zajęta byłam rachunkami i korespondencją. Ale było całkiem widno. Gdy podchodziłam do bramy, zobaczyłam, że wchodzi nią ta sama kobieta.... ta, co wtedy... i zmierza w stronę domu.

Ścisnęłam rękę Sary, była gorąca i spocona.

— Skoro zapadł już wieczór, to skąd możesz mieć pewność, że to ta sama kobieta? — spytałam.

— Absolutną pewność. Wieczór był bardzo widny. Poznałam ją i ona także poznała mnie od razu. Zauważyłam, że jest zła, iż mnie spotyka. Zatrzymałam ją i zapytałam: „Dokąd pani idzie?” — tak jak zeszłego roku. A ona odparła tym swoim dziwnym, na pół cudzoziemskim akcentem: „Zobaczyć się z jedną z dziewcząt” — jak poprzednim razem. Wtedy się nagle rozzłościłam i powiedziałam: „Noga tu twoja więcej nie postanie w moim domu, sły-szysz? Wynoś się zaraz!” A ona się tylko zaśmiała, tak, zaśmiała — cicho, ale wyraźnie.

Tymczasem zrobiło się zupełnie ciemno, jakby zanosilo się na burzę, tak że choć kobie-ta była tuż obok, ledwie ją widziałam. Stałyśmy obie przy kępie cykuty, rosnącej na zakręcie alei, i kiedy chciałam do niej podejść, wściekła na jej impertynencję, zniknęła mi za cykutą, a gdy ruszyłam w ślad za nią — już jej tam nie było... Mogę na to przysiąc...

W ciemnościach zawróciłam pospiesznie do domu w obawie, że kobieta wślizgnie się tam przede mną. I dziwna rzecz, kiedy znalazłam się przy drzwiach, ciemna chmura nagle się rozwiła i znów zrobiło się widno. W domu wszystko zdawało się być po staremu: służba zajęta była swymi obowiązkami. Nie mogłam jednak pozbyć się myśli, że ta kobieta,

pod osłoną chmury, zdołała jakoś dostać się tam przede mną.

Umilkła, by zaczerpnąć tchu, i po chwili podjęła:

— W hallu zatrzymałam się przy telefonie i zadzwoniłam do Nixona, żeby przysłał mi auto z kierowcą, bo muszę natychmiast jechać do Nowego Jorku. I Nixon sam przyjechał...

Głowa opadła jej na poduszkę. Patrzyła na mnie z miną przerażonego dziecka.

— To miło ze strony Nixona — dodała.

— Tak, rzeczywiście. Ale kiedy oni... to znaczy twoja służba zobaczyła, że wyjeżdżasz...

— No, cóż, weszłam na górę do swego pokoju i zadzwoniłam na Agnes. Przyszła, spo-kojna i opanowana jakby nigdy nic. Ale kiedy jej powiedziałam, że za pół godziny jadę do Nowego Jorku w interesach wtedy po raz pierwszy zawiodła ją jej zwykła przytomność umy-słu. Zapomniała udać zdziwienie, zapomniała zgłosić swój sprzeciw — a przecież wiesz do-brze, jak Agnes wszystkiemu się sprzeciwia.

Gdy ją obserwowałam, dostrzegłam błysk ulgi w jej oczach, chociaż miała się przede mną na baczności. Powiedziała tylko: „Dobrze, proszę pani”. Zapytała, co ma mi przyszyko-wać na drogę. Zupełnie jakbym miała zwyczaj wyjeżdżać w interesach do Nowego Jorku jesienią po zmroku! Popelniła błąd nie

okazując zdziwienia. Nawet nie zapytała, dlaczego nie jadę swoim wozem. Fakt, że zupełnie straciła głowę, przeraził mnie bardziej, niż wszystko inne. Tak bardzo była mi wdzięczna, że wyjeżdżam, że ledwie ośmieliła się odezwać w obawie, że się zdradzi lub że ja zmienię zamiar.

Dłuższą chwilę Sara leżała w milczeniu. Jej oddech stawał się spokojniejszy, aż w końcu zamknęła oczy, jakby spowiedź ta przyniosła jej ulgę i poczuła się senna. Gdy podniosłam się cicho, by wyjść z pokoju, odwróciła głowę i mruknęła:

— Nigdy już nie wrócę do Whitegates.

Po czym zamknęła oczy i usnęła.

Przytoczyłam powyżej opowieść mojej kuzynki nie pominąwszy, mam nadzieję, żadnego istotnego szczegółu. To wszystko, co zdarzyło się naprawdę i za co osobiście mogę ręczyć. Cała zaś reszta — to już czyste domysły i jedynie za takie je uważam.

Agnes, pokojówka mojej kuzynki, pochodzi z wyspy Skye na Hebrydach, które, jak wiadomo, obfitują w zjawiska nadprzyrodzone. Siły nadprzyrodzone występują tu jako wi-dma lub też w jeszcze bardziej upiornej postaci — niewidzialnych strażników tych sztormowych pustkowi w długie zimowe noce. Kuzynka moja zawsze uważała, że Agnes jest — być może nieświadomie, w każdym razie lekkomyślnie — kanałem łączności pomiędzy światem nadprzyrodzonym a uległą służbą domową w

Whitegates. Wprawdzie Agnes służy już u pani Clayburn od dawna i dotąd żaden szczególny incydent nie potwierdził jej powinowactwa z tymi siłami, to jednak być może jej zdolność kontaktowania się z nimi była cały ten czas utajona, czekając jedynie okazji, by się ujawnić. Nastąpiło to za pośrednictwem owej nieznajomej kobiety, którą Sara Clayburn spotkała w przeddzień Święta Zmarłych na drodze do Whitegates. Właśnie ta data potwierdza moją hipotezę. Przypuszczam bowiem, że nawet w naszych pozbawionych wyobraźni czasach niektórzy ludzie pamiętają jeszcze o tym, że w noc przed Świętem Zmarłych umarli mogą wychodzić ze swych grobów; również inne duchy, nieprzyjazne lub też żalodne, wolne są od owych ograniczeń, które w pozostałe dni roku od-dają ziemię we władanie żyjącym.

Jeśli fakt powtórzenia się daty jest czymś więcej niż tylko zwykłym zbiegiem okoliczności — a według mnie tak jest — sądzę, że ta dziwna kobieta, która dwukrotnie odwiedziła Whitegates w przeddzień Wszystkich Świętych, była albo „sobowtórem”, albo też co bardziej prawdopodobne i przerażające — żywą kobietą nawiedzoną przez czarownicę. W historii czarów, jak powszechnie wiadomo, liczne są takie przypadki i właśnie owa wysłanniczka mogła zostać wybrana przez siły, które rządzą takimi sprawami, by zawezwąć Agnes i resztę służących na „sabat” o północy, gdzieś w okolicznych

pustkowiach. Aby dowiedzieć się, jak odbywa się sabat, a także poznać przyczyny nieodpartej fascynacji, jaką budzi, wy-starczy sięgnąć do bogatej literatury traktującej o tym tajemnym rytuale. Każdy, kto choć raz w życiu poczuje zaciekawienie sabatem, najprawdopodobniej nawet się nie spostrzeże, jak jego ciekawość przerodzi się w chęć, a ta z kolei w nieodparte pragnienie wzięcia w nim udziału. Pragnienie to, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja — zerwie wszelkie hamulce, gdyż ten, kto choć raz uczestniczył w sabacie, poruszy Niebo i Ziemię, byleby tylko znowu wziąć w nim udział.

Takie jest moje — hipotetyczne — wyjaśnienie owej zagadki z Whitegates. Moja kuzy-nka zwykła mówić, że trudno jej uwierzyć, iżby zjawiska, które pasują do odludnego krajo-brazu Hebrydów, mogły mieć miejsce w pogodnym i ludnym Connecticut Valley. Nie wierzy, ale się boi! Cóż, takie paradoksy nie są wcale rzadkością. Mimo iż obstaje przy swojej teorii, że musi istnieć jakieś naturalne wyjaśnienie całej tej zagadki, nigdy nie wróciła tam, by ją zbadać.

— Ach nie — powiedziała, wzdrygnąwszy się lekko, kiedy napomykałam w rozmowie o jej powrocie do Whitegates. — Nie chcę się narażać na ryzyko ponownego spotkania tej kobiety...

Przełożyła *Ewa Kieruzalska-Gewartowska*

Richard Middleton

## Włóczęga

Słońce z wolna pięło się ponad białe, ostre szczyty gór, aż wreszcie — dopełniwszy misterium świtania rozblęskło nagle na iskrzącym się śniegu. W nocy był tęgi mróz i ptaki przelotne, mało odporne na zimno, nie pozostawiły żadnych śladów na srebrzystych chodnikach. Miejscami, pod osłoną żywopłotów, załamywała się monotonia bieli, która pokryła barwę ziemi. W górze zaś niebo przechodziło stopniowo z oranżu w ciemny błękit, a z ciemnego błękitu w błękit tak jasny, że zdawało się, iż to raczej cienki papierowy ekran, a nie bezkresna przestrzeń. Z pół nadszedł zimny, bezgłośny wiatr; zdmuchnął drobny, miałki śnieżny pył z drzew, ledwie trącając czubate żywopłoty. Słońce, gdy już znalazło się ponad horyzontem, zdawało się teraz pięć szybciej; wzniosłszy się wysoko na niebie, zaczęło grzać: ciepło mieszało się z przejmująco ostrym wiatrem.

Chyba właśnie owo osobliwe nadszednięcie na przemian to fali ciepła, to chłodu, zakłóciło sen włóczęgi; zmagął się przez chwilę ze śniegiem, jaki go przykrywał, niczym człowiek, który chce się wyplątać z pościeli, po czym usiadł, wytrzeszczając

nieprzytomne oczy.

— O Boże! Zdawało mi się, że jestem w łóżku — powiedział do siebie, objawszy wzrokiem pustą przestrzeń. — I pomyśleć, że cały ten czas spałem na dworze.

Przeciągnął się i podniósł ostrożnie, strząsając z siebie śnieg. Zimny wiatr przejął go dreszczem: puchowe łożo chroniło przed chłodem.

— Mam szczęście, że się w ogóle obudziłem — pomyślał. — Albo pecha. Czy warto znów tam wracać?

Podniósł wzrok i ujrzał szczyty jaśniejące na tle błękitu jak Alpy na widokówce.

— To chyba jeszcze ze czterdzieści mil albo coś koło tego — ciągnął ponuro. — Bóg jeden wie, co ja robiłem wczoraj. Ledwie zipię, a jestem zaledwie o dwanaście mil od Brigh-ton. Niech diabli wezmą ten śnieg, Brighton i w ogóle wszystko!

Słońce pięło się coraz wyżej, a on szedł wolno, plecami zwrócony do wzgórz.

— Mam się cieszyć czy martwić, że nie umarłem, że to tylko był sen? Cieszyć się czy martwić? — jego myśli zdawały się układać w miarowy akompaniament do jednostajnego, głuchego odgłosu kroków. Właściwie nie starał się nawet odpowiedzieć sobie na to pytanie. Wystarczyło mu, że może wędrować.

Niebawem, kiedy zostawił już za sobą na drodze



trzy kamienie milowe, zrównał się z jakimś wyrostkiem, który — pochylony — zapalał papierosa. Chłopak nie miał płaszcza i wy-dawał się niezwykle bezbronny na tle śniegu.

— W drogę, szanowny panie? — zagadnął włóczęgę ochryplym głosem, gdy ten go mijał.

— Tak — potwierdził tamten.

— Pójdę z panem kawałek, jeśli nie idzie pan za szybko. Pusto o tej porze na drodze i człowiekowi smutno samemu.

Włóczęga skinął głową i chłopiec pokuśtykał obok.

— Mam osiemnaście lat — zaczął rozmowę. — Założę się, że wziął mnie pan za szcze-niaka.

— Piętnaście, powiedziałbym.

— Przegrałby pan. Skończyłem w sierpniu osiemnaście i włóczę się tak po świecie już sześć lat. Jak byłem mały, pięć razy uciekałem z domu. Policja za każdym razem odprowa-dzała mnie z powrotem. Policjanci byli dla mnie bardzo dobrzy. Teraz już nie mam domu, z którego mógłbym uciekać.

— Ani ja — powiedział cicho włóczęga.

— Od razu widać po panu, co z pana za jeden — chłopak z trudem łapał oddech. — Taki lepszy gość, któremu powinęła się noga. Panu jest ciężej niż mnie.

Włóczęga obrzucił spojrzeniem utykającą wątłą postać i zwolnił kroku.

— Nie mam takiej wprawy jak ty — przyznał.

— Właśnie, poznałem to po sposobie, w jaki pan idzie. Nie widać jeszcze po panu zmęczenia. Chyba ma pan przed sobą jakiś cel?

Włóczęga zastanawiał się chwilę.

— Czy ja wiem? — w głosie jego zabrzmiała gorycz. — Przynajmniej mam nadzieję.

— Wyleczy się pan z tego — skomentował chłopak. W Londynie jest cieplej, ale trudniej o żarcie.

— Zawsze jest szansa na spotkanie kogoś, kto zrozumie...

— Ludzie na wsi są lepsi — przerwał mu chłopak. — Zeszłej nocy miałem darmowy nocleg w oborze: spałem z krowami. Dziś rano farmer wygarnął mnie stamtąd. Dał mi herba-ty i coś na ząb, bo jestem taki mały. Miałem szczęście. W Londynie nocą na Bulwarze same kłopoty, a za dnia wciąż gliny człowieka przeganiają.

— Wybrałem się w drogę tej nocy. Spałem gdzie popadło. To cud, że żyję — zwierzył się włóczęga.

Chłopak spojrzał na niego przenikliwie:

— A skąd pan wie, że żyje? — zapytał.

— Nie rozumiem — odparł włóczęga po chwili milczenia.

— Coś panu powiem — głos chłopaka brzmiał ochryple. — Tacy ludzie jak my nie mogą z tym skończyć, choćby nawet chcieli. Głodni, spragnieni,

skonani, wędrujemy bez końca. Ale gdy tylko ktoś mi proponuje robotę i ciepły dom, wywracają mi się bebecchy! Wyglądam na silnego? Wiem, że jestem niewyrośnięty na swój wiek, ale bujam już tak po świecie sześć lat i myśli pan, że nie jestem martwy? Tonałem w Margate; raz Cygan chciał mnie zabić koł-kiem: palnął mnie prosto w łeb. Dwa razy zamarzałem tak jak pan zeszłej nocy. Motor ściał mnie z nóg tu, na tej drodze. A teraz znów idę do Londynu, żeby stamtąd odejść, i tak w kółko, bo nic nie mogę na to poradzić. Martwy! Mówię panu, nie możemy z tym skończyć nigdy, nawet choć byśmy chcieli...

Przerwał mu atak kaszlu. Włóczęga zatrzymał się czekając, aż mu przejdzie.

— Lepiej weź mój płaszcz, synku — powiedział. — Paskudnie kaszlesz.

— Idź pan do diabła! — zawołał chłopak porywczo. Zaciągnął się papierosem. — Nic mi nie jest. Mówiłem tylko o włóczędzie. Pan nie jest jeszcze przegrany, ale i na pana to przyjdzie. My wszyscy jesteśmy martwi, wszyscy padamy z nóg, a przecież nie możemy z tym skończyć. Latem w powietrzu unosi się zapach siana i kurz, w upalne dni wiatr smaga ci twarz, i tak dobrze obudzić się w mokrej trawie w pogodny ranek...

Nagle zaczął się ślaniać. Włóczęga podtrzymał go.

— Jestem chory — szepnął chłopak. — Chory...

Włóczęga rozglądał się wokół, ale nigdzie nie było śladu domu ani żywej duszy. Stał niepewnie pośrodku drogi, podtrzymując chłopaka, kiedy nagle gdzieś blisko błysnęły światła i jakiś samochód podjechał gładko po śniegu.

— Coś się stało? — spytał kierowca łagodnym głosem. — Jestem lekarzem. — Popa-trzył na chłopca uważnie, słuchając jego wyteżonego oddechu.

— Zapalenie płuc — stwierdził. — Podrzucę go do szpitala. I ciebie także, jeśli chcesz.

Włóczęga pomyślał o przytułku dla bezdomnych i potrząsnął głową.

— Wolę iść pieszo — odparł.

Chłopak mrugnął doń słabo, gdy go wnosili do samochodu.

— Spotkamy się za Reigate — mruknął do włóczęgi. — Masz moje słowo.

Samochód zniknął na białej drodze.

Cały ranek włóczęga brnął przez topniejący śnieg. W południe wyzebrał trochę chleba w jakimś wiejskim domu i wślizgnął się do pustej stodoły. W środku było ciepło, więc posili-wszy się, zasnął na sianie. Było już ciemno, kiedy się obudził. Znow brnął mozolnie przez breję na drodze.

O dwie mile za Reigate jakaś wątła postać wynurzyła się z mroku, idąc mu na spotka-nie.

— W drogę, szanowny panie? — zapytał

ochryply głos. — Pójdę z panem kawalek, jeśli nie idzie pan za szybko. O tej porze pusto na drodze i człowiekowi smutno samemu.

— Przecież to było zapalenie płuc! — wykrzyknął włóczęga zdumiony.

— Umarłem w Crawley dziś rano — usłyszał odpowiedź.

Przełożyła *Ewa Kieruzalska-Gewartowska*

## Spis treści

*Ambrose Bierce* Strażnik umarłych (*A Watcher by the Dead*)

*Edith Wharton* Panna Mary Pask (*Miss Mary Pask*)  
*E. F. Benson* W metrze (*In the Tube*)

*A.M. Burrage* Zamiatacz (*The Sweeper*)

*J. Sheridan Le Fanu* Ręka ducha (*The Ghost of a Hand*)

*F. Marion Crawford* Górna koja (*The Upper Berth*)

*Henry James* Ponury dom (*The Ghostly Rental*)

*Edith Wharton* Świat grozy (*All Souls*)

*Richard Middleton* Włóczęga (*On the Brighton Road*)